Miedziany Kraj

JANUSZ ROSZKO



KGHM PREZENTUJE

Janusz Roszko

MIEDZIANY KRAJ

KGHM Polska Miedź S.A. · Lubin · 2026

Projekt okładki
Piotr Czeraniuk

Digitalizacja i przygotowanie tekstu źródłowego
Marcin Szewczyk-Wilgan
typograficznie.pl

Tekst niniejszego wydania pozyskano z egzemplarza wydania pierwszego z zastosowaniem autorskiego systemu optycznego rozpoznawania znaków (OCR), a następnie poddano weryfikacji i korekcie redakcyjnej.

Projekt typograficzny i skład
Marcin Szewczyk-Wilgan

Korekta
Katarzyna Włodarczyk

Koncepcja publikacji
Pion Komunikacji KGHM Polska Miedź S.A.

Redaktor wydania
Rafał Stepnowski

Fotografie autora we wspomnieniu
Archiwum rodziny Janusza Roszki

Fotografie w głównej części książki
Archiwum KGHM Polska Miedź S.A.

Wydawca
KGHM Polska Miedź S.A.
ul. M. Skłodowskiej-Curie 48
59-301 Lubin

Copyright © by KGHM Polska Miedź S.A., Lubin 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Są wyzwania, które wydają się niewykonalne.

Kiedy w latach 60. powstawał „Miedziany kraj" Janusza Roszki, polskie zagłębie miedziowe jawiło się jako wielka obietnica, marzenie, za którym podążali tylko najwięksi optymiści. Trzeba było okiełznać naturę, rozwiązać masę problemów, stworzyć technologię i organizację pracy, których wcześniej w tym miejscu nie było. Trzeba było uwierzyć, że można sięgnąć po miedź ukrytą głęboko pod ziemią – i zrobić to na skalę, która wydawała się niemal niewyobrażalna.

To nie była tylko historia budowy kopalń. To była historia ludzi.

Pionierów, którzy podejmowali decyzje bez gotowych odpowiedzi. Górników, inżynierów, geologów i techników, którzy każdego dnia przekraczali kolejne granice wiedzy i własnych możliwości. Ludzi, którzy mieli odwagę sięgnąć dalej. A potem przekazać swoje doświadczenie następnym pokoleniom.

Bo górnictwo jest zawsze opowieścią wielu pokoleń. Jedno rozpoczyna pracę, kolejne widzi efekty. Jedno buduje fundament, kolejne na tym fundamencie stawia solidną konstrukcję. Tak powstaje nie tylko kopalnia, ale także wiedza, technologia i kultura pracy.

Dziś stoimy przed innymi wyzwaniami, ale pytania pozostają zaskakująco podobne.

Jak sięgać po złoża położone coraz głębiej? Jak pracować w coraz trudniejszych warunkach? Jak zwiększać

bezpieczeństwo i komfort ludzi? Jak odpowiadać na presję rynku, rosnące wymagania technologiczne i zmieniający się świat?

Nie mamy gotowych odpowiedzi na wszystkie z nich.

Wiemy jednak, że odpowiedzi zaczynają się tak samo jak wtedy – od ludzi, którzy potrafią wyobrazić sobie więcej. Od wizjonerów, innowatorów i ludzi odważnych. Od tych, którzy nie pytają wyłącznie, czy coś jest możliwe, ale również – co zrobić, żeby stało się możliwe.

Dlatego wracamy do „Miedzianego kraju". Chcemy przypomnieć ludzi, którzy tworzyli historię KGHM. Pokazać ich odwagę, pasję i determinację. Oddać chwałę pokoleniu, które podjęło się zadania przytłaczającego. Wręcz nierealnego.

Dziś ich praca jest częścią naszego dziedzictwa. Ich odwaga – zobowiązaniem. Bo każde pokolenie ma swoją granicę, za którą zaczyna się nieznane. I każde potrzebuje ludzi gotowych tę granicę pokonać.

Wspomnienie o Dziadku

Kiedy w sierpniu 1980 r. przyszedłem na świat, mój Dziadek, Janusz Roszko, miał 48 lat.

Dość szybko zacząłem się zastanawiać, czy wypełniało Go poczucie dumy i zawodowego spełnienia, czy raczej skrajna frustracja.

Opisał talent Nikifora lata przed tym, jak łemkowski twórca stał się znany i ceniony. Kiedy Dziadek porównywał go do Chagalla i Dalego[1], Nikifor swoje miniatury malował jeszcze na pudełkach po papierosach, a pędzel zwilżał śliną, całymi dniami przesiadując na ulicy. Nie z wyboru.

Dziadek miał jedyną w swoim rodzaju okazję, by prowadzić długie rozmowy z Alojzym Piontkiem – górnikiem z Zabrza, który w wyniku katastrofy w kopalni „Rokitnica" spędził pod ziemią 158 godzin. To do dziś, na szczęście, niepobity rekord Polski. Historia „cudu w Zabrzu" stała się kanwą mojego ulubionego w młodości reportażu „Zawał". To równie fascynująca, co przerażająca historia człowieka, który sześć i pół doby, aż 780 metrów pod ziemią, czekał na ratunek, nie mając cienia gwarancji, że w ogóle ktoś go szuka... By przeżyć, pił własny mocz.

1 J. Roszko (1979). Romantyka małych portów. Kraków: Wydawnictwo Literackie. Str. 233.



Wreszcie Dziadek jako pierwszy opublikował ukrywane przez dekady fakty o początku II wojny światowej.

*

Prawda o Westerplatte, „Zawał", Nikifor... Do tego lata pisania do popularnego tygodnika „Przekrój", publikacje w „Polityce", cykliczne felietony w „Gazecie Krakowskiej", prestiżowe nagrody[2]. Całkiem sporo powodów, by Janusz Roszko dał się poznać światu. Ba, by został gwiazdą literatury. Problem w tym, że przyszło Mu żyć i tworzyć w złotej erze polskiego reportażu – kiedy kolejne stronice książek, gazet czy czasopism zapisywali reporta-żyści wagi najcięższej.

*

Jeśliby w latach 60. czy 70. XX wieku stworzyć mistrzostwa świata w sztuce reportażu, to Polska miałaby gwarantowane złoto. W napadzie pewne miejsce miałby

2 Janusz Roszko był laureatem m.in. Złotej Odznaki Miasta Krakowa (1960), Nagrody Miasta Krakowa w dziedzinie upowszechniania kultury (1979), Nagrody im. Bolesława Prusa (1976) oraz Nagrody Ministra Kultury i Sztuki I stopnia w dziedzinie literatury (1983). Dodatkowo odznaczono go m.in. Złotym Krzyżem Zasługi (1974), Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1978, 1986). Dane za: Słownik „Polscy pisarze i badacze literatury XX i XXI wieku" opracowywany przez Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk.

Ryszard Kapuściński – „cesarz reportażu". Na skrzydłach szaleliby Stefan Bratkowski z Januszem Rolickim. Za balans między formacjami odpowiadałyby Hanna Krall i Barbara Łopieńska. W obronie mur nie do przebicia stanowiłby najstarszy i najbardziej doświadczony Melchior Wańkowicz. Nad boiskiem krążyłby duch Ksawerego Pruszyńskiego.

Na ławce rezerwowych – Małgorzata Szejnert i Teresa Torańska, co dzień szlifujące swoje talenty pod okiem starszych, by w przyszłości przejąć pierwszoplanowe role. Za jakiś czas dołączy jeszcze Wojciech Jagielski i kilku innych.

Na boisku uwijałby się też Janusz Roszko, co rusz zawiązujący akcje z Bratkowskim. Efekt? Co najmniej trzy wspólne zbiory reportaży wydane w latach 60. XX wieku.

Ich drogi wciąż się przeplatają. Co prawda Bratkowski pochodzi z Wrocławia, ale studiował tam, gdzie Roszko – na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z kolei Wańkowicza, Rolickiego, Kapuścińskiego i Roszkę łączy miejsce urodzenia na wschodnich rubieżach II RP: niedaleko Mińska, w Wilnie, Pińsku i we Lwowie.

Dodatkowo ojcowie Kapuścińskiego i Roszki mają niemal identyczną kartę. Byli podporucznikami Wojska Polskiego, walczyli w kampanii wrześniowej. Dla mojego pradziadka Franciszka, ojca Janusza, skończyło się to śmiercią w kulminacyjnym momencie bitwy nad Bzurą. 17 września był wśród niedobitków armii „Poznań" i „Pomorze",

„ścieśnionych na niewielkim skrawku ziemi, bombardowanych przez 336 hitlerowskich samolotów. Było to największe ześrodkowanie lotnictwa niemieckiego w czasie całej kampanii wrześniowej”[3]. Młody oficer 19 Pułku Piechoty Odsieczy Lwowa poległ na niecały miesiąc przed 29 urodzinami.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdyby został we Lwowie, to znalazłby się wśród setek oficerów, których Sowieci – wbrew deklaracjom – najpierw wzięli do niewoli, a potem wiosną 1940 r. bestialsko wymordowali.

Tak czy siak, siedmioletni Janusz został sam z mamą. Uciekli na zachód, zostawiając we Lwowie niemały majątek i jeszcze większą rodzinną spuściznę. Nazwisko Roszko związane było ze Lwowem od co najmniej XVI wieku.

„Uciekaliśmy przez Rosjanami, byli po stokroć gorsi niż Niemcy” – jako mały chłopiec często słyszałem to zdanie z ust Dziadka.

Wtedy, w ostatnich latach PRL-u, gdy byłem uczniem pierwszych klas podstawówki, brzmiało to niezrozumiale. Przecież to Niemcy byli „tymi złymi”, a Rosjanom przyznano rolę wyzwolicieli. Musiały minąć lata, bym poukładał to sobie w głowie, poznał prawdę i był gotów zadać pytania o szczegóły tego, co działo się we Lwowie we wrześniu 1939 r. – na ile traumatyczne były

3 J. Roszko (1966). Palenie Judaszów. Warszawa: Iskry. Str. 13.

tamte dni dla małego Janusza. Ale wtedy już nie miałem kogo zapytać.

*

Janusz z mamą – młodą wdową – uciekli ze Lwowa do Muszyny, wówczas wchodzącej w skład Generalnego Gubernatorstwa. Dotrwali tam do końca wojny. Niewiele wiadomo o tamtych latach.

Chyba nie był to zły czas. Po latach Dziadek pisał, że „w głębi ducha uważa się za Sądeczanina". Po wojnie, będąc już po trzydziestce, w bogato ilustrowanym czarno-białymi fotografiami reportażu „Brzegami Popradu" wspominał:

„Wieczorem, gdy podwawelskie miasto cichło, brakowało mi czegoś. To właśnie było to. Brakowało mi poszumu Popradu, który od lat najmłodszych gadał do mnie rano i wieczorem [...]. Z okien mojego domu w Muszynie widać było, jak rzeka mozolnie przebija się przez góry, jak wściekle bije pianą o skały, jak przelewa się po kamieniach, zakręcając pod muszyński zamek [...]. W domu pokrzykiwano na mnie: «Dlaczego tak późno wracasz ze szkoły?». A ja tymczasem rozmyślałem w cieniu wierzb nad tajemnicą ukrytą w zatopionej skrzyni. Niekiedy zatrzymywaliśmy się z kolegami przy starej karczmie, w której dziś pan Rojna założył urokliwe muszyńskie muzeum. Kładłem wtedy tornister na ziemi i rzucałem patykiem ku gałęziom starych kasztanów, gdzie wisiały, jedna koło drugich,

kolczaste kule [...]. I teraz, po latach, gdy przyjechałem nad tę rzekę – było mi dziwnie. Serce waliło jak młotem i na nogach czułem się jakoś niepewnie"[4].

Po wojnie Dziadek wraz mamą osiadł w Krakowie, który pewnie przypominał im po trosze ich rodzinny Lwów.

*

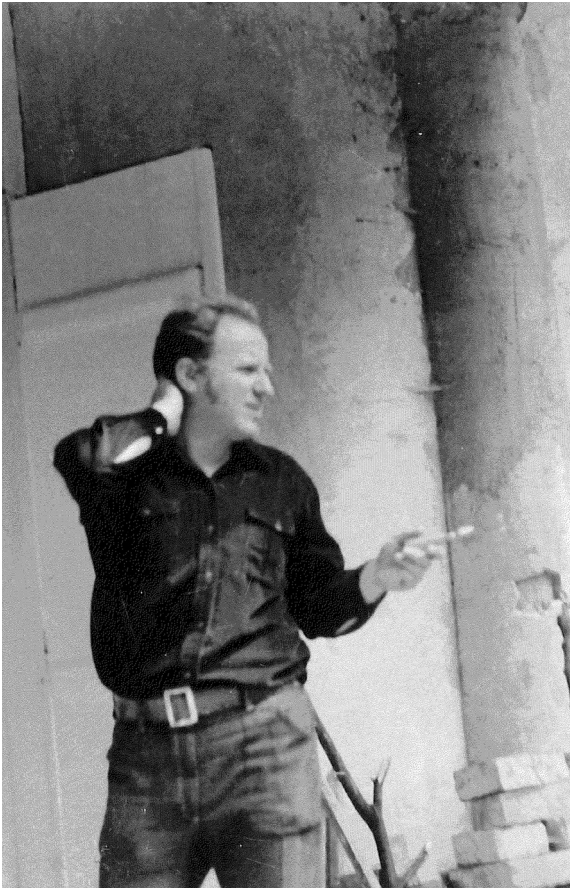
Przez dwie dekady po 1945 r. pisał kolejne artykuły i książki. Zwiększał grono czytelników i listę otrzymanych nagród. Wziął się także za telewizję – współtworzył istniejącą do dziś „Kronikę", czyli program informacyjny krakowskiego oddziału Telewizji Polskiej.

Aż do wiosny 1968 r.

Dla części mojej rodziny, która doświadczyła tragedii warszawskiego getta, to był kolejny złowrogi sygnał: „Wy, polscy Żydzi, nie możecie się tu czuć jak u siebie". Powróciły traumy Holokaustu. Znowu starali się być niewidoczni. Tym razem nie dla hitlerowców i szmalcowników, ale tłumów gromadzących się na tak zwanych „wiecach marcowych", gdzie żydowskie korzenie stawały się najgorszą obelgą.

W tamtych dniach redaktor Roszko dostał zawodowe zlecenie z redakcji. Opisać uliczną manifestację wzywającą „syjonistycznych wichrzycieli", by przestali „udawać" Polaków i wyjechali z kraju.

4 H. Hermanowicz (zdj.), J. Roszko (1966). Brzegami Popradu. Warszawa: Sport i Turystyka. Str. 5-6.



W Dziadku odezwała się Jego bezkompromisowość. Odmówił wykonania polecenia. Być może dlatego, że – jako członek polskiej rodziny o ormiańskich korzeniach – doskonale rozumiał, co to znaczy być mniejszością w Polsce. Historia Jego własnej rodziny pokazywała, że jakakolwiek „odmienność" nie odbiera prawa do jednoczesnego bycia Polakiem i patriotą.

Nie ugiął się, gdy zagrożono Mu konsekwencjami. Skończyło się najgorszą zawodową karą, jaką może otrzymać literat. Skazaniem na milczenie. Z wilczym biletem w dłoni wyrzucono Go z zespołu redakcyjnego „Dziennika Polskiego". Dopiero dwa lata później doczekał się rehabilitacji.

„Nie był to jego pierwszy ani ostatni zatarg z ówczesnymi i późniejszymi mocodawcami, głoszącymi, iż powinien myśleć «tak jak wszyscy»" – charakteryzował Go przyjaciel od czasów studiów na UJ Stanisław Stanuch, także reportażysta.

*

Po powrocie do zawodu zaczął pisać cieszące się wielkim zainteresowaniem felietony do „Gazety Krakowskiej"[5].

5 Felietony w ramach cyklu „Moje trzy grosze" powstawały w latach 1972–1983. Najpierw publikował je na łamach „Gazety Krakowskiej", a od 1982 r. – w „Przeglądzie Tygodniowym".

Z czasem został wiceprezesem Związku Literatów Polskich[6], przez co regularnie latał samolotem na trasie Kraków–Warszawa. Była pierwsza połowa lat 80. Zdobycie talonu na najprostszy samochód graniczyło z cudem, a mój Dziadek podróżuje samolotami z częstotliwością, z jaką inni kursują miejskimi autobusami marki Ikarus. Cóż to było za przeżycie!

Jako kilkuletni chłopiec przesiadywałem wtedy przed domem Dziadka w wiklinowym koszu. Z powodu awantur, które urządzałem, domagając się wypuszczenia „na wolność" do ogrodu, Dziadek dał mi przydomek Iwan Groźny. Nawet w takich sytuacjach wychodziła z Niego nieprzeciętna pasja historyka.

*

Ta miłość powodowała, że porywał się na rzeczy wielkie. Tak było wiosną 1973 r., kiedy wybrał się w Daleką Podróż do Iraku i Kuwejtu.

Dziś – pominąwszy kwestie bezpieczeństwa i polityki – taki kierunek w ogóle nie wzbudzałby emocji. Ot, niecałe trzy tysiące kilometrów w linii prostej od Krakowa. Trzy i pół, może cztery godziny lotu samolotem. Dłużej leci się z Polski do Portugalii.

6 Chodzi o lata 1983–1986. Później – do 1989 r. – pełnił funkcję prezesa Klubu Literatury Faktu przy ZLP. Z kolei między 1973 a 1981 r. prezesował Klubowi Reportażu przy Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Tyle że reporter Roszko wraz z ówczesną żoną – którą „od zawsze" nazywamy Ciocią-Babcią wybrali się w podróż... Fiatem 125 o numerze rejestracyjnym KR 0013. Podpięli do niego niemniej mikroskopijną – jak na dzisiejsze standardy – przyczepę kempingową Niewiadów N-126 Łącznie takim zestawem pokonali 16 tysięcy kilometrów.

Ze względu na awaryjność dużego Fiata tylko odważni lub zdesperowani wybierali się nim dalej niż na drugi koniec województwa. A tu mówimy o przejechaniu z samego środka Europy na inny kontynent. Trzeba mieć naturę awanturnika, by się na to zdobyć.

Każdy odcinek Dalekiej Podróży Dziadek na bieżąco opisywał w korespondencjach dla „Przekroju"[7]. To był czas rządów Edwarda Gierka. Polska „kwitła". Chwilowo można było zapomnieć o niewydolnej gospodarce chronicznych niedoborów. Władza chwaliła się sukcesami rodzimych przedsiębiorstw prowadzących wielkie budowy w Grecji, Libii czy dalekiej Afryce. Nikt nie przejmował się tym, że dopadną nas skutki rosnącego zadłużenia, co za kilka lat przyspieszy zjazd po równi pochyłej.

7 Te relacje zapowiadano m.in. nagłówkiem „Z Egiptu o ukrytych skarbach pisze JANUSZ ROSZKO". Do dziś można je odnaleźć i przeczytać w cyfrowym archiwum czasopisma dostępnym na stronie internetowej.

W samym Iraku, gdzieś w dorzeczu Tygrysu i Eufratu, czyli w sercu starożytnej Mezopotamii i niedaleko Zatoki Perskiej, Dziadek przyglądał się wykopaliskom archeologicznym, próbując zgłębić historię Sumerów czy Amorytów. To musiało Mu dawać niesamowite poczucie spełnienia.

Kilkumiesięczna podróż zakończyła się nie tylko zdobyciem ogromu wiedzy, doświadczeń i znajomości. Od polskiego archeologa, który przekopywał Mezopotamię, Dziadek dostał charta arabskiego. Smukłego psa o niemal białej sierści i niezwykle długich, chudych nogach. W ówczesnej Polsce wzbudzał on taką samą sensację, jaką dziś wywołuje samo planowanie wyprawy samochodem z Polski na Bliski Wschód.

*

Pamiętam Dziadka jako niesamowicie surowego i zdyscyplinowanego człowieka. Wielokrotnie słyszałem dykteryjkę, jak kiedyś samotnie odjechał sprzed domu, bo reszta podróżnych – członków najbliższej rodziny – pojawiła się przy samochodzie parę minut po umówionej godzinie.

Taki był. Bezkompromisowy. W życiu prywatnym bywało to trudne do zniesienia. Co innego z zawodowego punktu widzenia. Szczególnie, jeśli ktoś chce zachować twarz i prosty kręgosłup, będąc dziennikarzem i pisarzem w PRL-u.

Sam o sobie pisał, że „poszedł na lewo": „Brałem udział – piórem – w ambitnych zmaganiach mojego pokolenia,

w odbudowie kraju, w ogromnych przemianach społecznych. Najpierw pisałem reportaże o wielkich budowach pełne entuzjazmu. Potem reportaże krytykujące ten okres [...]. Nigdy nie odpowiadała mi postawa na baczność. Ani wobec władzy, ani wobec naczelnych redaktorów, ani wobec profesorów archeologii"[8].

Dziadek należał do wyjątkowo naznaczonego pokolenia, które pamięta tragedię II wojny światowej, a w dorosłość wchodziło w stalinowskiej Polsce. Trudna historia odcisnęła na Nim niezbywalne piętno. Historia – nie tylko ta osobista, ale i powszechna – stała się Jego wielką miłością.

*

Całe dnie spędzał nad książkami, robiąc notatki czy stukając w czarne bakelitowe klawisze swojej maszyny Olivetti, przywiezionej pewnie z jakiejś zagranicznej podróży odbytej mniej w celach turystycznych, a bardziej, by sięgać do źródeł i poszerzać horyzonty.

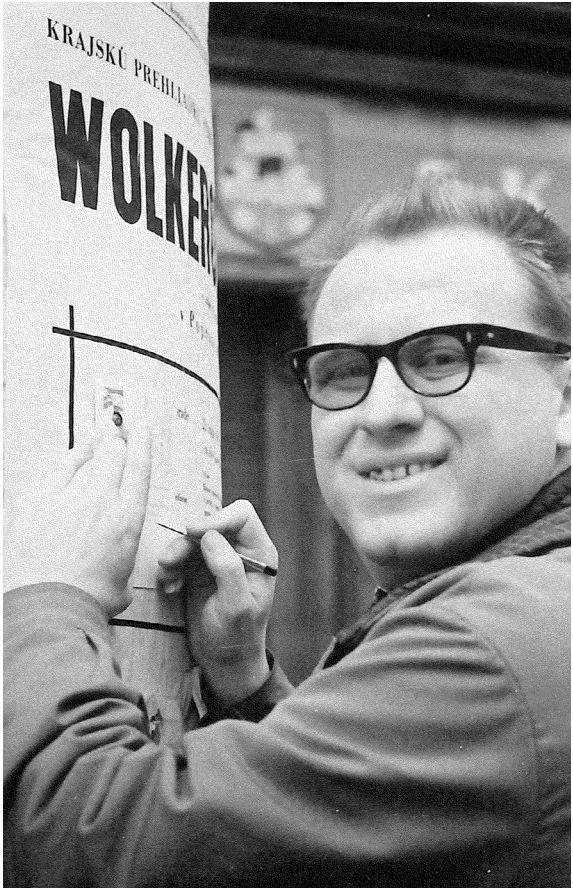
Jego gabinet był świątynią wiedzy. Mniej więcej 40-metrowe pomieszczenie, wysokie na 4 metry, po sufit gęsto zastawione książkami. W tych nielicznych miejscach, gdzie na ścianach nie było regałów, wisiały obrazy przedstawiające Tadeusza Kościuszkę na krakowskim rynku, mapy mocarstwowej I Rzeczypospolitej i fotografie przodków

8 Za: S. Stanuch (2005). Nie tylko reportażysta. O Januszu Roszce w dziesiątą rocznicę śmierci. „Przegląd" z 20 marca.

z czasów „lwowskich". Cała ta sceneria na tyle przygniatała swoją powagą, że człowiek automatycznie ściszał głos i truchlał. Jak to w świątyni.

Dziś, ponad 30 lat po Jego śmierci, wchodzę do tego samego gabinetu już bez tamtej trwogi, ale wciąż czując majestat bijący od wielkich obrazów i pełnych regałów. Wertuję te same co On książki, wyciągane na chybił trafił, i co rusz napotykam Jego podkreślenia, notatki, odnośniki... Z tych mikrofaktów, szczegółików, jakichś historycznych drobinek konstruował jedno zdanie nowego reportażu czy felietonu. W Jego pisarstwie nie było miejsca na faktograficzne niedopowiedzenia czy tym bardziej zmyślanie. Nie pozwalały na to Jego zdyscyplinowany umysł i przywiązanie do prawdy. Każdy napisany fragment musiał mieć odzwierciedlenie w rzeczywistości. To niezwykle ciężka praca, swoista archeologia historyczna połączona z szukaniem igły w stogu siana. Szczególnie, kiedy nie miało się dostępu do Internetu, cyfrowych baz danych, narzędzi wspomaganych sztuczną inteligencją, a trzeba było precyzyjnie odtworzyć świat nie sprzed roku, ale z czasów Kazimierza Pułaskiego („Ostatni rycerz Europy") czy Maurycego Beniowskiego („Awanturnik nieśmiertelny").

Swoją drogą, ta podróż tropami „króla" Madagaskaru musiała być dla Niego wyjątkowo ekscytująca. Także Ormianin. Również pochodzący ze Lwowa. Przez dekady związany z Krakowem. Do tego tytułowy awanturnik. To żaden przypadek, że Dziadek napisał książkę właśnie


KRAJSKÚ PREHLI
WOLKER

o nim. Musiał widzieć wiele wspólnych elementów biografii bohatera i autora.

*

Bezsprzecznie był piekielnie mądry, oczytany i obdarzony niezwykłą pamięcią. Znał chyba wszystkie możliwe łacińskie sentencje, które wbijał do głowy swoim kilkuletnim wnukom – bratu i mnie. Zresztą wiele z nich pamiętam do dziś. Bez zająknięcia cytował też rozległe akapity „Pana Wołodyjowskiego" czy ormiańskie modlitwy.

Z najbardziej banalnej historii potrafił stworzyć niezwykłą opowieść, w której czytelnik w mig stawał się jej uczestnikiem. Lądował w samym środku opisywanej historii, gdzie aż bulgotało od opisów wojen, namiętności, pasji, upadków, sukcesów i nadziei. Wszystkiego, co powoduje, że nie chcemy odłożyć książki, zanim dobrniemy do finału, a później zostajemy z poczuciem fascynacji i niedosytu. Bo to już koniec.

Nawet kiedy osią opowieści były... murarstwo[9] czy spółdzielczość[10], tworzył barwne gawędy pełne anegdot i pasjonujących detali.

9 Debiut książkowy: Ilość, jakość, oszczędność. Metoda Stanisława Lorenca (1954). Kraków: Wydawnictwo Literackie.

10 J. Roszko, L. Marcinik, W. Wierzewski (1960). XV lat spółdzielczości pracy ziemi krakowskiej (1945–1960). Warszawa: Centralna Rolnicza Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska".

Prócz pisania reportaży, felietonów czy relacji z podróży zajmował się także przekładami (z niemieckiego i angielskiego) oraz uczeniem studentów dziennikarstwa[11].

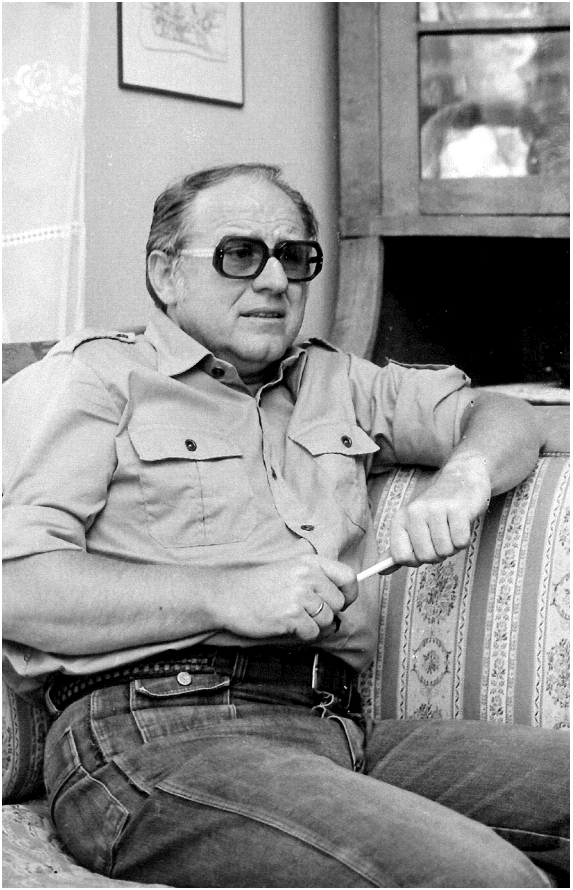
*

Ogromna część twórczości Dziadka ukazała się, zanim przyszedłem na świat. Ale miałem okazję na własne oczy obserwować Jego pracę, między innymi nad „Westerplatte broni się jeszcze", a w pewnym stopniu także w niej uczestniczyć.

Pamiętam Dziadka na długie godziny zamykającego się w gabinecie, skupionego nad wielkim biurkiem z ciemnego drewna. Zanurzonego w fotelu obitym ciemnozieloną tkaniną, z ukochanym wilczurem Baryłą śpiącym mu w nogach (chart arabski Aluś już wtedy nie żył). Zazwyczaj w gładkiej koszuli z równo zaciągniętymi rękawami. W nieodłącznych okularach w grubych kwadratowych oprawkach. Co jakiś czas pozwalał mi się wślizgnąć do gabinetu, by w całkowitej ciszy obserwować Go przy pracy. W przerwach, w czasie rodzinnych posiłków, dzielił się przemyśleniami dotyczącymi powstającej książki.

Pamiętam też wizję lokalną w Trójmieście, gdzie Dziadek

11 Między 1974 a 1982 r. był starszym wykładowcą w Dziennikarskim Studiu Podyplomowym przy Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz – w latach 1974–1976 – w Instytucie Nauk Politycznych UJ.



przyjechał na parę dni, by samemu zobaczyć pozostałości po Wojskowej Składnicy Tranzytowej na Westerplatte. Nie miałem pojęcia, że nosi w sobie niezwykłą tajemnicę związaną z polską eksklawą w Wolnym Mieście Gdańsku.

*

Tajemnicę przekazano mu we wrześniu 1958 r. Dopiero co odbyły się uroczystości związane z 19 rocznicą wybuchu II wojny światowej. Po raz kolejny państwowi oficjele wspominali o bohaterskiej postawie mjra Henryka Sucharskiego. Rolę jego zastępcy na Westerplatte – kpt. Franciszka Dąbrowskiego – znowu zbyto cichą obojętnością.

Młody, ale już dający się zauważyć reporter spędzał wieczór w Klubie Dziennikarza w Krakowie. Naprzeciwko niego siedzi Dąbrowski – wtedy już kmdr ppor. Marynarki Wojennej. Dwukrotnie starszy i po wielu życiowych perturbacjach (po wojnie doświadczał mnóstwa szykan – za bycie „sanacyjnym oficerem" i szlacheckie pochodzenie; musiał dorabiać jako kioskarz i domorosły producent pantofli).

26-letni syn podporucznika, ze szlacheckiego rodu Rola[12], nie spotkał się z potomkiem szlachty herbu Jelita, by powspominać „jak to drzewiej bywało"... Wojenny kombatant postanowił podzielić się tajemnicą, której

12 T. Gajl (1999). Polskie rody szlacheckie i ich herby. Białystok: Benkowski. Str. 176.

ujawnienie miało ruszyć z posad jeden z największych mitów współczesnej Polski.

„W drugim dniu bohaterskiej obrony składnicy na Westerplatte przed niemiecką nawałą mjr Sucharski kazał wywiesić białą flagę" – wyrzucił z siebie Dąbrowski. Dziadka musiało wbić w krzesło.

Niemcy to zauważyli – co potwierdza m.in. treść ich radiodepeszy nadanej do dowództwa w Świnoujściu – i na moment przerwali ogień. Wtedy do akcji wkroczył Dąbrowski. Przejął dowodzenie i cofnął decyzję o kapitulacji. Zaledwie dwustu Polaków – prawie bez wody, ciepłego jedzenia i chwili wytchnienia – kolejne pięć dób stawiało opór wrogowi, który dysponował kilkukrotnie liczniejszym wojskiem, ogromną siłą ognia artyleryjskiego, bombowcami itp.

W czasie spotkania w krakowskim Klubie Dziennikarza Dąbrowski wyjawił tajemnicę, ale postawił też warunek – Dziadek nie piśnie o tym słowa przez co najmniej 25 lat.

*

W końcu na przełomie lat 80. i 90. ujawnił wszystko w książce „Westerplatte broni się jeszcze" i w serii artykułów prasowych, m.in. w „Polityce". Rozpętało się piekło. Różnej maści „specjaliści" i publicyści zarzucali Dziadkowi kłamstwa, konfabulację, hańbienie dobrego imienia oficera... Rzekomo wersja Franciszka Dąbrowskiego miała być obliczona na poprawę własnego wizerunku kosztem

dowódcy obrony. Co za nonsens! Załamanie nerwowe, atak epilepsji czy inna (chwilowa) niedyspozycja – nie ma pewności, co stało się z Sucharskim – ani trochę nie przekreślają bohaterskiej karty dowódcy z Westerplatte. Wręcz odwrotnie. Pokazują, że żołnierz dokonał czegoś mimo własnych słabości. Bohater też jest człowiekiem z krwi i kości.

Tamta medialna burza pokazała co najmniej dwie rzeczy:

– wąskie horyzonty krytyków Dziadka, którym nie mieściło się w głowie, że panteon narodowych bohaterów może (powinien?) pomieścić mjra Sucharskiego, kpt. Dąbrowskiego i około 200 żołnierzy z Wojskowej Składnicy Tranzytowej;
– wielką niszczącą siłę hejtu, co 35 lat temu nie było jeszcze takie oczywiste.

Co prawda na początku lat 90. Dziadek wygrał proces sądowy z tymi, którzy na łamach „Dziennika Bałtyckiego" zarzucali Mu kłamstwa i brak warsztatu, ale było to pyrrusowe zwycięstwo. Bodaj siódma wygrana sądowa batalia w Jego literacko-dziennikarskiej karierze nie skończyła się wykonaniem wyroku przez redakcję „DB".

Dziadek – wciąż młody człowiek, dopiero dobijał do sześćdziesiątki – bardzo to przeżył. Zaczęły się coraz poważniejsze problemy ze zdrowiem. Jakiś czas później usłyszał diagnozę: nowotwór. Zmarł 10 lutego 1995 r.

Dopiero po Jego śmierci historia chwilowej niedyspozycji mjra Sucharskiego i odważnej decyzji kpt. Dąbrowskiego przestała być spiskową teorią pozbawioną

naukowych podstaw. Dziś ta wiedza weszła do kanonu, przekazują ją miarodajne źródła opisujące bohaterską walkę tych, co „prosto do nieba czwórkami szli”[13]. Ale wciąż rzadko przy tej okazji pada nazwisko Janusza Roszki. Jego książki również cieszą się raczej ograniczonym powodzeniem. Nie znajdziemy ich w księgarniach, co najwyżej w wybranych bibliotekach i antykwariatach. Tym bardziej cieszy, że po prawie pół wieku „Miedziany kraj” znów trafi w ręce Czytelników.

Maciej Cnota urodził się w Gdyni, ale znaczną część młodości spędził w Krakowie, u boku Dziadka Janusza Roszki. Debiut dziennikarski także zaliczył jako nastolatek. Miał 17 lat, kiedy jego pierwszy tekst ukazał się w „Dzienniku Bałtyckim” – tym samym, z którym procesował się jego Dziadek. Przez 30 lat pracy w mediach większość czasu spędził w TVN i TVN24 jako reporter, relacjonując wydarzenia na kilku kontynentach.
Jest wykładowcą akademickim, autorem książki oraz publikacji historycznych, które ukazały się na łamach „Gazety Wyborczej” czy „Newsweeka”.

13 Fragment wiersza K.I. Gałczyńskiego „Pieśń o żołnierzach z Westerplatte”.

PRASA POLS
PRASA POLS
PRASA POLS
PRASA POLS

01

MISTER CUPRUM

Ma twarz, na której fale czasu pędzone wiatrem i deszczem osadzają się zielonkawym pyłem. To jest właśnie prawdziwa patyna czasu. Na dachach wawelskich i starych rondlach pamiętających czasy Wołodyjowskich i Zagłobów, na starych monetach, które wyszły z kursu i niczyja ręka ich nie przelicza, nadając im połysk pieniądza, który jest w obiegu. A jednak jest młody i bogaty, potężny i ekspansywny, mile widziany na wszystkich rynkach i kokietowany przymilnie.

Mister Cuprum. Pan Miedź. Spaceruje sobie nerwowymi krokami po Dolnym Śląsku – na trasie od Legnicy do Głogowa, zdając sobie sprawę, że robi właśnie zawrotną karierę, ale nie ma jeszcze dostatecznego rozgłosu, nie odbiera należnych hołdów, tysiące ludzi nie przyklaskuje jego sukcesom. Jego krok jest nerwowy, ale pewny. Nerwowość wynika z niecierpliwości, że to jeszcze nie tak, jak być powinno. Ale pewność swojej kariery Mister Cuprum ma.

To już nie ten czas, gdy woda strumieniami pod ciśnieniem kilkuset atmosfer wdzierała się do wnętrza drążonych szybów. Gdy awarie wstrzymywały pochód ku pokładom rudy miedziowej. Teraz są podziemne korytarze, w których panuje lipcowy upał – taka temperatura jest pod ziemią – i gdzie jeżdżą już kolejki przez podziemne dworce. Windy wywożą rudę miedzi na powierzchnię, ale nie jest to jeszcze wydobycie pełne – na razie to, co wydobywa

się przy drążeniu chodników, przygotowując kopalnie „Lubin" i „Polkowice" do rozpoczęcia eksploatacji.

On nigdy nie zabierał się do rastignakowskiej kariery, arywizm jest mu obcy, nie był nigdy hochsztaplerem ani pretensjonalnym bubkiem. Jest to po prostu dżentelmen, który zna swoją wartość. I wszyscy znają jego wartość: około 700 dolarów za tonę czystego kruszcu.

Dawniej przeliczało się nieco inaczej. Jeśli powołamy na świadka pana Homera, to zezna on, iż złota zbroja Glaukosa kosztowała sto krów, zaś miedziana Diomedesa – tylko 9 krów. Okazuje się, że Homer interesował się nie tylko losami pięknej Heleny, ale również cenami rynkowymi, co świadczy o szerokich horyzontach tego ślepego skądinąd starca. A więc mamy proporcję z czasów starożytnych: za 11 kilogramów miedzi przynoszono nam bez zmrużenia oka i bez targu 1 kilogram złota. Od tego czasu cena miedzi spadła, aby w XX wieku podskoczyć i piąć się w górę. Coraz więcej krów za zbroję Diomedesa... W roku 1925 tona miedzi kosztuje 300 dolarów. Jest to zaledwie pierwsze ćwierćwiecze tego stulecia, które odbiorniki radiowe sprowadzi do wymiarów pudełka zapałek i niewiększe nadajniki wysyłać będzie na daleką Wenus, aby przekazywały meldunki o warunkach na powierzchni tej planety. A do tego wszystkiego konieczna jest miedź. Tak więc przestała być potrzebna tylko na dachy kościołów i do odlewania dzwonów ze spiżu (miedź plus cyna, plus cynk), na klamki z mosiądzu (miedź plus cynk) czy

pomniki z brązu (miedź plus cyna), ale decyduje o produkcji silników elektrycznych – bo potrzebna jest na uzwojenie; o sieci telefonicznej – bo potrzebna jest na kable; o transformatorach i tramwajach. Jest dyktatorem w przemyśle elektronicznym i radiowym, gdzie nic nie obejdzie się bez miedzi, która jest dobrym przewodnikiem elektryczności. Zasoby należące do Mistera Cuprum oglądane są przez wszystkich pożądliwym okiem.

Do niedawna nie było ich na mapie gospodarczej świata. Więcej wiedziano o polskim złocie niż o polskiej miedzi. Oczywiście z historii: jedno z najstarszych miast Śląska, Złotoryja, nazywane było w dokumentach „oppidum auri fodinarium", czyli miasto kopalń złota. Do leżących wzdłuż Kaczawy miejscowości: Lwówka, Bolesławca, Legnickiego Pola, gorączka złota sprowadziła kopaczy i konstruktorów płuczek. Nigdy wielkich bogactw tu nie wydobywano: kroniki śląskie powiadają, że tygodniowo dobywano złota o wartości 150 marek (rok 1213). W XIV wieku zaprzestano eksploatacji w złotonośnym zagłębiu. W XX wieku niemieckie kopalnie sięgnęły po niskoprocentową miedzianą rudę. Odwodnione kopalnie pod Bolesławcem i Złotoryją przynosiły nam miedzi tyle, że na światowej tabeli producentów tego kruszcu w ogóle nas nie umieszczano.

Nie liczyliśmy się zupełnie. Dopiero odkrycie doktora Wyżykowskiego wstrząsnęło Polską i światem. Może nawet bardziej światem niż Polską. Wielka miedź na

Dolnym Śląsku, ogromne pokłady rud, nowe bogactwo – tak pisano, ale byliśmy już trochę tymi odkryciami zepsuci. To nam siarka nad Wisłą obrodziła, to nafta nam siknęła pod odrzańskim Krosnem, to znowu gdzieś o nowej soli potasowej pisali...

A tymczasem badania nad złożami trwały – przesuwaliśmy się w światowej tabeli złóż szybko w górę. A tabela przedstawiała się dotąd tak: Rodezja Północna, Chile, USA. Przy czym Rodezja i Chile w sumie posiadały ponad połowę odkrytych dotąd złóż. Około 90 milionów ton.

Jeżeli Polska miała dotąd coś wspólnego z miedzią, to tylko przez Ignacego Domeykę, powstańca z 1830 roku, który wyemigrował i ukończył w Paryżu École des Mines. On stworzył naukowe podstawy eksploatacji bogactw naturalnych w Chile, gdzie przez wiele lat był profesorem mineralogii i rektorem uniwersytetu w Santiago. Jego imieniem nazwano miasto, pasmo górskie w Andach, amonit chilijski oraz minerał arsenek miedzi, występujący w jednym z największych na świecie złoży – w Chuquicamata w Chile. Nazywa się domeykit. Jedyny punkt plusowy polskiego Mistera Cuprum do roku 1957.

Wówczas to dzięki badaniom doktora Wyżykowskiego odwiercono pod Sieroszowicami wielką miedź na Dolnym Śląsku. Drugim odwiertem trafiono w złoże w Lubinie.

Mister Cuprum chodzi nerwowym krokiem po Lubinie i nie zdradzi wam swoich cierpień dusznych. Mister

Cuprum spogląda z zazdrością na fetowanego od tylu dziesięcioleci Króla Węgla i mruży oczy trochę ironicznie: „Król Węgiel jest stary i sflaczały, damy mu radę". Chemia już chyba raz na zawsze pogniewała się na starego króla. Jeszcze pozostało mu grzejnictwo – koks dla kotłowni centralnego ogrzewania, koks dla hut... Cena węgla za tonę spada, koniunktura przeszła. Mister Cuprum patrzy z lubością na domy swojej lubińskiej stolicy – oczyma z miedziaków, które mają walor złotych dwudziestodolarówek – i zastanawia się, kiedy, za ile lat, przyjdzie mu błysnąć wspanialej od Katowic i Górnego Śląska. „Bo taki czas – powiada Mister Cuprum – nadejść musi".

Przesuwamy się wciąż w tabeli zasobów rudy. Byliśmy u dołu pierwszej dziesiątki świata, teraz jesteśmy u góry. Które miejsce? Złoże jeszcze nie jest zdokumentowane do końca, podobno jest jeszcze miedź po prawej stronie Odry. Jedziemy w górę. Cena za tonę czystego kruszcu rośnie. Plany wielkiego zagłębia miedziowego coraz są bliższe zrealizowania. Idą w ruch suwaki logarytmiczne, stukają maszyny do liczenia...

Nowe zagłębie na początek ma dostarczać pół miliona ton rudy. Ale w przyszłości pięć kopalń ma wydobywać rocznie wielokrotnie więcej. Niech maszynka przeliczy to na tony czystej miedzi, przemnoży przez dolary – czy wartość tego zagłębia nie ma szans przewyższenia wartości produkcji Króla Węgla? Podobno przeliczano – jak zwierzał mi się Mister Cuprum – i jego jest górą.


PIEŁ
RUDA
Kop



Cena za tonę czystego kruszczu rośnie. Plany wielkiego zagłębia miedziowego coraz są bliższe zrealizowania. Idą w ruch suwaki logarytmiczne, stukają maszyny do liczenia...

Ale na razie zadania mamy prostsze: najpierw zlikwidować import, który wynosi około 80 tysięcy ton rocznie. Potem zaczniemy eksportować połowę wydobycia.

Teraz rośnie armia górników, którą werbuje niezmordowany Mister Cuprum. Wchodzą w chodniki biegnące głęboko – znacznie głębiej pod ziemią niż u Króla Węgla, ale za to w chodniki niezabrudzone czarnym pyłem i ogrzane przez podziemne ciepłownie, które zbudowała sama natura – aby pomnażać bogactwa kraju.

Hola, Mister Cuprum! Czy aby pańskie królestwo jest tak potężne, by z sardonicznym uśmiechem na pośniedziałej twarzy aż tak zadzierać nosa? Ostatecznie pańscy przodkowie ponieśli sławną klęskę pod Maratonem, gdy brązowe miecze Persów trafiły na żelazo w ręku Greków dzielnego Miltiadesa. Był więc czas, gdy miedź przegrywała z żelazem. Odpowie mi pan, że pańskie królestwo może się chwalić nie tylko miedzią, bo w lubińskiej rudzie znajdzie się jeszcze to i owo – srebro, nikiel, kobalt, molibden... Ale jeszcze nie opracowano ostatecznie metod oddzielenia tych rzadkich i cennych pierwiastków od rudy. Proces flotacyjny, polegający na oddzieleniu od rudy wszystkich zanieczyszczeń i pozostawieniu koncentratu nadającego się do wytapiania miedzi w piecu, przechodzi etapy doskonalenia, a przy opracowaniu go biedziły się najtęższe głowy krajowego hutnictwa z profesorami krakowskiej AGH na czele. I jeżeli komuś wydaje się, że oddzielenie tych cennych i rzadkich pierwiastków jest łatwe, to niech sobie

wyobrazi, że to zabieg niemal alchemiczny, wymagający studiów i doświadczeń...

Mister Cuprum mrugnie zielonymi oczami, strzepnie śniedź z powiek. „Nie wstydzę się śniedzi – powie – bo choć to zielona patyna, to od wyrazu «śniedź» urobiła się współczesna moja nazwa polska «miedź»". I zaznaczy skromnie, że jego królestwo jest dwa razy większe od sławnego księstwa Luksemburg, które znane jest w Europie jedynie ze swej radiowej rozgłośni nadającej przeboje nowoczesnej muzyki lekkiej. Luksemburg ma 2585 km^2 powierzchni, a Lubińsko-Głogowski Okręg Miedziowy – 4850 km^2. I nie ma własnej rozgłośni radiowej. Ale czy to o czymś świadczy? Królestwo Mistera Cuprum wykrojono z 10 powiatów na pograniczu województw wrocławskiego i zielonogórskiego. Herb Luksemburga i największego miasta na terenie LGOM jest podobny: lew w koronie. Tyle że lew legnicki ma jeszcze klucze, piękne i staroświeckie. Ale widać w tym pewien symbol: one posłużą mu do otwarcia drzwi miedzianego sezamu. Przecież w oparciu o miedź i swoją starą piastowską historię będzie swą przyszłość Legnica kształtować.

Czy Mister Cuprum zdecyduje się jej pomóc? Za siedzibę przecież obrał sobie mniejszy Lubin, aby być bliżej szybów kopalnianych i własnym okiem doglądać robót wydobywczych... Ale co tu mówić – bogactwa rodzą bogactwa. Budowa LGOM to największa inwestycja w historii Polski Ludowej, przewyższająca nakładami

budowę Nowej Huty. Dziesięciokrotnie przewyższa koszty budowy Turoszowa. Mówiąc prosto: XX wiek na terenie Polski nie zapisał się większym przedsięwzięciem budowlanym.

W okresie pięciolatki 1961–1965 przewidziano na LGOM aż 3 miliardy złotych. W bieżącej pięciolatce też wydamy miliardy. Nie sami: przyszła nam w pomoc Czechosłowacja, której w zamian za dostawę półproduktów i wyrobów gotowych zapłacimy w przyszłości miedzią z wybudowanych kopalni. Nie znaczy to, że za darmo... Pożyczka – choć w produktach na ogólną kwotę 112,5 miliona złotych – jest oprocentowana. W dzisiejszych czasach najwięksi przyjaciele za pożyczki biorą obowiązujący procent.

Mister Cuprum zatrudnił 20 tysięcy ludzi przy budowie. Ile wyniesie zatrudnienie w kopalniach? Na razie w dwóch: „Lubin" i „Polkowice I", będzie niezbyt imponujące. Perspektywa budowy następnych – „Polkowice II", „Sieroszowice", „Małomice" – staje się coraz bardziej realna. Opłacalność wydobywania rud miedzi spod ziemi zaczyna się przy zawartości 1 procenta kruszcu w rudzie. Złoża lubińsko-głogowskie można zaliczyć do średnich, a w niektórych partiach – do bogatych!

Ile wyniesie okres, w którym zwrócą się nakłady finansowe wyłożone przez kraj na budowę LGOM? Powiada się, że zaledwie osiem lat. Oczywiście, jeżeli koszt produkcji jednej tony miedzi będzie niższy niż w krajach

kapitalistycznych i jeżeli osiągniemy produkcję roczną o wartości 10 miliardów złotych (w relacji dolarowej około 200 milionów dolarów).

Mister Cuprum siedzi zasępiony nad tabelami i rozmyśla. Dysponuje między Lubinem a Głogowem złożami, które przewyższają wszystkie pozostałe w Europie razem wzięte i stawiają nas, ostrożnie licząc, na szóstym miejscu w świecie. Ale zużycie miedzi na głowę mieszkańca Polski wynosiło w 1963 roku 1,88 kg, podczas gdy w Czechosłowacji w analogicznym okresie – 5,27 kg, w NRD – 4,09 kg, a w ZSRR – 2,76 kg. Wyprzedziły nas nawet Węgry i Bułgaria. A tutaj czyta się w enuncjacjach prasowych: zaplanowaliśmy blisko trzykrotny wzrost produkcji przemysłu elektrotechnicznego, postawiliśmy na szybki rozwój energetyki i budowę wielkich linii przemysłowych. Do tego wszystkiego potrzebna jest miedź – od czasu, gdy prąd elektryczny wciągnięty został w służbę człowieka, człowiek potrzebuje coraz więcej miedzi.

Mister Cuprum oblicza: w latach siedemdziesiątych zużycie miedzi na głowę mieszkańca wzrośnie do 3 kg. Skoczymy w tabeli nieco w górę. W połowie lat siedemdziesiątych wzrośnie do 4,5 kg na głowę. Będzie lepiej. W roku 1980 ma wynieść już 7,25 kg, a więc dogonimy czołówkę europejską, ale nie będziemy błyszczeć pośród konkurentów. W roku 1963 zużycie miedzi na głowę ludności w Anglii wynosiło 10,46 kg, w NRF – 9 kg, we Francji – 5,32 kg, a we Włoszech – 4,56 kg. A przecież w ciągu

kilkunastu lat zużycie w tych krajach wzrośnie. Nie będą czekać, aż my zaczniemy połykać miedź coraz większymi haustami i dopiero wówczas staną do wyścigu...

Mister Cuprum pełen jest optymizmu. Wyliczył ostatnio, że złoża, którymi dysponuje – w przeliczeniu na czystą miedź – stawiają Polskę na drugim lub trzecim miejscu w świecie. Zabiera 10 procent dochodu narodowego na rozbudowę swego królestwa, ale mówi, iż gest mieć będzie też królewski. Chce, aby LGOM dawał więcej niż 10 procent dochodu narodowego...

W zielonych oczach Mistera Cuprum jest nadzieja.

02

NIEPOKONANE

Sto trzydzieści pięć kilometrów na godzinę, równiutkie taśmy autostrady, co chwilę cień wiaduktu spadający na oczy. W wozie pachnie zerwana po drodze czeremcha, leżą dwie złocistorude krople miedzi, w notatniku zapisana historia dnia zwycięstwa, tak jak ten dzień przeżył Józef Szczotka, pierwszy polski osadnik ze wsi Sieroszowice. Stuk opon na łączeniach betonowych płyt, wiosenne obezwładniające powietrze pcha się wartkim strumieniem przez okna samochodu. Pęd przegina do tyłu wystawianą na zewnątrz rękę. Po lewej ręce mam srebrzystoseledynowe wieże wyznaczające panoramę Legnicy, po prawej – rozległe pole. Dobre Pole. Tak się nazywa po prostu – od dawien dawna, może od lat tysiąca. Bo już wówczas, gdy w zgiełku bitewnym natarły na siebie dwie armie 625 lat temu, nosiło taką nazwę. Dobre Pole...

Legnickie Pole. Drogowskaz między pasami autostrady. „Muzeum bitwy". Wszystko jest rozsłonecznione, wiosenne, ciepła wilgotność spowodowała gwałtowny wybuch zieleni, jak w tropikach. Tamta bitwa – ze zgiełkiem i tumultem charakterystycznym dla bitew średniowiecza, z poświstem strzał tatarskich i urywanym, milknącym gwałtownie szumem tnących powietrze mieczy, urwanym, gdy żelazo grzęźnie w ciele wroga – tamta bitwa toczyła się też w kwietniu, w poniedziałek po Niedzieli

Przewodniej, z początkiem miesiąca zatem, bo Wielkanoc roku 1241 wypadła w ostatni dzień marca, bardzo wcześnie. W kwietniu 1945 roku jechały tędy polskie oddziały w rogatywkach, śpiewając „Marsz, marsz Polonia...", II Armia Wojska Polskiego gotowała się do operacji łużyckiej. I to też było z początkiem kwietnia... A oto kwiecień 1966 roku, autostrada pod Legnicą, w samochodzie czeremcha i dwie krople miedzi wytopionej w hucie imienia Waleckiego z rudy, na której pokładach zamieszkał Józef Szczotka, góral spod Żywca. Z autostrady wydostaję się na boczną drogę, po kilkuset metrach żółta tablica: „Legnickie Pole". Wieś o tej nazwie. Po lewej ogromny kompleks zabudowań klasztornych, nieco dalej niewielki, zbudowany z kamienia kościółek, pamiętający czasy połowy XIII wieku, pobudowany niedługo po bitwie przez świętą Jadwigę, matkę poległego księcia Henryka Pobożnego – w miejscu, gdzie znaleziono jego zwłoki. Owa święta miała w gruncie rzeczy okropny charakter: na wiadomość o śmierci męża, Henryka Brodatego, nie ruszyła się z klasztoru w Trzebnicy, modląc się żarliwie, aby uczucia ziemskie nie miały dostępu do jej serca... Na wiadomość o śmierci syna nie uroniła łzy. Straszliwa zdaje mi się ta nieludzkość niektórych świętych, przerażająca i jakaś nieboża wcale...

Dobre Pole jest rozległe i zielone, oziminy są bujne. W kościółku nieludzkiej i pozbawionej uczuć rodzinnych świętej urządzono Muzeum Bitwy Legnickiej. Ściany są

ozdobione starymi sztychami tak zwanej „Legendy obrazowej o św. Jadwidze" według Mikołaja Pruzi, który w niedalekim Lubinie, na zamówienie księcia Ludwika Piastowicza z ubogiej linii lubińskiej, stworzył w XIV wieku cykl obrazów uznanych za dzieło wysokiej klasy... Tak więc bitwa legnicka łączy się z Lubinem, stolicą polskiego zagłębia miedziowego. Na jednym ze sztychów Tatarzy w szpiczastych czapkach, na małych konikach, wioząc nadzianą na pice głowę księcia, podjeżdżają pod mury grodu legnickiego. Spośród zabudowań wyróżnia się jakowaś graniasta wieża nie wieża, nie jest bowiem tak cienka i smukła, jak bywają wieże, nie jest zbudowana na planie koła ani kwadratu. Bardzo ciekawa budowla. Magister Gumiński, entuzjasta przeszłości Legnicy, pokazywał mi odkryte niedawno fundamenty tego fenomenu architektonicznego na ziemiach polskich... Rzeczywiście taka budowla istniała i Mikołaj Pruzia, artysta z XIV wieku, nie wymyślił jej sobie, stwarzając wizję legnickiego grodu sprzed stu lat. Tyle bowiem czasu dzieliło go od bitwy.

Jadę więc z Legnicy na pole bitwy i łączę dalekie pozornie fakty: krople miedzi; Henryka Pobożnego, który dał głowę Tatarom; śpiewających żołnierzy w rogatywkach, którzy szli tędy na Budziszyn; Józefa Szczotkę dziwiącego się straszliwej strzelaninie wybuchłej w Sieroszowicach 9 maja 1945 roku, w biały dzień, w południe... Pora jest wymarzona na wyjazd reporterski – piękny dzień. „Czy może być milsza godzina dnia i cudniejsza pora roku?

To niebo purpurowe, te dzikie, a jednak łagodne głosy ptactwa, pachnące pąki drzew i kwiaty, miły wpływ wschodzącego słońca, te i tysiąc innych nienazwanych piękności natury budzą w duszy tajemne porywy. Władze duszy, o tej porze również śmielsze i żywsze, są zdolne do rozmyślań..." – pisał o takich okolicznościach zacny biskup Berkeley, dając świadectwo, że biskupi – nawet bardzo mądrzy – dają się czasem ponieść straszliwej grafomanii.

We wszystkie strony przez ziemię przebiegają wojenne szlaki. Szli przez Legnicę polscy szwoleżerowie, ci spod Somosierry, szły przez Legnicę sołdaty Kutuzowa w pościgu za Napoleonem... Sam cesarz Francuzów nocował w okazałej kamienicy w rynku, z której została teraz niegustowna ruina. To miejsce jest miejscem klęsk i zwycięstw – jak każde miejsce na ziemi. Śpiew zastępów Henryka Pobożnego, chór głosów mężnych, potężna melodia „Bogurodzicy", ogromny śpiew maszerujących autostradą oddziałów: „Marsz, marsz Polonia, nasz dzielny narodzie, odpoczniemy po swej pracy w ojczystej zagrodzie!" – były śpiewem niepokonanym. Sześć wieków po tamtej bitwie „spoza gór i rzek" szli polscy żołnierze do odzyskanej zagrody pod Legnicę. Jak Józef Szczotka, o którym dalej dokładnie opowiem.

I w tym reportażu nie może obejść się bez tragicznej sceny, choć miała ona miejsce pod Poznaniem, a nie Legnicą – bowiem od tego momentu właściwie zaczyna się sprawa polskiego Śląska, tragedia linii prawowitej

pierworodnych Piastów odsuniętych od tronu. Ustanowiony przez ojca, Bolesława Krzywoustego, seniorem, zapragnął książę Władysław ziemie polskie na powrót zjednoczyć, upokorzyć wichrzenia juniorów. Obległ ich w Poznaniu z początkiem 1146 roku i już brał górę, gdy w namiocie jego pojawił się arcybiskup Jakub ze Żnina. Służba przywiozła go na wózku, bo starzec chodzić już nie mógł. Wtoczony do namiotu rzuca klątwę na seniora i jego żonę... za sprowadzenie posiłków ruskich i pruskich. Służba jest przerażona, majestatyczny gest starca rzucającego klątwę na księcia wprawia ich w popłoch. Prędko wywożą arcybiskupa, wózek zaczepia o liny namiotu, namiot się wali na głowę księcia... Władysław dał się zaskoczyć wycieczce z grodu i jednoczesnemu uderzeniu z zewnątrz. Przegrana bitwa stała się dla wyklętego klęską absolutną. Władysław II uszedł. Dopiero synowie jego otrzymali dziedziczną dzielnicę Śląska, z Polską w niechętne wchodząc alianse... Stał się Władysławem Wygnańcem. A nasz sławny kronikarz, Wincenty Kadłubek, przez długi czas biskup krakowski z wyboru kapituły, w swojej kronice często gęsto popiera racje juniorów przeciw seniorom... Pisze ku chwale Kazimierza Sprawiedliwego, najmłodszego z braci...

Ojciec Henryka Pobożnego, tego przecież, który ginie od tatarskiej piki na legnickim polu – Henryk Brodaty – jest wnukiem Wygnańca, a synem Bolesława Wysokiego, jednego z najsławniejszych rycerzy swojej epoki, który

podczas oblężenia Mediolanu przez Fryderyka Barbarossę na oczach obu wojsk jednym uderzeniem kopii zrzucił najgroźniejszego włoskiego rycerza z konia. Władysław Wygnaniec odbył przecież wyprawę krzyżową, też był nie byle jakim rycerzem... Henryk Brodaty jest przede wszystkim politykiem, jakkolwiek nieraz wykazał się na bitewnych polach. Ten wnuk Władysława Wygnańca został wyklęty za sprawą arcybiskupa Pełki, który oskarżył księcia o najazd i pogwałcenie przywilejów archikatedry w czasie wojny 1234 roku... Mimo iż był mężem świętej kobiety, Jadwigi, z którą przystał na ślub wstrzemięźliwości. Nosił się skromnie, chadzał – ascetycznej modzie średniowiecza posłuszny – w szacie pokutnej i nosił długą brodę. Jeszcze papież Grzegorz IX pisał do jego syna, Henryka Pobożnego, aby załagodził arcybiskupa, bo inaczej kości ojca z poświęconego grobu wyrzucić każą...

Z sarkofagu w kościele cysterskim w Trzebnicy patrzy oblicze księcia Brodatego – majestatyczne, rysy twarde, upór i wola w namarszczonych brwiach pod mitrą. Ten człowiek miał wszelkie szanse, aby zostać królem Polski, przywrócić władzę pierworodnej linii Piastów. Zjednoczył w swoim ręku władzę nad Śląskiem, Krakowem, przeważną częścią Wielkopolski, czasowo władał księstwami opolskim i sandomierskim. Klątwa pokrzyżowała plany koronacyjne – nawet starania o koronę dla syna, Henryka Pobożnego, chybiają...

Ten młody władca, po śmierci Brodatego zasiadający od 1238 roku na książęcej stolicy, otrzymuje niezłe całkiem państwo – prawie zjednoczone. Rozpoczyna nową politykę: antyniemiecką. Ma plany koronacyjne nadal, ale nie szuka oparcia w cesarstwie... Zwycięsko rozprawia się z Brandenburgią oraz siłami arcybiskupa magdeburskiego, broniąc Lubusza, odbija z rąk niemieckich Santok, wreszcie opanowuje dalsze części Wielkopolski z Gnieznem. I potem jest już wizja Matejki: Henryk Pobożny z miną człowieka przeczuwającego klęskę wyjeżdża na czarnym demonicznym koniu z Legnicy... Podobno przed bitwą z legnickiego Kościoła Najświętszej Marii Panny spadł kamień, oberwał się nagle z wysokiego muru i runął tuż koło księcia, omal go nie zabijając... Wróżono z tego niepomyślnie...

Wyjeżdża Henryk Pobożny z Legnicy, wspaniale urządzonej i rozbudowanej przez swego ojca. Badania archeologów, o których dowiedziałem się od magistra Gumińskiego, twórcy i kustosza legnickiego muzeum, nieco mną wstrząsnęły. Po prostu nigdy nie przypuszczałem, że wiek XIII był dla Śląska wiekiem tak wspaniałym. Pękata wieża ze sztychu Mikołaja Pruzi pochodzi też z tego okresu. Była to kaplica zbudowana na planie dwunastoboku, z sześcioma filarami w środku, prawdopodobnie piętrowa, z mauzoleum w części parterowej. Wspaniałe detale rzeźbione w kamieniu, profile, kapitele oglądałem w muzeum. Rewelacyjne, naprawdę rewelacyjne. Jedyna



Teraz rośnie armia górników,
którą werbuje niezmordowany
Mister Cuprum. Wchodzą w chodniki
biegnące głęboko – znacznie głębiej
pod ziemią niż u Króla Węgla, (...)
aby pomnażać bogactwa kraju.



analogia dla tej architektonicznej formy znajduje się podobno w Akwizgranie... Jest to katedra, gdzie spoczywa Karol Wielki. Ale tuż przy fundamentach owej wspaniałej kaplicy inne relikty. Palatium niebagatelne – bo wymiary 16 na 61 metrów dają powierzchnię użytkową około 1000 metrów kwadratowych. Takim palatium nie mógł się w owym czasie poszczycić nawet Kraków. Świadczy to po prostu o naczelnej roli Legnicy w owym czasie, gdy zdarzył się ów niefortunny wypadek, kamień lecący z kościelnego muru na złą wróżbę dla księcia Henryka Pobożnego...

Historycy wojskowości ujmują sprawę inaczej. U schyłku XII wieku Mongołowie zorganizowani przez Dżyngis-chana tworzą największą potęgę militarną ówczesnego świata. Lekko uzbrojoną, niezwykle ruchliwą i zwrotną, karną i ślepo posłuszną, przystosowaną do dalekich marszów, żywiącą się byle czym, nawet padliną. Ciągną za sobą artylerię oblężniczą, mają tajemnicze machiny bojowe, a ich wodzowie są naprawdę genialnymi strategami, którzy zaskakują wszystkie armie śmiałymi manewrami oddziałów, z których jedne wiążą przeciwnika, inne w decydującej chwili uderzają z flanki. Wnukowie Dżyngis-chana, pięciu chciwych wodzów marzących o zdobyciu skarbów legendarnie bogatych wówczas Węgier – z Batu-chanem na czele – gnają przez wschodnią Europę. Henryk Pobożny próbuje ustawić ostatnią zaporę – po klęskach, jakie ponieśli Polacy pod Opolem, Połańcem i Chmielnikiem. Pan większości ziem polskich,

Henryk Pobożny, mógł ze swojej Legnicy wyprowadzić w pole najpoważniejszą siłę...

W chłodzie niewielkiego romańskiego kościoła odczytuję historię tej bitwy, oglądam sztychy i zatrzymuję się przy sarkofagu, na którym Henryk Pobożny nogi wspiera na grzbiecie zgiętego wpół Tatarzyna z krzywą szablą. Zwyciężony zwycięzca. Jednak zwycięski. Wódz pięciu pułków, które przeciwko Mongołom – nazwanym u nas, nie wiadomo czemu, Tatarami – wyprowadził na Dobre Pole. Pierwszy składał się z krzyżowców, rycerzy obieżyświatów, którzy przemierzyli z mieczem w dłoni całą Europę i kawałek Azji Mniejszej. Wezwani przez papieża przybyli, aby pomóc Henrykowi w odparciu pogańskiej nawałnicy. Razem z nimi szli górnicy z kopalń złota pod Złotoryją, uzbrojeni w wyostrzone oskardy. Dowodził Bolesław Szepiołka, książę morawski, brat cioteczny Henryka. Dalej szli rycerze wielkopolscy i Krakowianie pod wodzą Sulisława, syna poległego pod Chmielnikiem wojewody krakowskiego Włodzimierza. Za nimi wojsko Mieczysława, księcia opolskiego, i Krzyżacy pod wielkim mistrzem Popponem von Osterną. Na końcu z główną siłą stał sam książę Henryk Pobożny. Sprawił wojska za Białą Strugą. Po prawej od Jeziora Koskowickiego Tatarzy właśnie szli na Legnicę, odstąpiwszy od oblężenia Wrocławia.

Tatarski mylący fortel: ucieczka. Bolesław Szepiołka na czele krzyżowców i górników przełamuje pogańskie szyki, gna na ich karkach, strącając skośnookich wojowników

z małych koni. Ale oto zamyka się pułapka – otoczony oddział ze wszystkich stron dorzynają pohańcy. Szepiołka ginie. Jakiś Tatarzyn znający język polski jeździł po polu bitewnym i wrzeszczał: „Biegajcie, biegajcie!" – co na dzisiejszą polszczyznę przełożone znaczy „uciekajcie". Na ten okrzyk zmieszał się Mieczysław Opolski i od boju odstąpił. Ostatnie słowa Henryka Pobożnego, zanim ruszył ze swoimi do ataku: „Gorze się stało!". I tak mężnie poprowadził rycerzy, że Tatarzy łanem zaczęli się ścielić. I już dobrze przerzedzone mieli szyki, już przemyśliwać zaczęli o ucieczce, gdy kilku przedniejszych padło, ale użyli jeszcze jednego sposobu. I tutaj przytoczę wspaniały opis z kroniki Jana Długosza.

„Była w ich wojsku między innemi chorągwiami jedna ogromnej wielkości, na której widzieć się dawał znak X, na samym wierzchołku jej drzewca tkwiła postać głowy, wielce szpetnej i potwornej, z brodą. Kiedy więc Tatarzy już o jedno staje w tył się byli cofnęli i zabierali do ucieczki, chorąży niosący ów proporzec począł tą głową z całej siły machać, a buchnęła z niej jakaś gęsta para, dym i wyziew tak smrodliwy, że za rozejściem się między wojskami tej zabójczej woni Polacy mdlejący i ledwo żywi ustali na siłach i niezdolnemi się stali do dalszej walki".

Niektórzy uczeni twierdzą, że pod Legnicą dokonał się pierwszy krok ludzkości w stronę podboju kosmosu. Docent Tadeusz Przypkowski (tenże sam sławny słoneczny zegarmistrz z Jędrzejowa) pisze w swojej książce

„Po drodze w kosmos": „Trudno zaś sobie wyobrazić, by pod Legnicą użyto innego sposobu rozrzucania na znacznej przestrzeni dymiących i duszących pocisków. Mogło to się stać jedynie i wyłącznie przy pomocy rakiet znanych Mongołom z poprzedniej wojny. Jak stwierdzają historycy, owa wyrzutnia była umieszczona na kiju, nie było więc żadnych urządzeń zaplecza tej wyrzutni, która posiadała tylko dla przestrachu kształt głowy smoka. Można więc było tylko rakiety posuwać na wyrzutnię od tyłu i zapalać. Ich własna siła odrzutu niosła je w różnych kierunkach na szeroki front przeciwnika. Już w kilka lat po bitwie legnickiej w roku 1250 zanotowano w Europie konkretny opis konstrukcji rakiety, której Tatarzy użyli na ziemiach polskich...".

Pośród syczących rakiet, wydzielających gazy trujące, poległ dzielny książę Henryk, ugodzony dzidą w momencie, gdy w Tatarzyna mieczem godził. Wrzask okropny się podniósł, zawlekli go o dwa strzelenia z łuku od pola bitwy, głowę szablą ucięli i zatknęli na pice, zwłoki odarli ze zbroi i porzucili nagie. Otoczonych Polaków wysiekli i pogańskim obyczajem ucinali po jednym uchu z każdego trupa. Podobno uzbierali dziewięć ogromnych worków. Potem uszli przez Morawy na Węgry... Dopiero na wiadomość o śmierci Oktaj-chana zawróciły hordy do swoich dalekich azjatyckich siedzib.

Następnego dnia było bardzo ciemno, padał deszcz. Poganie odstąpili od oblegania Legnicy – obnoszona pod

murami głowa bohaterskiego księcia zatknięta na pice nie załamała oblężonych. Księżna Anna pojechała na pole bitwy i odnalazła zwłoki Henryka Pobożnego – rozpoznała tułów po sześciu palcach u lewej nogi. Pochowano go we Wrocławiu. Otwarty sarkofag w 1832 roku potwierdził notatkę kronikarza: istotnie, Henryk miał 6 palców!

Stoję naprzeciwko kopii książęcego sarkofagu na Legnickim Polu. Przed chwilą oglądałem wyobrażenie głowy smoka ziejącej ogniem na kształt katiusz – namalowane na plafonie barokowego kościoła w kompleksie ogromnych, imponujących zabudowań klasztornych. I dziwię się faktom na pozór innym, oddzielonym niejako i osobnym, które wciąż się łączą. Pierwsze rakiety pod Legnicą i loty kosmonautów, górnicy walczący przeciw Tatarom i nowi górnicy, którzy teraz dobywają pod Legnicą miedź.

I nawet sprawa kina tutaj ma swój początek. Najsławniejszy uczony polskiego średniowiecza, Witelon (z polska Witelo), który pisał o sobie: „syn Polaków i Turyngów", był scholastykiem legnickim. Owo pochodzenie od Turyngów wskazuje, że rodowód miał Witelo mocny: ojciec być może był górnikiem sprowadzonym z Turyngii przez Henryka Brodatego, a matka – Polką. Całe wieki średnie przyznawały mu tytuł ojca optyki. Witelo najprawdopodobniej przeżył oblężenie przez Tatarów Legnicy. Gdy wybierał się na studia naukowe do Paryża, doszła go wieść o kanonizacji św. Stanisława Szczepanowskiego. Mówiono, że dopiero jego senne widziadło, które

ukazało się wątpiącym, przełamało ich opory. „Opowiadając o tym, franciszkanie uśmiechali się zagadkowo. Kto wie, czy nie po raz pierwszy wówczas nasunęły się Witelonowi wątpliwości co do istoty prawdziwej widziadeł sennych i zjaw niepokojących ówczesne dusze..." – pisze Czermiński w książce „Światło Witelona". Byłby więc ów Witelo tym, który pierwszy opracował naukowe zasady projekcji lub też wydarł tajemnicę wąskiemu kręgowi osób i wprowadził ją do oficjalnej nauki? Trzeba chyba odnotować, że w okresie przed utworzeniem Akademii Krakowskiej Legnica była chyba bardzo poważnym ośrodkiem naukowym, kto wie, czy nie poważniejszym (legenda mówi, że Witelon robił pierwsze doświadczenia na Kopcu Krakusa).

I oto znowu szosa, pęd powietrza, słońce jest już wysoko, praży. Dojeżdżam do autostrady, rozglądam się: czy nie tu czasem stała ta straszliwa chorągiew w kształcie X, czy nie tędy szli z wyostrzonymi oskardami górnicy przeciwko Tatarom? Polska bitwa, polskie ziemie, polskie rudy przebogate w niej siedzą. A na horyzoncie dymi Legnica – kominami huty miedzi. Legnica – miasto wiekowe i niepokonane.

Powiadali niektórzy historycy za niechętnymi śląskim Piastom Krakowianami: „Henryk Brodaty był zniemczony! Ba, wnuk jego, hultaj i szelma, a pierwszy książę Legnicy po bitwie z Tatarami, Bolesław Rogatka, kaleczył niemiecki język".

Był wnukiem Brodatego, chętnie słuchał opowieści uciesznych i dlatego trzymał u siebie chłopa śląskiego Kwiatka. Znalazłem nawet wieś pod Legnicą, która niegdyś nazywała się według źródeł „U Kwiatka", lecz uczeni językoznawcy, nie doszedłszy zapewne, skąd to się bierze, nazwę jej zmienili na Kwiatkowice... Rogatka był strasznym co prawda typem. Porywał książęta, biskupów, braci nawet, aby wymusić okup. Więził ich w lochach legnickiego zamku. Mieszkańców Środy Śląskiej spalił żywcem w kościele. Jego druga żona Eufemia poszła pieszo do Gdańska – do ojca, księcia Sambora – „wszetecznością gamracką męża przeniewierczego obrażona". I ten książę śląski został wyklęty, a papież Aleksander IV zamierzał przeciwko niemu montować specjalną... wyprawę krzyżową. Jedno jest pewne: ten szelma nie był jeszcze zgermanizowany, choć otaczał się Niemcami. Gdy zaczynał mówić po niemiecku, można było boki zrywać ze śmiechu.

Pędzę wrocławską autostradą w dzień upalny, kwietniowy, w taki sam kwiecień jak w 1945 roku, gdy przejeżdżały tędy polskie czołgi i armaty, gdy II Armia zajmowała pozycje na przedpolach Rothenburga, aby rozpocząć sławną operację łużycką. W forsowaniu Nysy wzięło udział około 100 tysięcy Polaków, była to największa bitwa stoczona przez nasze wojsko w II wojnie światowej. Gdy tylko wojska polskie stanęły nad Nysą, na przedpolu okopów – wbrew logice, która nakazywała krycie się przed

wrogiem – pojawiły się biało-czerwone proporce, tabliczki z napisem „Polska" i orły rysowane niezdarnie na dykcie. Znowu przynieśli tutaj polską granicę.

A gdy nadszedł 9 maja, Józef Szczotka, który został wywieziony spod Żywca na roboty do Niemiec i zdążył już ulokować się jako pracownik rolny w gospodarstwie pomocniczym Armii Radzieckiej w Sieroszowicach, usłyszał 5 salw pośrodku wsi i myślał, że znowu podchodzą Niemcy. Tylko nie wiedział, skąd by się wzięli, chyba od Wrocławia, który jeszcze dymił i bronił się... Niemieccy chłopi przebierali ziemniaki w kopcach – jedni się ucieszyli, inni zastrachani chcieli uciekać. Szczotka pobiegł w pobliże pałacu sieroszowickiego, nowoczesnej dość landary, gdzie nie było nawet legendy o białej damie ani empirowych mebli, tylko podobno jeden pokój ukryty za kominkiem. Więc Szczotka pobiegł do tego pałacu, a tam na dziedzińcu żołnierze ruscy prali jeszcze z pistoletów w powietrze. Zorientował się wtedy, że na wiwat strzelają. „Koniec wojny, koniec wojny!" – wołali. Kazali stoły ustawić w podkowę przy zabudowaniach folwarcznych, zabić cielaka i prosię. Galony wódy wytoczyli na stół.

Zapadał wieczór. Niemiec grał na harmonii jakieś walce, ruski lejtnant przygadywał: „Grać, szpilen!", a Szczotce kazali tłumaczyć Niemcom, że to zwycięstwo i żeby przyszli na ucztę, choć to nie ich święto. Były więc tańce, lała się wóda strumieniami, strzelało się w powietrze na wiwat kolorowe rakiety i strzelało się z pistoletów,

aż amunicji zabrakło. „No bo po co amunicja? Już po wojnie!" – powiadali. Stary Niemiec, który grał na akordeonie, wzdychał tylko od czasu do czasu „O mein Fater!", ale nikt nie zwracał na jego wzdychania uwagi. Szczotka wrócił na swoje pole między Głogów a Legnicę, na pole, które mu Henryk Pobożny w spadku pozostawił.

135 kilometrów na godzinę, wrocławska autostrada, w wozie pachnie czeremcha, w zeszycie mam relację Szczotki o 9 maja 1945 roku, przejeżdżam przez pole bitwy legnickiej, lśnią na siedzeniu obok dwie pozłociste krople miedzi... Może z tych wszystkich oderwanych – zdaje się – faktów ułoży się jakiś sens głębszy? W radiu Fetting śpiewa właśnie song z filmu „Prawo i pięść": „Tam, gdzie tylko był dym, kwiatem zabliźni się wojny ślad, barwą róż...". Ślad wojny zabliźnia się. Ślad tamtej wojny sprzed sześciu wieków i tej. Nie zawsze wygrywaliśmy bitwy. I patrząc na wieże Legnicy z autostrady, myślę, że wszystko, co polskie, jest niepokonane przez wieki całe.

03

SMUTNY UŚMIECH KSIĘŻNICZKI KAROLINY

Denerwujący odgłos kroków w głównej nawie. Zawstydziłem się, jakbym w kościele uwodził żywą dziewczynę. Jej gest, pełne zalotności przegięcie szyi, ciekawe spojrzenie, lekkość i zwiewność figury kazały mi później często o niej myśleć. Miała nawet jakieś zniewalające ciepło w spojrzeniu.

To mnie wówczas tak zafascynowało i przykuło. Odkryłem w sobie kompleks Pigmaliona.

Pognałem prędko z tego kościoła do restauracji Tivoli, prywatnej, aby zjeść szybko najlepszy w Polsce befsztyk i wyzwolić się po sarmacku z niesarmackich kompleksów. Tę kaplicę i ten befsztyk zawdzięczałem magistrowi Gumińskiemu, który to – zwalisty Polonus o podgolonym wysoko łbie, dyrektor legnickiego muzeum – adresami mnie uraczył. Tak to jest zaczynać z muzeologami.

Po befsztyku byłem już raźniejszy. Befsztyk był ładnie ukrojony, różowiutki w środku, smażony na małej ilości tłuszczu. Do spisu swojej geografii gastronomicznej PRL-u dodałem jeszcze jedną pozycję. Wyszedłem z Tivoli. Miałem ustalić, kto wydawał tuż po wojnie w Legnicy pierwszą polską gazetę na Dolnym Śląsku pod nazwą „Pionier".

Gdy wyszedłem na ulicę, znowu wypłynęła sprawa Pigmaliona. Przeszedłem koło gmachu Szkoły Rycerskiej, pięknego barokowego budynku. Boczna uliczka, przy

której znajdowało się muzeum, prowadziła wprost do tego kościoła i do kaplicy. Kim właściwie jest ta cudowna dziewczyna?

I znowu dałem nura w tę ulicę. Przecież muszą być jakieś objaśnienia, jakieś dokładniejsze relacje. Może nawet bardziej chciałbym ją odnaleźć w kawiarni, może na balu – w takiej wspaniałej sukni mogłaby właściwie pojawić się tylko na balu kostiumowym – niż ustalić, kim jest. Nonsens, po piętnastu latach reporterskiej pracy stajesz się sentymentalnym idiotą, kochliwym do tego stopnia, że serce ci bije do kawałka nieźle obrobionego białego marmuru. Poza tym wczoraj w klubie Parnasik spotkałeś wysoką rudą dziewczynę, która pracuje gdzieś w szpitalu w Legnickim Polu. Piękna sylwetka. I właściwie odstraszający przykład Henryka Pobożnego nie powinien tu działać.

Znowu znalazłem się w kaplicy i poczułem na sobie jej spojrzenie. Ona po prostu patrzyła z wysokości cokołu wprost na mnie. Gest jej ręki zupełnie nie harmonizował z napisem u jej stóp „Spes ubi nostrae?". Nie, absolutnie nie pytała: „Gdzie nasze nadzieje?", choć uśmiech jej był raczej smutny. W wielkich oczach wyczytać mogłem marzenie. Dopiero tego popołudnia rozejrzałem się wkoło i zacząłem się zastanawiać, kto stoi na trzech pozostałych cokołach, uniesionych wysoko między oknami kaplicy.

Mały książę o dziwnie poważnych rysach, obok starszy, w płaszczu narzuconym na zbroję, w peruce i ze szwedzkim wąsikiem, oraz starsza księżna o zaciętych ustach

i zmysłowych oczach, z napisem na cokole „Heu mihi soli" („Smutno mi samej"). Starszy książę ma worki pod oczyma, mądre spojrzenie, ale jest w nim gorzka zaduma człowieka, który przegrał.

Nie są dostojni, są prawie żywi. Zda się, że zaraz zabrzmi muzyka, że ruszy jakaś ukryta maszyneria i że oni, poddając się taktom lansjera czy poloneza, wezmą się za ręce, że dokończą przerwaną rozmowę. Może wtedy jaśniej błyśnie uśmiech Karoliny. Tak bardzo w tej swojej posągowości są naturalni. Nie, nie ma w nich nic z majestatu...

Te posągi na cokołach prowadzą ze sobą rozmowę, taką samą od 300 niemal lat. Słońce tak samo zagląda przez wielkie okna do kaplicy, lśniąc na złoceniach gzymsów i wawrzynach – przydanych trupim czaszkom umieszczonym gdzieś wysoko na pilastrach. We wnękach między posągami spoczywają trumny tej rodziny. Bo to ostatni Piastowie. Na nich skończył się królewski ród podgnieźnieńskich bartników – w Legnicy. Nie ma tylko grobu pięknej księżniczki. Pochowano ją w Trzebnicy, u podnóża grobowca św. Jadwigi, natomiast serce jej zostało u klarysek we Wrocławiu. Zniszczył je pocisk podczas ostatniej wojny.

Wreszcie mogłem nazwać ową fascynującą figurę: ostatnia księżniczka z rodu Piastów – piękna Karolina, która dożyła początków XVIII wieku. Gdy chciałem bliżej poznać koleje jej życia, nie wiedziałem, że będę musiał zbadać dokładnie losy całej czwórki stojącej w legnickiej

kaplicy-mauzoleum, uwiecznionej przez wiedeńskiego rzeźbiarza Rauchmüllera, wcale niezłego mistrza dłuta.

Księżna Ludwika skarży się na samotność, książę Chrystian każe jej zwrócić uwagę na syna, mały książę powiada: „Ja też wkrótce pójdę za wami" – i na końcu piękna Karolina o smutnym uśmiechu: „A gdzie nasze nadzieje?".

Chciałbym nieco szerzej wyjaśnić sens tej rozmowy sprzed 300 lat.

Sprawy dzieją się w czasach szwedzkiego potopu i tuż po nim. Oto Jan Kazimierz Waza ucieka z kraju i chroni się na Opolszczyźnie w Głogówku, na terytorium podległym Austrii. Książę Jerzy III Piast, rządzący w Brzegu, stoi na czele wojsk cesarskich, trzymających straż na granicy Śląska od strony napadniętej przez Szwedów Polski. Jego brat Ludwik IV rządzi w Legnicy, a najmłodszy, Chrystian – w Wołowie. Właśnie ten najmłodszy zyskał wielką sympatię Polaków.

Gdy Wallenstein, Sasi i Szwedzi podczas wojny trzydziestoletniej pustoszą Śląsk, ojciec trzech wymienionych wyżej książąt, Jan Chrystian, wyemigrował do Torunia, gdzie przebywał przez kilka lat. Najmłodszego syna wysłał na dwór Janusza Radziwiłła w Birżach, tak szpetnie opisanego w „Potopie" przez pana Sienkiewicza. Ale wówczas jeszcze książę wojewoda wileński był tylko heretykiem, nie zdrajcą, a to nie takie straszne. Młody książę Chrystian bawił tam przed rokiem 1639, kiedy to umarł jego ojciec w Toruniu. Chrystian dostał Wołów, później połączył

w swoim ręku po śmierci braci Brzeg i Legnicę. W roku 1668, gdy abdykował Jan Kazimierz i szlachta agitowała za wyborem Piasta, a nie księcia z obcej krwi, na tron polski, żył jeszcze właśnie Piast z krwi i kości – książę Chrystian, którego kandydaturę usiłowano wysunąć, ale zrezygnowano z niej. Książę Chrystian był bowiem protestantem i nie zyskałby sympatii ogółu szlachty, to pewne. Gościł Jana Kazimierza na zamku w Brzegu, gdy zmęczony wojnami i ciężarem korony król po abdykacji jechał do Francji. Przyjmował też gościnnie księcia Karola Lotaryńskiego, który jechał do Warszawy ubiegać się o tron polski. Gdy wybrano Michała Wiśniowieckiego, przesłał mu najserdeczniejsze życzenia.

Wówczas to syn Chrystiana, Jerzy Wilhelm, miał osiem lat. Chrystian chciał nadać mu imię Piast – imię, jakie nosił założyciel dynastii. Był ostatnią nadzieją wygasającego rodu: matka Chrystiana, Dorota Sybilla, księżniczka brandenburska, może była nie tyle przeciwna polskiemu imieniu, ile przesądna. „Powiadają, że ostatnim papieżem ma być Piotr. Widzisz, żaden papież nie odważył się przybrać tego imienia. Dlaczego chcesz wyzywać los?" – powiedziała synowi. Duchowieństwo protestanckie miało co prawda inne powody, ale też zaprotestowało. Młody książę otrzymał imiona po ojcach chrzestnych, a miał ich aż dwu: pierwszym był Jerzy III, książę Brzegu, który wówczas żył jeszcze, drugim – kurfürst brandenburski Fryderyk Wilhelm. Jerzy Wilhelm





Teraz są podziemne korytarze, w których panuje lipcowy upał – taka temperatura jest pod ziemią – i gdzie jeżdżą już kolejki przez podziemne dworce.

był wychowywany po polsku, uczono go języka, ubierano w strój polski, nieobce były mu delia i kontusz. Chrystian żywił cichą nadzieję, iż w ten sposób doprowadzi syna na tron polski i odnowi królewskie tradycje rodu. A i dla Polski nie byłaby to zła okazja. Powrót poważnej części Śląska do macierzy, widoki na odzyskanie, i to rychłe, pozostałych skrawków tej ziemi...

Chrystian osierocił syna wcześnie. Był rok 1672. Jerzy Wilhelm miał zaledwie 12 lat. Zapobiegliwa matka po kryjomu wysłała małego księcia na naukę do Frankfurtu nad Odrę. Bała się, aby przypadkiem cesarz nie chciał nad nim roztoczyć opieki... Księżna Ludwika otrzymała w testamencie męża Oławę z okręgiem w dożywocie, ale na razie rządziła w imieniu syna całym księstwem. I chociaż była to kobieta nadzwyczajnej energii, nie potrafiła jakoś zapobiec głupstwu, jakie zrobiła piękna Karolina. W rok po śmierci ojca spodobał się Karolinie dowodzący kirasjerami w armii austriackiej pan Fryderyk, jakieś książątko holsztyńskie z Wiesenburga. Miała 21 lat i pewnie uważała się już za starą pannę. Książę przybył potajemnie do Brzegu i wzięli w tajemnicy ślub, przy czym piękna Karolina przeszła na katolicyzm, bo takie było wyznanie owego książątka, które niczym nie zapisało się w historii. Najpiękniejsze kobiety świata dostają się, niestety, najczęściej półgłówkom.

W roku 1674, po chocimskiej wiktorii, w Polsce wyniesiono na tron Jana Sobieskiego. W roku 1675 młodego księcia Jerzego Wilhelma uznano za pełnoletniego

i posłano do Wiednia po inwestyturę. Wrócił pod koniec marca z podróży i objął rządy. Obrażona Ludwika, odsunięta od władzy, przeniosła się do Oławy, gdzie urządziła swój dwór. Jej protesty w sprawie unieważnienia małżeństwa córki nie zostały uwzględnione. Cesarz zatwierdził ów związek, ale – jak wykaże historia – zupełnie niepotrzebnie.

Piętnastoletni Jerzy Wilhelm sprawuje rządy mądrze i godnie. W całym księstwie nie ma chyba człowieka, który by nie czuł do niego sympatii. Bo jak tu nie kochać małego księcia, który w samej swojej istocie jest postacią liryczną i wymagającą miłości. Wszyscy współpracownicy ojca pomagali mu w rządach, które sprawował z iście dziecinną gorliwością. 26 sierpnia przybył do Legnicy, witany salwami armatnimi, chorągwiami i spontanicznymi okrzykami ludu. Odwiedził Grodziec, Lubiąż i Wołów, aby znów powrócić do Legnicy i przewodniczyć sejmikowi krajowemu. Sejmik zakończył się pięknym turniejem rycerskim na dziedzińcu legnickiego zamku i zabawami. Wyobrażam sobie małego księcia, rokującego wspaniałe nadzieje na przyszłość, gdy z poważną i niezwykle godną miną – z trudem tłumiąc śmiech, bo przecież księciu nie wypada – prowadzi pierwszą parę, powiedzmy, poloneza... Chyba myśli nadal o polskiej koronie – testament moralny ojca obowiązuje.

Listopad. Pada drobny śnieg, jest Dzień Świętego Huberta. Mały książę poluje w zaśnieżonym lesie,

w którym powietrze napięte jest wielkim mrozem. Kroniki nie odnotowują, ile zwierza ubito w tym lesie... Młody książę niebezpiecznie się przeziębił. Medycy w Brzegu dokonują cudów, ale nie ma jeszcze penicyliny ani streptomycyny. Mały książę musi umrzeć, lekarze wiedzą to już od samego początku choroby. Z przeziębienia wywiązało się zapalenie płuc. 21 listopada 1675 roku o godzinie 7 rano Jerzy Wilhelm zakończył życie. Miał 15 lat, 1 miesiąc i 23 dni.

Legnica czekała na wiadomości z Brzegu, które były jakieś niepewne i niewyraźne. Wysłano specjalnego posła, ale nie wybrano dobrze. Poseł bowiem upił się po drodze i słuch po nim zaginął. Matka, księżna Ludwika, i siostra Karolina znajdowały się w drodze do Wiednia: jechały, aby wyjednać sobie wyższe apanaże. Matka czuła się pokrzywdzona pensją, jaką jej syn wyznaczył, i jechała skarżyć się cesarzowi. Karolina jechała zapewne do męża, który stał w Wiedniu ze swymi kirasjerami i grał w karty.

Pod Ołomuńcem dopędził je kurier z Brzegu ze smutną wiadomością. Musiały zawrócić z drogi. Nie było się już na kogo poskarżyć.

Zawsze mi bardzo żal małych książąt, a to za sprawą Saint-Exupéry'ego. Zawsze słyszę delikatny głosik małego księcia, który prosi: „Narysuj mi baranka" albo mówi poważnie: „Rzeczy najważniejsze są niewidzialne dla oczu. Trzeba patrzeć sercem!". Ostatni Piast był przecież w gruncie rzeczy dzieckiem. Po prostu uznano go za

pełnoletniego, bo nie chciano znosić dłużej despotycznych rządów jego mamy, księżnej Ludwiki von Anhalt-Dessau. Nawiasem mówiąc, była krewniaczką późniejszej carycy Katarzyny Wielkiej, która z domu nazywała się Zofia von Anhalt-Zerbst...

Ale rozumiem to, co mówi piękna Karolina. Nadzieje wraz ze śmiercią małego księcia bezpowrotnie przepadły. Wielkie nadzieje: na koronę polską, na przywrócenie rodowi należnej mu rangi, na zjednoczenie Śląska z Polską... Piękna Karolina mówi o tych nadziejach, bo taką rolę wyznaczyli jej despotyczna mama i pan Rauchmüller, gdy za jej życia jeszcze budowano mauzoleum w Legnicy. W istocie w owym czasie myślała o swoim zidiociałym książątku holsztyńskim, któremu powiła syna. Przeniosła się do Wrocławia, gdzie otrzymała wspaniały dom i rozeszła się z mężem. Karolina z mamą nie zaniedbywały swoich spraw spadkowych, wiedząc, że zgodnie z prawami feudalnymi księstwo przejdzie w bezpośrednie władanie Habsburgów... Cesarz dał jej 6 tysięcy talarów renty rocznej jako procent do czasu zwrotu należnego jej kapitału. Później dorzucił jej dobrowolnie jeszcze 4 tysiące talarów rocznie. I tak tanio go kosztowała ta prowincja, którą miał w kilkadziesiąt lat później stracić na rzecz największego chytrusa XVIII wieku – grubego, ale inteligentnego Fryca Wielkiego.

Jeszcze wówczas, gdy Fryc Wielki toczył walki o Śląsk z Austrią, większość ludności na tych ziemiach była

polska. Fryc musiał wydawać manifesty po polsku. Widziałem w muzeum jedną taką ulotkę, datowaną na 19 Decembra 1744 roku: „Królewsko-pruski patent do wszystkich stanów y poddanych Xięstwa Śląska y Grabstwa Kłocka, którym pilno przestrzegaią się, aby się Przyłudom Dworu Wiedeńskiego zwieść nie dawali. Owszem, żeby przy powinney wierności ku Jego Królewskiej Mości nieodmiennie trwali y zostawali". Musiał Fryc jeszcze wtedy przemawiać językiem, który był językiem tej ziemi.

Wówczas jednak, gdy przyglądałem się białemu posągowi kruchej i pięknej Karoliny, nie wiedziałem o tym wszystkim. Oglądałem trumny wsparte na piastowskich orłach we wnękach mauzoleum. Oglądałem sceny z życia Piastów wymalowane na ścianach. Odnotowałem napis z kopuły, gdzie rozpędzony rydwan Heliosa wpada na gwiazdozbiór Raka, a woźnica nadaremnie usiłuje zawrócić: „Domy królewskie upadają, gwiazdy w pył się obracają, nawet biegowi słońca kres naznaczono".

Kaplicę zdobi kamienny kartusz wyliczający zasługi rodu Piastów w ciągu dziewięćsetletniego istnienia – z dopiskiem ostatniej matki Piastów, księżnej Ludwiki Anhalckiej, która pomnik ten zbudowała: Piastowie niczego by nie potrzebowali, „gdyby wcześniej od głazów nie milkła pamięć i wdzięczność śmiertelnych".

Studiując dzieje Piastów legnicko-brzeskich, natrafiłem na notatki dotyczące górnictwa. Na południe od Złotoryi ciągle ponawiano próby płukania piasków złotonośnych.

W roku 1429 okres świetności tych robót dawno minął, ale nowi poszukiwacze natrafili na rudy miedzi. Było to w miejscowości Prusice: po przetopieniu rud w Złotoryi uzyskano łącznie 300 kg miedzi. Ale dopiero po wojnie trzydziestoletniej książę Chrystian, ojciec ostatniego z rodu podgnieźnieńskich bartników, postanowił uruchomić pod Złotoryją roboty górnicze, wypatrując miedzi. I znowu tam, gdzie w prymitywnych korytkach płukano piasek w poszukiwaniu grudek złota, płukano rudy miedzi. Z czterech niemal ton rudy otrzymano zaledwie 50 kg koncentratu, a z tego tylko 5 kg kruszcu. Na tym nie można było oprzeć świetnej egzystencji domu Piastów legnickich i znaleźć z miedzi godną dla ich klejnotu oprawę... Roboty znów zarzucono...

Może i o tych nadziejach myślała smutno uśmiechnięta księżniczka, która sprawiła, że napisałem ten reportaż.

O kraju, w którym Polacy – według odwetowych gazet zachodnioniemieckich – z niemieckiej ziemi dobywają niemiecką miedź.

04

LEW, KTÓRY WALCZY O KLUCZE

Jest to miasto piękne, zgrabne, zielone. Takie miasto można pokochać. Z podcieniami jatek śledziowych na rynku, z wymyślnie giętymi kształtami barokowego ratusza zwieńczonymi zielenią kopuły na wieży, z dumnymi fasadami Akademii Rycerskiej, z pałacami opatów z Lubiąża, z klasztorem jezuickim. Na klasztorze napis: „Deo gratias et familiae Sprintzenstein", czyli „Bogu dzięki i rodzinie Szprincensztajn", z czego nie wynika bynajmniej bliskie pokrewieństwo Pana Boga ze Szprincensztajnem, tylko fakt, że ów Szprincensztajn zafundował Dom Boży.

Jedna z pryncypalnych ulic nazywa się Dziennikarska. Ostatecznie to właśnie w tym mieście ukazywało się pierwsze polskie pismo na ziemiach zachodnich – „Pionier". W zrujnowanym Wrocławiu nie znaleziono odpowiedniej drukarni. Teraz wychodzi tygodnik „Wiadomości", ale drukowany we Wrocławiu. Redakcja mieści się w domku na rynku, jednym z tych pięknie odnowionych, sgraffitami zdobionych, a noszących imię „jatek śledziowych". Nie, nie należy wysnuwać zbyt pochopnych wniosków – tych „Wiadomości" nie używają Legniczanie do pakowania tychże rybek, ale czytają. Ich miasto, ich ambicje.

Wokół rynku stoją całkiem nowoczesne domy, ruiny tych zabytkowych uprzątnięto i jeszcze się uprząta. Higiena miasta, polegająca na stopniowym wypruwaniu

starej zabudowy i zastępowaniu jej przez nową, postępuje stale naprzód. Legnica, miasto emerytów przed wojną, egzystowała w wypróchniałych, ale ładnie odmalowanych ruderach. Odebraliśmy Legnicę wraz z ruderami. Wielki konkurs urbanistyczny ma przynieść projekt nowoczesnego uporządkowania centrum... Najcenniejsze kamieniczki zabytkowe oczekują remontu, na który są już ponoć kredyty i dokumentacja – tylko wykonawcy brakuje. Przepiękne sgraffita figuralne na domu „Pod przepiórczym koszem" są unikatem na skalę ogólnopolską. Pusty dom oczekuje przybycia robotników. Wieczorem koło czerwonego gotyku Kościoła Św. Piotra i Pawła świeci się dziwny neon: „Miejski Dom Towarowy". Czyżby w ten sposób Legnica musiała podkreślać swoją miejskość? Wyjaśniono mi, że było „Wiejski", a teraz „W" zmieniono na „M", bo Legnica się zawstydziła. Jest w tym jakaś miara symbolu.

Legnica przez lata zostawała jakoś na uboczu. Obrosły w sławę i znaczenie Wałbrzych, Jelenia Góra, nawet Świdnica. A o Legnicy było głucho. „Niezniszczona, kłopotu nie ma" – mawiano początkowo. „Domy się walą, nieciekawie..." – powiadano później, gdy okazało się, że wskutek samouspokojenia zapomniano wyasygnować odpowiednie kwoty na konserwację i remonty kamienic legnickich. I może dlatego było cicho, że Legnica była potencjalnym konkurentem Wrocławia... Dopiero gdy niedaleko odkryto wielką miedź, jej blask objął i Legnicę. Miasto odżyło i zaczęło myśleć o nowej roli: stolicy zagłębia miedziowego.

Bo tak by się wydawać mogło – skoro tutaj zlokalizowano hutę miedzi, która pracowała dotąd dla potrzeb starego zagłębia miedziowego, i tutaj zlokalizowano Fabrykę Przewodów Nawojowych, która po prostu produkuje cieńsze od włosa druty miedziane... Z Legnicy jest tak samo blisko do Złotoryi i Bolesławca – czyli terenów starego zagłębia – jak do Lubina i Polkowic... I nie tylko centralne położenie predestynuje miasto do odegrania centralnej roli w nowym zagłębiu. Legnica jest już wielkim miastem.

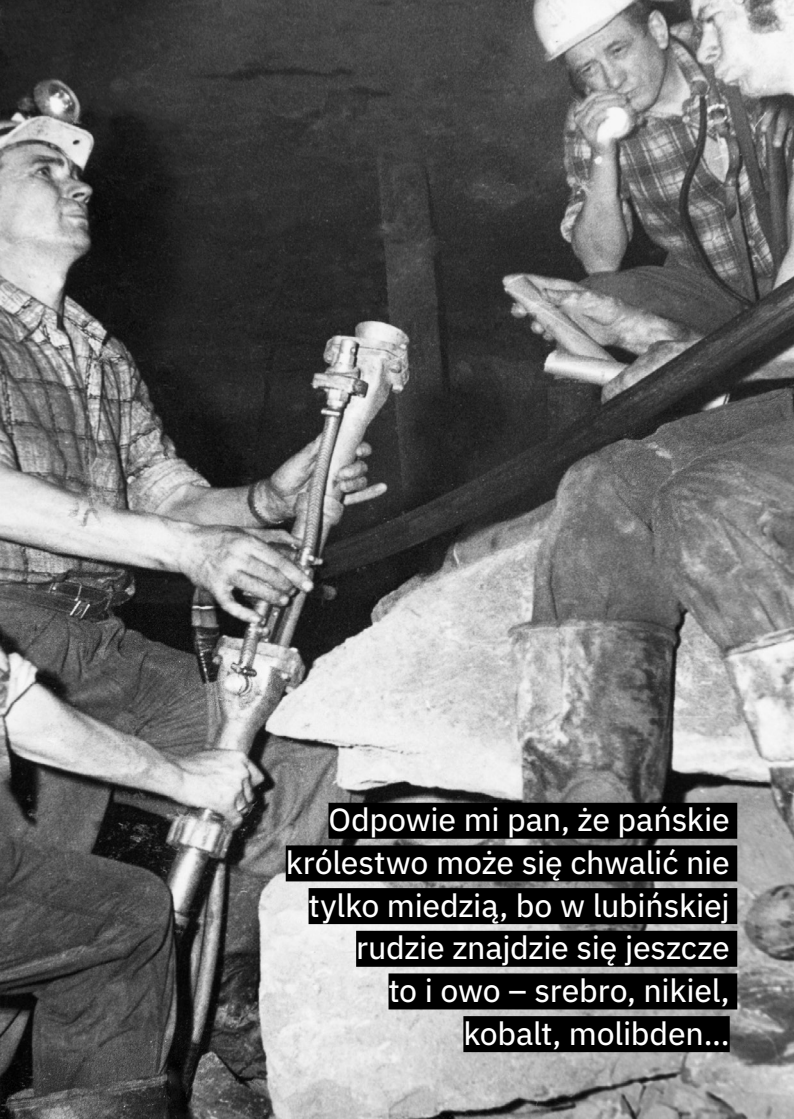
Miejscowa gazeta nazywała się „Wiadomości Legnickie", ale porzucono patriotyzm lokalny. Zaczęła nazywać się „Wiadomości" – z dopiskiem „Tygodnik Zagłębia Miedziowego"... Miejska rada zaczęła się zastanawiać, jak tu urządzić zaplecze kulturalne dla wielkiej miedzi. Zwłaszcza że ruch się zaczął wielki. W hotelu Piast miejsc stale brakuje, w restauracji Piast są rojne dancingi... Zlikwidowano jedno nielegalne przedsiębiorstwo, w ramach którego kelnerzy tejże knajpy Piast dostarczali dziewczęta po drabince pożarniczej od podwórza wprost do pokoi hotelu Piast... Nie o takie zaplecze kulturalne dla zagłębia chodziło, więc MO postąpiła jak rozsierdzona Rzepicha wobec Piasta.

Pośród pięknych gdańskich mebli w gabinecie przewodniczącego prezydium MRN, Antoniego Trembulaka, rozmawiam o roli Legnicy jako zaplecza kulturalnego dla nowego zagłębia. O przygotowaniach do podjęcia tej roli. Bo na razie straszny tłok w kawiarence W-Z, stanowiącej

centrum towarzyskiego życia Legnicy, przyprawia o ból głowy, a brak sali teatralnej spędza sen z powiek. Kilku poetów, którzy opiewają w swoich strofach miasto i zdobywają laury na ogólnopolskich konkursach, nie zastąpi Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy. Jeden Parnasik, klub inteligencji legnickiej, błyszczy z dala i oferuje imprezy na wysokim poziomie.

Wielce sympatyczny Lwowiak, przewodniczący Trembulak, rozwodzi się nad perspektywami Legnicy mową śpiewną i optymistyczną, jak też i baczną, gdyż omijającą wszelkie drażliwości. Od roku 1950 do 1965 nastąpił ośmiokrotny rozwój przemysłu. Wartość produkcji w 1954 roku: 3 miliardy 200 milionów. Wchodzi tu w grę nie tylko huta miedzi czy przewody nawojowe. Legnica jest drugim po Łodzi ośrodkiem przemysłu dziewiarskiego w Polsce. Dodać trzeba, że przed wojną, jako miasto emerytów, niemal zupełnie przemysłu była pozbawiona! Jest Legnica miastem młodzieży, o czym informują okolicznościowe napisy w różnych punktach miasta. Istnieją tu 4 licea ogólnokształcące i 9 techników... Z 72 tysięcy mieszkańców miasta 30 procent nie przekroczyło osiemnastu lat, a 60 procent nie przekroczyło dwudziestu pięciu...

„Nie chcemy, żeby nas przyszłe pokolenia przeklęły" – powiada Trembulak i konkretyzuje się na zagadnieniu przebudowy ciągów komunikacyjnych, na zagadnieniach budownictwa mieszkaniowego, bo 3,5 tysiąca izb trzeba



Odpowie mi pan, że pańskie królestwo może się chwalić nie tylko miedzią, bo w lubińskiej rudzie znajdzie się jeszcze to i owo – srebro, nikiel, kobalt, molibden...

wyburzyć wraz ze zmurszałymi ruderami, a wskaźnik 1,3 osoby na izbę chciałoby się utrzymać... Biorąc pod uwagę wzrost ludności miasta z uwagi na przemysł, trzeba Legnicy 5,5 tysiąca izb w najbliższej pięciolatce. Prócz nowego budownictwa na terenach budowlanych w centrum chcą przystąpić do remontów kapitalnych dzielnicy za rzeką Kaczawą... W Rynku też wiele roboty.

Teatr będzie. Budynek w kompleksie zabudowań ratusza poddany ma być remontowi. Sala teatralna na 400 miejsc, nie żadna lipa. W dalszym ciągu zabudowy na Rynku umiejscowi się Klub Książki i Prasy – w salonach obecnego sklepu meblowego... Wszystko to wraz z siedzibą Legnickiego Towarzystwa Naukowego i redakcją tuż obok stanowić będzie fundamentalny bastion kulturalny Legnicy.

Z teatrem Legnica nie da sobie sama rady. Trembulak powiada, że teatr w Wałbrzychu przeżywa kryzys, więc rzucanie się na teatr zawodowy w Legnicy, która nie ma tradycji, byłoby ryzykiem. Może wrocławskie „Rozmaitości" utworzą tu filię? Po remoncie sali chcą zapraszać do Legnicy teatry z całej Polski, zachęcając do tego nagrodami za najlepsze przedstawienie roku... W XIX wieku jeździł stąd do Warszawy ze swoją orkiestrą symfoniczną – rokrocznie na 3 miesiące – pan Bilse, zwany w „Słowniku muzyków" pionierem kultury muzycznej w Polsce, bo pierwszy przywiózł Wagnera. Może więc Warszawa po stu latach zechce się też Legnicy odwdzięczyć?

Fakt ów – z tą orkiestrą – wyszperał magister Tadeusz Gumiński, twórca wielu instytucji kulturalnych Legnicy, dyrektor muzeum, Legniczanin zapalony i zaprzysięgły. On to oprowadzał mnie po zamku, gdzie Bolesław Rogatka, syn Henryka Pobożnego, więził panów i biskupów, aby wymusić od nich okup. Aby zarobić również na mieszczanach legnickich, wydawał im przywileje. Z zamkiem legnickim jest drobny skandalik: prowadzi się tu pełną parą przebudowę i adaptację budynków na cele szkolne, a badania architektoniczno-archeologiczne zaczęto prowadzić po rozpoczęciu przebudowy zamiast przed... Aliści działo się to jeszcze wówczas, gdy neon wyświetlał napis „Wiejski Dom".

Teraz to już by się nie zdarzyło. Legnicki lew z herbu miejskiego, który trzyma dwa wielkie klucze (podobnego kształtu klucze odkopano na zamku i można je oglądać w muzeum u mgr. Gumińskiego), gotuje się do wielkiej walki. Okazuje się bowiem, że zapadło już wiele decyzji w sprawie powołania do życia Zjednoczenia Przemysłu Miedziowego – z siedzibą we Wrocławiu. Podobno Wrocław stoczył wielkie boje, żeby nie w Warszawie. A z powodu tradycji i centralnego położenia w Zagłębiu Miedziowym na siedzibę tego Zjednoczenia nadaje się jedynie Legnica. Bliżej i oszczędniej o setkę kilometrów – na benzynie i oponach, na telefonach i telexach.

Lew legnicki walczy o swoje klucze, które stają się kluczami stolicy zagłębia.

05

KTO PIERWSZY TRAFIŁ?

Mógłby pozować do portretu Ondraszka – śmigły, głowa kształtna, nos orli, dziarski mimo lat. Spod swego Żywca, z Rajczy, nigdy by się nie ruszył. W kwietniu 1940 roku hitlerowcy obstawili chatę i wrzasnęli: „Alle raus!". Ten dzień Józef Szczotka będzie pamiętać przez całe życie – ojciec wówczas umarł na udar serca. Nie pozwolili zostać synom na pogrzebie. Wywieźli do lagru – jednego do Kalbenstadt, drugiego za Legnicę, do miasta Lüben.

Na polach pod tym Lüben Józef Szczotka stawiał Hitlerowi lotnisko, ale nie przemęczał się za bardzo, bo góral do ciężkiej pracy niestworzony. Co budowniczy Kiessewetter gdzieś poszedł (nazywali go Dwumotorowy, bo ciągle latał), to Szczotka sobie wczasy pod gruszą urządzał i opalał się. Aż jakiś szczeniak z Hitlerjugend zauważył i nawrzeszczał mu: „Polnisches Schwein". Szczotka wrzasnął: „Deutsches Schwein" i rąbnął gówniarza w gębę, aż echo po lesie oddało. Potem położył się i opalał dalej. Byłoby się smutno skończyło, gdyby Dwumotorowy nie lubił Szczotki po swojemu. Kopnął jeszcze pan budowniczy hitlerjugenda w d... za karę, bo Hitler – jak oświadczył – tych, co pracują w Rzeszy dla Rzeszy, nie pozwolił wyzywać.

Stawiali lotnisko pod Lüben. Było w lagrze coś 300 Polaków. Wychodzili na pola pod miasto co rano i przybywało hangarów. Każdy hangar po siedem

obręczy półokrągłych – razem dwadzieścia jeden na trzy hangary. Raz przyszedł wiatr wielki. Szczotka powiada do kumpla: „Wiejmy spod hangaru, coś trzeszczy!". Kumpel stwierdził, że w kościach pewnie trzeszczy, ale na wszelki wypadek zwiali. Inni Polacy też. Obręcze nie wytrzymały, hangar przywalił siedmiu niemieckich robotników. Były karetki pogotowia. Potem znów hangar dźwigali, obręcz po obręczy, a po 13 miesiącach lotnisko było gotowe.

Ludzi z lagru mieli wywozić na nową budowę pod Wrocław. Tymczasem miasto Lüben zgłosiło zapotrzebowanie na fachowców. Szczotka jako szewc trafił do pana Heinza Schmitta na Niederglogauer Strasse 17, gdzie przesiedział do końca wojny – to znaczy doczekał chwili, gdy pan Heinz Schmitt załadował swoje klamoty do walizek i powiedział: „Józef, pilnuj domu!". Zanim jednak stary szewc Schmitt zapakował swoje walizki, Józef robił dla niego buty, za co otrzymywał marki i wolne raz na tydzień.

Podczas niedzieli poznał w Lüben ładną pannę, Polkę, wywiezioną na roboty – też z Żywieckiego. Pracowała w gospodarstwie rolnym pod Jaworem. Skutek tego poznania był taki, że w styczniu 1942 roku pod gotyckim sklepieniem kościoła w Lüben niemiecki ksiądz łamał sobie język, wyczytując zapowiedzi niejakiego „Schtschotchki"... Ślub odbył się 27 stycznia. Szczotka musiał jeszcze jeździć do Żywca – dostał specjalny urlop – po metrykę do proboszcza, który nazywał się Jajko.

Trzy lata później, też w styczniu – padał śnieg, pełno go było na dachach, sople lodu zwisały z okapów – burmistrz miasta Lüben wyszedł na balkon ratusza w rozwianej pelisie. Było tak cicho, że słyszało się nawet tykanie zegara na małej nieforemnej wieży ratusza. Burmistrz powiedział, żeby cała ludność cywilna wycofywała się w porządku na Cottbus.

Nie ma już burmistrza Lüben ani balkonu, bo ratusz przebudowano. Nie ma Lüben – zdziwaczonej na germańską modłę polskiej nazwy miasta, pochodzącej od imienia Luba. Jest sobie Lubin, sławny teraz w całej Rzeczpospolitej. Jest i Szczotka, pierwszy wicesołtys wsi Sieroszowice, gdzie świder wiertaczy po raz pierwszy trafił na bogate złoża rud miedzi. Trzeba jednak wyjaśnić, że o ile Józef Szczotka trafił do Sieroszowic przez przypadek, o tyle natrafienie na złoże miedzi, od Józefa Szczotki całkiem niezależne, było wynikiem długotrwałej pracy pewnego znakomitego geologa, który nazywa się dr Jan Wyżykowski.

Gdy Szczotka zobaczył na horyzoncie łunę, gdy usłyszał huk wysadzanych w powietrze hangarów, które sam budował, gdy od benzyny zapalonej na lubińskim lotnisku poszły w niebo słupy ogniste – nie patrzył, ile mu tam Schmitt skór twardych w warsztacie zostawił, tylko dał dęba na wieś Małomice, gdzie we dworze pracowała żona. Była tam jeszcze wojskowa placówka. Szczotka ma dobre oko i zauważył, że szkopy pod mundurami noszą już cywilne szatki. Gdy Ruscy podeszli pod dwór, zagrali

z pepesz, ale w dworskiej jadalni została tylko kupka mundurów i broni wszelakiej – od pistoletów do pancerfaustów. Po szkopach ani śladu.

W dwa dni po wyzwoleniu Szczotkowie gnali przez pola i lasy tabun krów ku Polsce, gdyż tak im nakazał jakiś ruski komandir. Było ich kilkanaście osób – przystrojonych w białe firanki pozdzierane z okien niemieckich domów. Wyglądali jak zjawy. Ale tak kazał komandir, bo w lasach byli niemieccy partyzanci, więc eskorcie od krów dano odzież ochronną. Kiedy jednak niemieckie samoloty przepłoszyły krowy i ludzi, Szczotka kazał żonie rzucić firankę. Ruszyli na własną rękę, ale niedaleko uszli. Zaczęli pracować w gospodarstwach rolnych prowadzonych przez Armię Radziecką i tak zawędrowali do gospodarstwa w Sieroszowicach.

Tutaj wyszedł Szczotka na drogę. Widzi: jedzie chłop na wozie, wóz dziwnie jedzie. Patrzy Szczotka: krowa i koń ciągną. „Ktoś ty?" – zatrzymał Szczotka wędrowca. „Polak, do domu wracam". Trzeba było ludzi do pomocy w gospodarstwie, jedzenie dla wojska walczącego o Berlin trzeba było dostarczyć, więc Szczotka przy pomocy Ruskich zatrzymał nowego, nie wiedząc, że zatrzymuje przyszłego sołtysa, Józefa Stempaka. Obaj osiedli na stałe na gospodarce w Sieroszowicach i w parę dni po ogłoszeniu zwycięstwa nad Niemcami we wsi Sieroszowice urodziła się Halina, córka Szczotki, pierwsza z jego dziesięciorga dzieci tu urodzonych.



„Nie wstydzę się śniedzi – powie – bo choć to zielona patyna, to od wyrazu «śniedź» urobiła się współczesna moja nazwa polska «miedź»". I zaznaczy skromnie, że jego królestwo jest dwa razy większe od sławnego księstwa Luksemburg (...).

Potem Stempak zatrzymał Dąbrowskiego spod Krotoszyna, jak wracał z robót w Niemczech, i dziadek Dąbrowski sprowadził tu rodzinę złożoną z 8 dzieci, z których doczekał się teraz 24 wnuków i 8 wnuczek... W maju 1945 roku kosili siano na polach, w czerwcu przyszło polskie wojsko. We wrześniu Szczotka i Stempak zakładali pierwszą polską szkołę, ale z fikcyjnym nauczycielem, bo prawdziwego nie było... Ubiegał się o posadę niejaki Chrząszcz, chłop spod Wielunia, bo miał aż 7 klas skończonych, ale go do wysokiego urzędu nie dopuścili. Najpierw uczyła żona rzeźnika, Zającowa, bo – zdaje się – prawie maturę miała. A w 1947 roku przyszła już prawdziwa nauczycielka, Fornalczykówna.

W tym to mniej więcej czasie późniejszy doktor geologii Jan Wyżykowski kończył studia na Akademii Górniczej w Krakowie. Przyjmowano go uroczystą beczką piwa do górniczej braci na Śląsku i wydawało się, że będzie fedrował węgiel aż miło. Trzeba było wówczas po wojnie nowych kadr kierowniczych dla przemysłu węglowego. Ale Wyżykowski nie czuł w sobie powołania do rządzenia na węglu. Od młodości patrzył na naftowych wiertaczy w Borysławiu – to był dla niego ideał człowieka, który wydziera ziemi sekrety przy pomocy tajemniczego wiertniczego trójnogu. Poniosła Wyżykowskiego pasja rozwiercania ziemi i poszukiwania ukrytych skarbów. Z górnictwa węglowego przeszedł do Instytutu Geologicznego, gdzie zajął się poszukiwaniem rud metali nieżelaznych, głównie miedzi.

W poniemieckich materiałach i literaturze dotyczącej ziem zachodnich wieści były hiobowe: wszystkie autorytety niemieckie wypowiedziały się negatywnie co do możliwości istnienia rud miedzi w ziemi dolnośląskiej. Ale Wyżykowski miał jedną bardzo mądrą zasadę: dopóki sam nie sprawdził, nie uznawał cudzej opinii za pewnik. Zwłaszcza że gnębiła go wiadomość znaleziona w książce niemieckiego geologa i geografa, Petraschecka (którego przodkowie musieli nazywać się najzwyczajniej Pietraszek): koło Wrocławia znalazł kawałek rudy o zawartości 14 procent miedzi!

Początek pracy Wyżykowskiego to wędrówki po ziemi dolnośląskiej – piechotą, z torbą i młotkiem. Właził we wszystkie dziury, do pieczar i wydłubanych przez ludzi jam, do starych odkrywek. Raz nawet już organizowano wyprawę poszukiwawczą, bo z jakiejś skalistej groty nie mógł się wygrzebać. Raz znowu zamknęli go na granicy, gdy nowy komendant milicji postanowił wsadzić go do ciupy jako przestępcę granicznego. Siedział sobie spokojnie Wyżykowski u fryzjera, noc nadchodziła (a było to w przeddzień 22 lipca), fryzjer połowę głowy mu ostrzygł, lewą zdaje się, gdy wpadło dwóch milicjantów i mówią, żeby zaraz szedł. Wyżykowski miał wszystkie papiery w porządku, na milicję zawsze się zgłaszał, WOP go znał. Myślał, że tu o jakąś sprawę z jutrzejszym świętem związaną chodzi. Tymczasem zawieźli go z głową ostrzyżoną niesymetrycznie na strażnicę,

bo nowy komendant MO go nie znał. Pół nocy stracił, zanim się z mamra WOP-owskiego wygrzebał.

Koło Okrzeszyna znalazł wreszcie kawałki rudy miedzi. Przywiózł, dał do zbadania w laboratorium. Wynik wstrząsający: coś ponad 20 procent miedzi w rudzie! Poszedł do laboratorium i spytał: „A jak badaliście te próbki – wszystek materiał i to jest średnia?". Odpowiedzieli, że nie. Tylko ukruszyli malutki kawałek.

„Mam – ucieszył się Wyżykowski – oto, jaką metodą wynalazł Petrascheck te swoje 14 procent!". Ale poszukiwań nie zaniechał. Czuł jakoś tę miedź w okolicy. Pierwsze wiercenia ruszyły. Nie było czym kroić rdzeni wyciąganych z otworu wiertniczego. A rdzeń to czasem diabelnie twardy kamień. Zaczął więc Wyżykowski z chłopem spod Okrzeszyna sam konstruować maszynę z dębowych belek napędzaną motorem od młocarni, z piłą do drewna o zębach wzmocnionych widią. Najpierw próbowali na sucho. Rdzeń był z piaskowca. Zaiskrzyło okropnie, coś na metr, więc wzięli inny rdzeń. Maszynę wytargali na podwórzec, żeby słomy nie zapalić w stodole. Potem dali machinie ciąć łupek ilasty, bo zdawał się miększy. Był wieczór, mrok, pół wsi na podwórku u sołtysa się zebrało i patrzy. Z łupka ilastego poszedł słup iskier na 4 metry. Piła rozgrzała się do czerwoności. „Puszczaj pan te ognie, bo to ciekawe!" – przynaglają chłopi.

Zastosowali chłodzenie wodne. Chłop zażądał coś 600 złotych za drewno i budowę machiny. Rdzenie można

było kroić i wysyłać do laboratorium. Instytut Geologiczny odmówił zwrotu kosztów za maszynę do cięcia rdzeni. Wyżykowski po raz trzeci chyba zaklinał się, że wróci do górnictwa. Ale nie wrócił. Trafił otworem poszukiwawczym pod Sieroszowicami. A później pod Lubinem.

Szczotka powiada teraz: „Może na stare lata doczekam się zaszczytnej posady woźnego w kopalni Sieroszowice".

06

POLSKI INŻYNIER

Oni wszyscy odgrażają się, że przy takim tempie skończą w szpitalu wariatów. No i masz – tu właśnie spadziste parapety i klamki na gwałt powprawiane, bo dyrekcja miedzi w Lubinie zajęła budynki po takim większym sanatorium dla „trykniętych". I tak niektórzy powiadają, że ta polska wielka miedź to wielkie wariactwo – bo tempo tam oszałamiające. A wszystko zaczęło się od inżyniera Arkadiusza Tobolskiego – siedzącego w tym powariackim budynku w stylu pruskiej secesji na drugim piętrze i wykłócającego się z wykonawcami o jakieś tam obiekty zaplecza dla kopalń miedzi – wysokiego i postawnego mężczyzny, o którym nikt nie powiedziałby „dziadek", gdyby często nie opowiadał o swoich wnukach.

I gdy tak rozmawiałem w Lubinie z Tobolskim, na marginesie notatek powstawał drugi szkic: że przecież ta struga czasu, która kształtowała los Tobolskiego i podobnych mu polskich inżynierów – niekiedy przyjazna – z jednych wypływała źródeł, że jej wpływ na kształtowanie się losu polskiego był decydujący. I zawsze w tym rachunku będą dwie pozycje: rok 1939, wrzesień, oraz rok 1944, lipiec.

Chodziłem po małym mieście o wielkomiejskim rozmachu. Odwiedzałem architektoniczne cuda szklanych pawilonów, gdzie trują przedwczorajszymi kotletami, dziesiątki bloków mieszkalnych o ciekawych bryłach

i stare piastowskie mury, stawiane przez Piastów z linii tutejszej, lubińskiej. Usiłowałem dojrzeć w tym perspektywę polskiego losu na przestrzeni wieków. Książę lubiński tutaj kazał mnichowi Mikołajowi Pruzi malować cykl poświęcony świętej Jadwidze: pamiętne sceny spod niedalekiej Legnicy namalowane jak żywe. Przed Tatarami Śląsk obronił Polskę. Przed Niemcami Polska nie zdołała obronić Śląska, gdy nadeszła era dzielnicowych waśni.

I oto inżynier Arkadiusz Tobolski włożył górniczy mundur z dziesiątkami różnych złocistości. To odznaki najwyższej górniczej godności: dyrektor pierwszego stopnia. I nie dziwię się. Misja Tobolskiego była wielka, gdy poszedł – z Górnego Śląska na ten odzyskany – w poszukiwaniu bogactw. Nie dla siebie – dla kraju. Bo polscy inżynierowie mają to do siebie, że skarby się ich nie trzymają. Ale właściwie sprostujmy: Tobolski pochodzi spod Bydgoszczy, ściśle spod Koronowa. Po 1908 roku rodzina przeniosła się na Śląsk do miejscowości Murcki koło Katowic. I stąd traktuję Tobolskiego jako Ślązaka. Zwłaszcza że dalsze losy Tobolskich są już arcyśląskie, kończąc na liczbie siedmiorga wnucząt i domku w Piotrowicach Śląskich, jeszcze ojcowskim.

*

Ojciec był z zawodu kowalem – z dobrej starej szkoły rzemieślniczej, którą była wędrówka przez Europę na przełaj. Nie wiedział, że syn tę wędrówkę po latach powtórzy.

Niemcy, Belgia, Francja, Holandia... Trzeba było w świecie zdobywać wiadomości, aby wyzwolić się na majstra.

Arkadiusz, lat 14 mając, już pracował jako tokarz na kopalni „Murcki". Trwała wojna. Z niemieckiej szkoły zwolnili go wcześniej, niż należało. Pracowały dzieci i kobiety. Z kopalni wzięli go do huty „Ferrum". Po roku wrócił na kopalnię „Murcki" – to była niejako ich rodzinna kopalnia, ojciec tam robił i czterech braci. Był wtedy rok 1918. Młody Tobolski pomyślał o zdobywaniu wiedzy. Straciło się parę lat – trzeba było nadrobić. Szkoła? Skądże znowu, nie tędy szła droga. Nauka była zbyt kosztowna. Kto miał to sfinansować? Tylko praktykując w różnych zawodach, można do czegoś dojść – pomyślał Tobolski. Był więc trochę mechanikiem, trochę elektrykiem, trochę górnikiem. A poza tym polskich szkół technicznych na Śląsku nie było.

1921 rok – Śląsk chce zostać przy Polsce, trzeba chwytać za karabin. Tobolski bierze udział w II i III powstaniu śląskim. IV baon II kompanii karabinów maszynowych. Wodzisław – Olza – Rogów. Potyczek było sporo. Zostały potem ordery i dyplomy oraz przechowywana ze czcią Śląska Wstęga Krzyża Walecznych. Pod koniec lipca 1921 roku zwolnienie z wojska i znowu pęd ku wiedzy, ku zdobywaniu kwalifikacji i pozycji. W Bielsku jest szkoła zawodowa, ale prowadzą ją sami Niemcy. W Krakowie szkoła budowy maszyn, w Gliwicach też, nawet bliżej. Gdy jechał do Gliwic, został wyrzucony pod Chebziem z pędzącego pociągu.

Pokiereszowany – cudem ocalał. Niemcy rozpoznali w nim powstańca śląskiego. Wyleczył się na pewien czas również z pędu do wiedzy.

W 1927 roku skończył czteroletnią polską szkołę techniczną w Hajdukach. To było wszystko, co można było podówczas na Śląsku uzyskać, nie było innych uczelni. I po szkole od razu posada lepsza: zastępca kierownika ruchu maszynowego kopalni „Staszic". Kopalnia budowała właśnie wielki wodociąg. Tobolski zetknął się wówczas po raz pierwszy z wodą, czego wynikiem był w latach późniejszych jego pierwszy wojaż na tereny miedziowe pod Legnicą, gdzie stały zatopione poniemieckie kopalnie. Na „Staszicu" się wyemancypował – został współprojektantem wodociągu w Maczkach, który miał zaopatrywać cały Śląsk. I już w 1929 roku Arkadiusza Tobolskiego – lat 26 mającego – widzimy, jak kieruje robotami przy części elektrycznej i mechanicznej stacji pomp i filtrów. Budowa się skończyła – został kierownikiem tejże stacji. Do roku 1939 tam siedział, bo wrzesień 1939 zaczął dla niego inny już rozdział w życiu. Wodociąg w Maczkach obsadzili Niemcy.

*

Minęło trudne dwudziestolecie, nastała ponura rzeczywistość okupowanego, przyłączonego do Rzeszy Śląska. Tobolski jest teraz ślusarzem na kopalni „Kazimierz-Juliusz" koło Strzemieszyc. Próbuje przeżyć okupację

nierozpoznany, choć zaangażowany jest w różne akcje społeczne i polityczne. Powstańcy śląscy to klan ludzi twardych. W 1941 roku zaczyna się druga fala aresztowań, jeden kolega po drugim znika, przychodzą zawiadomienia do rodzin o zakaźnych chorobach, które plenią się w hitlerowskich więzieniach. Gdy Tobolski dostaje wezwanie na gestapo, uprzedza żonę, że nie zjawi się w domu. Pożycza od kolegi płaszcz i kapelusz z tyrolskim piórkiem. Po niemiecku mówi znakomicie, wychował się w niemieckich szkołach.

Było to w same urodziny Hitlera, w kwietniu 1941 roku. Strażnicy na granicznej stacji kolejowej w Trzebini byli pod dobrą datą, jeżeli za taką można uznać urodziny Hitlera. Spytał, czy może iść do brata w mieście. Zachowywał się pewnie, nic nie wzbudzało podejrzeń. Nie miał przy sobie żadnych papierów. Piechotą podrałował do Krzeszowic, od znajomego burmistrza w Krzeszowicach wykombinował jakiś lewy ausweis. Nazywał się teraz Kazimierz Bobrowski. Pojechał do miejscowości Jędrzejów, gdzie mieszkali znajomi, prowadzący wytwórnię wody sodowej, rozlewnię piwa, kawiarnię.

Ciastka jadał wówczas świetne pan Bobrowski-Tobolski, jako że w Jędrzejowie bawił czasowo również pewien cukiernik z Warszawy. Poza jedzeniem ciastek wykonywał wszelkie roboty, jeździł nawet handlować po odpustach. A przede wszystkim prowadził wytwórnię wód gazowych, co sprawiało rozliczne kłopoty, bo trzeba było





Mister Cuprum patrzy z lubością na domy swojej lubińskiej stolicy – oczyma z miedziaków, które mają walor złotych dwudziestodolarówek – i zastanawia się, kiedy, za ile lat, przyjdzie mu błysnąć wspanialej od Katowic i Górnego Śląska.

zdobywać gaz. Wyprawiał się nawet do Krakowa. W listopadzie wiózł z Krakowa 4 butle, gdy w Miechowie zorganizowano obławę.

Niemcy obstąpili pociąg, wrzasnęli „Alle raus!" i zaczęli wychodzących sortować. Kto nie miał żelaznego ausweisu – a taki dawała praca na poczcie lub kolei – dostępował zaszczytu wojażu zagranicznego. Na roboty do Reichu. Uwięziony w szkole w Krakowie – zdołał napisać kartkę do Jędrzejowa, aby znajomi nie przypuszczali, że zdefraudował pieniądze na 4 butle gazu i znikł. Bardzo go ta myśl trapiła przez cały czas. Potem zaczął rozmyślać nad tym, jak się wydostać. Ale nie było sposobu. Zaplombowany pociąg – migają znajome stacje: Katowice, Gliwice. Nikt nie ma pojęcia, że wiozą go w rodzinne strony. Pan Kazimierz Bobrowski według dowodu osobistego jest Krakowianinem.

Berlin, Schlesischer Bahnhof. Szli peronem. Polacy rozładowywali wagony. Nawiązał kontakt, przyłączył się do nich. Ale jak się wydostać z Berlina? Kombinował długo, kręcił się po różnych polskich ośrodkach – aż pod Hanowerem wpadł w ręce policji. Tłumaczył się, że zgubił transport, który szedł do Westfalii. Więc powieźli do Essen, wystawili w biurze pośrednictwa pracy jak żywy towar na sprzedaż. Bobrowski był wychudzony i zabiedzony, nikt nie chciał go kupić. Wreszcie przyszedł przedstawiciel Kruppa i wziął go. Od lutego 1942 roku zaczęły się naloty, trzeba było uprzątać z gruzów teren zakładów.

I właściwie na tym uprzątaniu gruzów przy walącej się niemieckiej potędze przesiedział do 1945 roku.

W tym samym czasie owa waląca się niemiecka potęga dobierała się do ubogich złóż miedzi pod Bolesławcem, nie zdając sobie sprawy z tego, że przygotowują robotę dla Tobolskiego. Kopalnie pod Bolesławcem zatopiła woda – a Tobolski był przecież fachowcem od wody.

*

Wrócił do kraju też w lipcu – w 1945 roku. Tamten lipiec, który miał decydować o jego losach, przeszedł przez niego niezauważony. W wyzwolonym lagrze Tobolski należał do samorządu, który rozdzielał paczki amerykańskie, karał za wykroczenia i nawet udzielał ślubów. W 8 osób wzięli przepustki na miasto i tyle ich widziano. Propaganda robiła wszystko, aby nie wracać do Polski. A oni 26 lipca dotarli do Lipska – w Kassel spotkali pierwsze radzieckie oddziały. Mieli w nogach 800 kilometrów pieszej wędrówki. Z Lipska trofiejnym pociągiem do Miśni. 27 lipca przejeżdżał Tobolski przez Żagań, Żary i Głogów, nie mając pojęcia o tym, że kiedyś w tych stronach żył będzie i pracował. Głogów się jeszcze palił. 28 lipca był już w domu.

Praca w Biurze Projektów Elektromontażowych w Katowicach nie bardzo mu odpowiadała. Górnika ciągnie pod ziemię albo przynajmniej tam, gdzie jest coś z kopalnią wspólnego. Więc od 1947 roku przeszedł do Jaworznicko-Mikołowskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego

w Mysłowicach. Był inspektorem urządzeń mechanicznych i elektrycznych. Wizytował kopalnie. Robił plany odwodnienia kopalń „Krystyna" i „Zbyszek". I byłby może do dziś tam pracował, gdyby nie narada poświęcona sprawom odwodnienia kopalni miedzi „Konrad" pod Bolesławcem. Na tej naradzie powiedział kilka rozsądnych i fachowych uwag. Dyrektor Fabris w końcu zgodził się wypożyczyć Tobolskiego tym od miedzi na 3 miesiące, ale ani dnia dłużej. 25 marca 1952 roku ze sporządzonymi planami odwodnienia kopalni Tobolski wylądował w Bolesławcu. „Jak to wszystko zobaczyłem, to miałem ochotę rzucić i zaraz wracać – powiada teraz Tobolski. – Ale właściwie zaimponowało mi to zadanie. Niemcy robili różne próby odtopienia kopalni i nie dali sobie rady z wodą, mimo iż im ta miedź na wagę złota była potrzebna. Więc postanowiłem pokazać, że tę kopalnię odtopię, ja – polski inżynier...".

*

Został na tej miedzi. Niby niechcący, ale w gruncie rzeczy sam się w to wplątał. Powiedział, że potrafi odtopić „Konrada II" w ciągu 6–7 miesięcy. Plan zaakceptowano z pobłażaniem – czy aby się to uda? A zresztą, jak już jest taki człowiek, który w to wierzy, to niech sam robi. Więc został w Bolesławcu. Wyprosił sobie tylko, aby nie było zbyt wielu rządzących – on ma decydować. Akcja, zaczęta pod koniec kwietnia 1951 roku, postępowała pomyślnie. Tobolski spał i jadł na kopalni, rano zbierał wszystkich koło siebie

jak kwoka i „ustawiał". Zegarki nastawiali co do minuty, aby ci pod ziemią i nad ziemią mogli idealnie w czasie synchronizować swoje poczynania. W połowie czerwca mógł już zameldować, że kopalnia zostanie odwodniona około 20 sierpnia, a nie w listopadzie. To wywołało wielkie poruszenie: na powierzchni przygotowywano się do przyjęcia rudy, uruchamiano flotację. Niemcy twierdzili, że trzeba na odwodnienie 2 lata i 5 milionów marek niemieckich. 10 sierpnia Tobolski osobiście zszedł na pierwszy poziom po drabinach... Ruszyło wydobycie, wydarto ziemi rudę miedzi. Polską rudę miedzi, którą kopali kiedyś śląscy Piastowie.

Ale gdy wszystko idzie dobrze – powiada Tobolski – zawsze musi się coś wydarzyć. Więc odwołano go do Zjednoczenia. 19 listopada pojechał ratować zagrożoną zatopieniem kopalnię „Brzeszcze". Niedzielę, poniedziałek i wtorek przesiedział pod ziemią w „Brzeszczach". Na głównym przekopie spotkał go inżynier Mitręga: „Czy wiecie, że «Konrad II» się pali?".

Tobolskim zatrzęsło. To przecież była jego kopalnia, przez niego wydarta wodzie. Zrozumiał, że musi tam być. Wyjechał na powierzchnię, telefon do dyrektora Fabrisa, samochód po chwili wiózł go z powrotem na Dolny Śląsk. Już na stałe.

*

Został w tym zagłębiu miedziowym, które dziś nazywają „starym" – trochę z ironią, trochę z pogardą, bo cóż to za zagłębie przy tym nowym. Jeździłem tam pod

Bolesławcem – wśród zielonych łagodnych wzgórz, gdzie w malowniczych kotlinach nagle pojawiają się szyby miedziowych kopalń – aby stwierdzić, od czego się to wszystko zaczęło. Pamiętam tylko wielką rotundę wejściową do zakładów „Konrad" pod Bolesławcem. Wtedy, gdy działał tu Tobolski, wydarte ziemi kopalnie uważano za wielkie i wspaniałe. Gdy odwodnił kopalnię „Konrad I", mianowano go dyrektorem nowo budującego się bliźniaczego zakładu „Lubichów". „Nie bardzo mi to odpowiadało, bo ja do stanowisk nie mam pędu. Mój zawód to bezpośrednia robota, konkretna". Ale dyrektorem został. W lutym 1957 roku przyjechał do „Lubichowa" ktoś z ministerstwa i powiedział: „Ta wasza miedź to fraszka". Obrazili się z początku. „Odkryto nowy pokład i to tak piękny, że palce lizać. Okruszcowany miedzią jak baba wielkanocna lukrem. Odwiercono otwory w Sieroszowicach i Lubinie...".

Nie mogli zdzierżyć. Ciężarówką, bo innym samochodem wówczas nie dysponowali, wybrali się do Sieroszowic, by popatrzeć, zaspokoić pierwszą ciekawość. Przystępowano do rozwiercania złoża, do sporządzania dokumentacji. Ani wiedzieli wówczas, co ich czeka. A czekała ich ta nowa miedź, ani chybi. Dłubali przy tym „Lubichowie", a byli już tą wielką miedzią skażeni. Od 1959 roku przydzielono im nowe zadanie: dyrekcja „Lubichowa" przejmuje tytuł inwestora dla nowej miedzi.

Tobolski rozpoczął urzędowanie w baraku w Lubinie przy ulicy Kościuszki – w tej epoce, gdy kozy jeszcze się

pasły na rynku, ale już patrioci nowego zagłębia jęli je pędzić, aby odsłonić widok na miraże wspaniałej przyszłości. Od roku 1960 był naczelnym dyrektorem tej nowej miedzi. 1 grudnia tego roku mieli już odwierconych 10 metrów szybu – na Barbórkę.

13 lipca 1962 roku pięknie postępujący szyb został zatopiony... Tobolski przyjął to jako osobistą tragedię, choć wina leżała raczej po stronie geologów i projektantów. Postanowił usunąć się w cień i pracować z boku – niech kto inny dźwignie ten ciężar, może już na jego lata za wielki. Za to wszyscy go cenią i kochają. A na Barbórkę ostatnią dali mu zaszczytny tytuł, awans: „dyrektor pierwszego stopnia"...

Czas kształtował ludzi – ludzie kształtowali czas. Struga czasu, która zmarszczkami przeszła przez twarz Tobolskiego, zostawiła wiele zadań chlubnie doprowadzonych do końca, męską satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Dlatego sportretowałem jednego z tej starej gwardii inżynierskiej – nie aby ukazać rangę postaci, ale rangę czasu kształtującego.

Nie „dyrektor pierwszego stopnia" – tylko „polski inżynier".

07

KONIEC „DZIKIEGO KOTOWANIA”

Najpierw powiedzieli: „No to jedź ty, Mirek" i siedzieli jacyś smutni, jakby mieli pretensje. Tobolski, wiadomo, odwodnił „Konrada", a tutaj ta nowa miedź wyskoczyła. O „Konradzie" zapomną. A oni swoje utrudzone miesiące, wyprute żyły, nieprzespane noce – na tej nowej kopalni, którą Tobolskiemu dali do budowy, na tym „Lubichowie" jakimś – zmarnują. Na co? Nowa wielka miedź pokazywała się wszędzie jak ladacznica, wdzięczyła się z pierwszych stron gazet. Więc cóż oni? „Stara miedź"? Ale wreszcie wszyscy do tego Lubina ciężarówką pojechali. Tobolski także. „Nie przejmuj się, chłopie – powiedzieli do Mirka – jakoś to pójdzie". Przyjechali, podreptali po miasteczku, popłoszyli gęsi na rynku, spojrzeli na zegar – jedyną chlubę i dumę ratuszowej świetności – i pojechali.

„Jeden obiad, dwa obiady, trzy obiady..." – liczył gęsi spacerujące przed ratuszem. Do dwunastu dojechał. „Z miesiąc przeżyję" – pomyślał i ani przypuszczał, że to „dzikie kotowanie", na które go wysłali, trwać będzie lata. Budująca się kopalnia „Lubichów" przejmowała opiekę nad tą nową miedzią, a pierwszym przedstawicielem inwestora tych przyszłych kopalń i zakładów miedziowych ma być właśnie Mirek Marchewski, geolog i facecjonista, a przy tym taki facet, co mu wszędzie dobrze.

Poszedł ulicą, która od stacji benzynowej wiodła w stronę czerwonych budynków dawnego zakładu obłąkanych. Po drodze minął mostek, potem była knajpa, dalej wieża wiertnicza. Otwór, którym trafili w Lubinie w miedź. Najpierw w Sieroszowicach, potem w Lubinie. Koło wieży kręcili się ludzie doktora Wyżykowskiego, bo to był jeszcze otwór Instytutu Geologicznego. On ma patronować dokładnym badaniom złoża. Poszedł dalej: był cmentarz. Przespacerował się, znalazł marmurowy nagrobek: „Johann Kupfer". Kupfer to miedź. Spokojna głowa, tej miedzi nie jest na imię Johann. I poszedł dalej.

Spotkał dwóch ludzi – nie byli to Pat i Patachon, albowiem potęga tego większego tkwiła w kształcie okrągłym raczej, u drugiego wzrost mizerny i chudość niebywała. Gruby śpiewał arię ze „Strasznego dworu" i w momencie, gdy brzmiały słowa: „Wychodzą z ram, gdy pieje kur...", zrównał się z nimi. Mały był tak zasłuchany w fenomenalny głos swego kolegi, że wszedł na Mirka. „Przepraszam, przepraszam..." – powiedział niecierpliwie. Dopiero po kilku krokach zawrócili gwałtownie, aby zapytać: „Przepraszam, czy może pan Marchewski? Bardzo nam przyjemnie. Przyjechaliśmy wiercić".

Nawet w tym momencie Marchewski jeszcze nie wiedział, że będzie tej arii Skołuby co dzień słuchał, natomiast wiedział już, że z tymi dwoma dżentelmenami będzie miał do czynienia. Wiertacze. W skórzanej teczce Marchewskiego tkwiła mapka wierceń poszukiwawczych – „siatka". Każdą

piędź ziemi trzeba zbadać, aby określić wielkość złoża, jego rozległość. Plany wierceń powinny tkwić w pancernej szafie, ale rzeczoną mieli następnego dnia dopiero przywieźć razem z innymi sprzętami do Lubina, gdzie trzeba było najpierw wyszukać lokum dla inwestora, placówki na razie jednoosobowej. Dwaj spotkani dżentelmeni spytali: „Pomieszkanie dla pana? Zrobi się. Jest pokój u Egipcjanów!" i jęli go prowadzić znowu w stronę cmentarza.

Tak zaczynało się owo „dzikie kotowanie", którego prawdziwy koniec już widać, bo ruda już na powierzchnię wychodzi kopalnianym szybem, na razie jako urobek przy drążeniu chodników. Marchewski na trzecim piętrze punktowca, tuż obok gotyckiego kościoła zainstalowany, dziatwę i Skodę Octavię chowa, która mu do rozlicznych rozjazdów służy – bo choć teren budujących się kopalń został rozpoznany, to teraz dokumentuje się dokładnie inne tereny. Ta miedź jest naprawdę wielka jak morze, ale „dzikie kotowanie", ów okres romantyczny, skończył się. Jest teraz „kotowanie" zorganizowane.

II

Zaniedbany żółty budynek, na ścianie którego wychodziły spod farby jakieś szwabskie napisy, wyglądał jak skrzyżowanie prezbiteriańskiego domu modlitwy ze średniowieczną twierdzą. Wielka sala z przylepionymi z boku okienkami

części mieszkalnej na dwóch piętrach. Właścicielem tego wszystkiego był pan Raszka – albo raczej pan Raschke, jak raczyli o nim pisać niegdysiejsi władcy miasteczka Lüben – mechanik o bujnej przeszłości, z którą rozliczne miewał kłopoty. Albowiem Raschke – który dzisiaj już spoczywa na tym samym cmentarzu co zacny, choć nieznany nam bliżej, Kupfer – służył w niemieckiej marynarce. Był pierwszorzędnym mechanikiem okrętowym, co stało się przyczyną zarówno jego sukcesu, jak i klęski. Sukcesem było, że wystawił sobie właśnie w Lubinie ten obiekt, wielki warsztat samochodowy, klęską – iż znacznie wcześniej znalazł sobie żonę egzotycznej urody, Egipcjankę. Władze hitlerowskie były niezadowolone z tego mariażu oraz z potomstwa „nieczystego rasowo", co przy każdej okazji Raschkemu wypominano. Ale nie tylko dlatego Raschke został, a nie wyemigrował z Lubina – po prostu został, bo był w gruncie rzeczy Polakiem. Władze PUR, w których uczestniczył dzisiejszy portier hoteli robotniczych, jeden z pierwszych osadników, Rasała, zdołały ustalić, że Raschke pochodzi z Poznańskiego i w metryce ma napisane „Raszka". Więc nie było żadnych problemów.

Do tychże „Egipcjanów" zaprowadzony został Marchewski po przyjeździe, gdyż warsztat Raszki wybrano na lokum dla bazy wiertaczy. Było podwórko spore – żeby sprzęt wiertniczy złożyć. Była duża hala warsztatu tudzież trochę pokoików do celów urzędowych. Właśnie do jednego pokoiku na facjatce na drugi dzień wstawiono

przywiezione z „Lubichowa": kasę pancerną, biurko i dwa krzesła, plus prywatne wyrko. Do kasy pancernej włożył geolog plany z nadrukiem „tajne" i chleb, bo myszy okrutnie nocą wszelkie wiktuały podjadały.

Owego dnia jednak, gdy jeszcze chleb w szafie pancernej nie tkwił, Marchewski z dwoma dżentelmenami wybrał się do restauracji Klubowa w połowie drogi między modlitewnym zamkiem Raszki a lubińskim rynkiem. Trzecim szczegółem topograficznym był fakt, że naprzeciwko tejże gospody trafiono w Lubinie na miedź: odwiert Instytutu Geologicznego jeszcze nie był zlikwidowany. Więc w restauracji zastano przedstawicieli tegoż Instytutu, czyli tych, którzy miedź odkryli. Bliski współpracownik doktora Wyżykowskiego, pan M., przedstawił się zatem przedstawicielowi przyszłego kombinatu miedziowego, Marchewskiemu, za pośrednictwem wiertaczy Malińskiego i Kosiny, reprezentujących utworzone dopiero co przedsiębiorstwo geologiczno-poszukiwawcze z Legnicy.

Zanim poznanie to nastąpiło, wszedł Marchewski do Klubowej pełen nadziei i postanowił przepchać się do baru, aby wypić piwo, zanim jeszcze odnajdzie nowych przyjaciół. Cały chyba Lubin zgrupował się, aby oglądać „tych od miedzi". Ktoś przy barze opowiadał o swoich podbojach sercowych pod Ankoną w słonecznej Italii, nikt tego nie słuchał. Stojąc już przy barze, poczuł, że barman z dużą szybkością odpływa do tyłu. Chwycony zgięciem laski za szyję przez jakiegoś dowcipnisia został

wyrwany z tłoku nagle i ktoś powiedział: „Jak to wyglądają te, co to będą Lubinem rządzić?". Figlarz nie zdążył zauważyć – Mirek przywalił srodze właścicielowi laski i, o dziwo, tłum rozstąpił się. Po drugiej stronie utworzonej uliczki stali dwaj wiertacze. Oto dał o sobie znać prawdziwy urok dzikiego zachodu.

Była wiosna roku 1957. Tę knajpę nazwali sobie później Domem Matysiaków, bo wiertacze, geolodzy, ludzie włóczący się też muszą mieć swój dom.

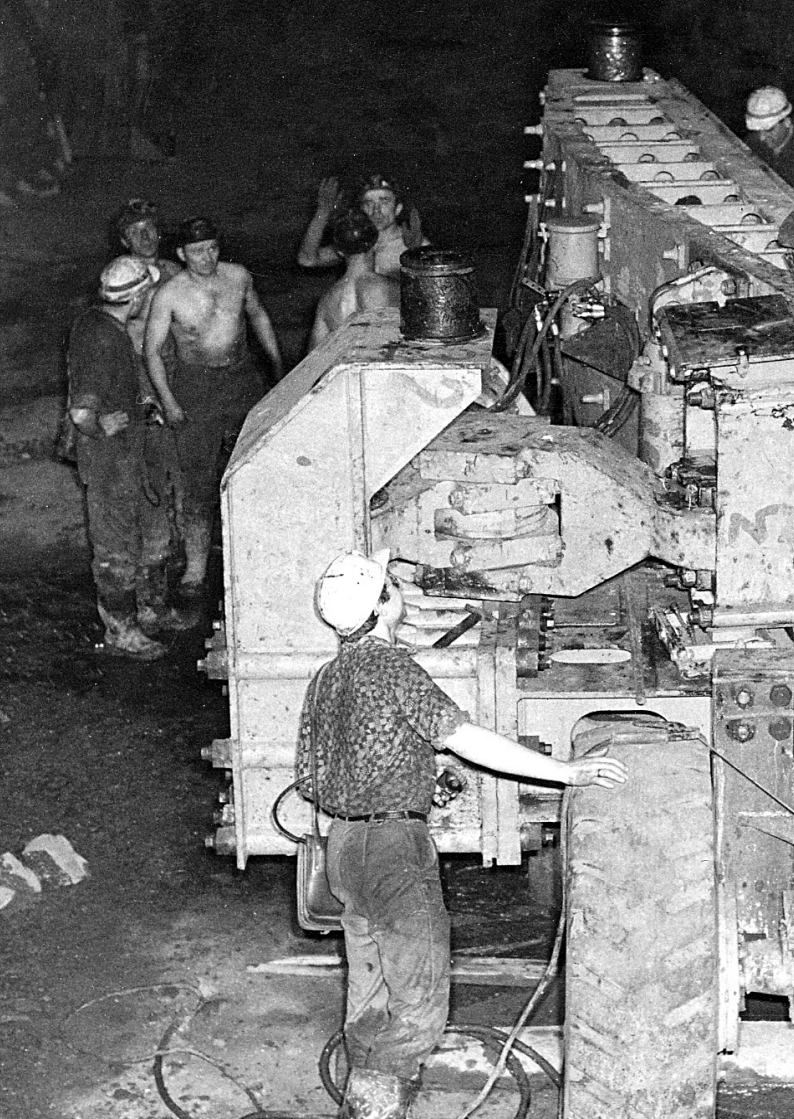
III

Sprzęt wiertniczy na ogromniastych samochodach zaczął się kolebać po polach podlubińskich. Wieże na przyczepach, jakoweś sztangi i drągi, na które kmiecie patrzyli z bezgranicznym przerażeniem, aby nie były użyte podczas sporu w miejscowej gospodzie. „Szukajcie rejonów, gdzie złoża miedzi zalegają na najmniejszej głębokości!" – powiedziano geologom.

Z dwóch dotychczasowych otworów – w Sieroszowicach i Lubinie – ten ostatni wykazał, że złoże jest płycej, więc drugi otwór usytuowano niedaleko cmentarza. Marchewski mógł roboty z okna swojej twierdzy doglądać. Stare aparaty wiertnicze GPO-800 – ta liczba oznacza głębokość, do jakiej mogą one pracować – przybyły jeszcze ze starego zagłębia, z kopalni „Konrad" i „Lubichów".

Zainstalowali w sumie w roku 1957 pięć aparatów wiertniczych. Dwa otwory stały „na przewód" – jak powiada się w gwarze – bowiem właśnie przewodu wiertniczego brakowało, brakowało koronek. No nie mówiąc już o tym, że aparaty GPO-800 nadawały się do wiercenia dziurek w papierze perforowanym, a nie do rozwiercania ogromnych złóż miedzi, zważywszy że złoże zalegało i na większych głębokościach niż te, jakie mógł osiągnąć aparat.

Przyjeżdżać zaczęli dyrektorzy na kontrolę. Po błotnistych drogach, po roztopach brnęli, żeby zobaczyć, jak wiertacze się dobierają do tej wielkiej miedzi. Kiedyś Marchewski usiłował wyperswadować swoim dyrektorom, że przyjeżdżać nie ma po co, bo na otwory się nie dojedzie. Ale byli nieubłagani. Gdzieś na polnej drodze zabuksowali, jeden z dyrektorów poszedł ratować sytuację. „Panie Marchewski, a zna pan prawo dźwigni?" – zażartował i podłożył pod tylne koło jakiś wielki drąg, który zaczął dociskać ku ziemi. Kierowca włączył silnik, drąg wyprostował się, a dyrektor wystrzelił w górę jak sputnik, po czym miał w rowie pełnym wody miękkie lądowanie po szyję. Po tej kąpieli stracili dyrektorzy złudzenia, że sprawę geologicznej dokumentacji można załatwić jedynie przy pomocy kontroli. Zaczynali się jednak zastanawiać, czy warto by może sprzęt lepszy sprowadzić. Bo otwory nie szły jak trzeba, nawet odwierty czasem krzywiły się, czyli buntowały się przeciwko pionowi. W dodatku jeszcze kmiecie nie mieli dla miedzi admiracji. Mało: często bunt podnosili.





Tak więc przestała być potrzebna tylko
na dachy kościołów i do odlewania
dzwonów ze spiżu (...), ale decyduje
o produkcji silników elektrycznych (...)
o sieci telefonicznej (...)
o transformatorach i tramwajach.

Pod Jędrzychowem – jak i wszędzie – zapowiedziano, że robotnicy wchodzą na pole, później dokona się obmiaru szkód i za wszystko się zapłaci. Ale pewien gospodarz wyskoczył na Kosinę z siekierą i powiada: „Przez moje pole nie puszczę!". Kosina był ułomek, oglądał się za Malińskim, ale tamtego właśnie nie było. Wieczorem, u „Matysiaków" – gdzie jadali każdy posiłek, bo w Lubinie nie można było ani chleba, ani masła w sklepie dostać – zaczął swoje żale przed kolegami wypłakiwać. Kosina był to dawniejszy student prawa, który rozwiódł się z żoną, zostawił jej dziecko i dał nura w Polskę, na włóczęgę. Maliński znowu to przedwojenny oficer, partyzant, co to miał kłopoty z uzyskaniem innej pracy, więc poszedł wiercić. Kosina patrzył jeszcze z podziwem na Humieckiego, który był po siedemdziesiątce, a jeszcze chłopski wóz brał za tylne koła i przestawiał na bok, jeżeli mu drogę zagradzał. „Powiedzcie, co ja mam zrobić z tym chłopem?". Wyperswadowali, że wojny robić nie można, a tym bardziej na siekiery, bo dobiją się – zamiast do miedzi – do kryminału.

Na drugi dzień bomba pękła. Jechał przez pole samochód z drogim sprzętem i nagle – ni stąd, ni zowąd – fiknął koziołka. Nikomu na szczęście nic się nie stało. Wychodzą i patrzą, że chłop regularny dół przez noc wykopał, gałęziami przykrył – jak to się zwykło dół na dzika kopać – i gdzieś tam chyłkiem podpatrywał efekty. Udało się, bo Stara złapał jak warchlaka! Ale też wiertacze do niego:

„Straty są na tysiące złotych, pójdziesz do prokuratora". Chłop się wystraszył, za zerwany przedni most w samochodzie zapłacił i doły przestał kopać.

Ale mijały miesiące, a do miedzi dowiercić się nie mogli.

IV

Jeżeli zapytacie mnie, dlaczego bohaterem okresu „dzikiego kotowania" ma być właśnie Marchewski, który żadnego bohaterskiego czynu nie dokonał, odpowiem wam, że właśnie dlatego. Tylko tyle, że przybył tu jako pierwszy człowiek reprezentujący dzisiejszego kolosa pod nazwą „kombinat miedziowy", a to w gruncie rzeczy bardzo niewiele. I co to jest to całe „dzikie kotowanie"?

W dawnych wiekach, gdy projektowano gdzieś drążenie szybu czy nawet kopanie studni, puszczano kota z nadmuchanym pęcherzem przywiązanym do ogona. Kot biegał jak szalony, pęcherz wydawał mrożące krew dźwięki, aż kot padał bez życia. W tym miejscu wiercono szyb. Zamiast kota Marchewski przywiózł dokładnie rozpracowaną siatkę wierceń. Ale ten okres poszukiwań nazywają Anglicy dziś jeszcze „wild cating", czyli „dzikie kotowanie".

Marchewski studiował geologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu w okresie, gdy te studia były dwustopniowe. Ponieważ było to na uniwersytecie, za ukończenie pierwszego stopnia dawano

tylko dyplom bez tytułu. Będąc więc po wyższych studiach, inżynier Marchewski nie miał tytułu inżyniera. Wszyscy jakoś spoglądali na niego dziwnie. Przydział pracy skierował go do „starego" zagłębia miedziowego, gdzie dyplom obejrzeli i kazali robić dokumentację rozbudowy kopalni na upadowej „Grodziec". Mirek przeraził się zlecenia, pobiegł do dyrektora i spytał: „Jak rozbudowywać? Jaką dokumentację zrobić?". Ale dyrektor nie był taki frajer, żeby odpowiadać na głupie pytania. „Róbcie sami, martwcie się sami, od tego jesteście fachowcem, geologiem!". Zdaje się, że zadanie swoje Marchewski wykonał dobrze, bo później zaciągnięto go do nowo budującej się kopalni „Lubichów" na geologa, skąd trafił rykoszetem do Lubina. Ot i cała bohaterska historia.

Teraz w Lubinie zestawy wiertnicze rozpełzły się po całym terenie. Grzybne i pełne zwierza lasy były dla wiertaczy ostoją, bo powiadali poniektórzy, że zakąską, jaką sam znajdziesz, gardzić nie trzeba. Udziec dzikiego zwierza lub grzybek w marynacie – ich smak przychodzi na samo wspomnienie tamtych czasów. Z grzybami była kiedyś prześmieszna historia u Mirka na facjatce. Kilku inspektorów po kontroli przyjechało się ogrzać. Picia było wiele, zakąski mało. Jeden z dostojnych gości stwierdził, że został otruty i zemdlał. Pogotowie, lekarze. Otwierają teczkę dżentelmena, z której, jak się okazało, podgryzał ukradkiem kiełbasę. A obok kiełbasy leżały grzyby

trujące, które uzbierał jako prawdziwki. Maliński od razu dorobił pointę do tej historii: „Inspektor podszedł w sposób niesocjalistyczny do zakąski, bo jadł ją sam, pijąc społeczny alkohol – więc kara boża jest słuszna".

Zaczęły się w terenie zrękowiny szykować, mariaże układać – geolodzy byli tu forpocztą górników. Tu jedno weselisko, tam drugie. Przyjeżdżali ze Śląska kamraci na te uroczystości. Bractwo miało już karty łowieckie i flinty, więc weselisko gdzieś w Sobiniu na drugi dzień przemieniało się nagle w polowanie sarmacką fantazją i gorzałką podlane. Najpierw szło dwóch górników i wyganiało kury na ulicę, za nimi myśliwy-geolog strzelał do kur. Na końcu szedł pan młody i płacił chłopom hojnie za zwierzynę. Tak hojnie, że prosili, aby polowanie przedłużyć i coś jeszcze ubić. Milicja miała inne zdanie: odebrali flintę i myśliwcowi wlepili trzy miesiące pudła.

Rzadko się takie historie działy, dlatego się je pamięta. A na co dzień mordowali się z otworami. Na S-5 z otworu zrobiła się choinka, czyli interes rozgałęził się w trzy odnogi jednego otworu. Wiercił tam kierownik Humiecki i nigdy nie wiedział, w której odnodze akurat nie pracuje. Dalej było krucho z aparatami – dostali radzieckie KAM-500 i kilka sztuk GPO-800. Więc zaczynali wiercić KAM-ami, a dowiercali przy pomocy GPO. Jakoś trzeba było łatać. Były kłopoty z przewodem wiertniczym, więc wieczorem – gdy schodzili się na kolację do „Matysiaków", czyli Klubowej – rozpoczynała się prawdziwa giełda. Jeden

od drugiego żerdzie pożyczał – ustalano, kto komu i za ile pożyczy. Honorarium wypijano ponoć na miejscu.

Klubowa stała się piękna, zafundowano jej neon. Tylko jedzenie się popsuło i obsługę chcieli zwolnić. Bo kelnerki zżyły się jakoś z wiertaczami i potrafiły się postawić zarządowi, gdy zaopatrzenie nawalało. Maliński stanął na czele delegacji broniącej kelnerek: „Jeżeli je zwolnicie, to my się postaramy, żeby was zwolnili" – wypalił. Po krótkiej rozmowie stanęło na takiej konkluzji: „To my ich nie zwolnimy, ale wy się nie starajcie, żeby nas zwolniono".

Otwory wiercono coraz dalej od Lubina. Tempo pracy było wielkie, dowiercano się wreszcie do miedzi, ludzie nie mieli czasu chodzić do „Matysiaków". Marchewski zrobił alarm, że handel musi jeździć po okolicy i robotnikom jedzenie rozwozić. Wszystkim poszły oczy w słup na takie żądanie. Ale zmienili jednak zarząd: przywieźli Wiktora Macyszyna, żeby się tymi od miedzi zajął i ich nakarmił. Zrobiono go wiceprezesem PZGS.

V

Zanim jeszcze przybył Macyszyn i dzięki ich wspólnej z Mirkiem inicjatywie wygotowano wóz Drzymały, co gorące jadło po „otworach" rozwoził, działy się rzeczy, o jakich nie śniło się miejscowym filozofom. Nowy dyrektor przedsiębiorstwa wiertniczego z Legnicy nocą przyjechał na kontrolę rejonu, którego kierownikiem

był pan F. nazywany Dziadkiem, i stwierdził, że Dziadek sypia bez pidżamy. Na drugi dzień telefon do Dziadka: „Czy to jest moralne, że śpicie na golasa?". Po dłuższej perorze na ten temat zawiadomił pana F., że o jedenastej jest w Polkowicach narada. „Nie mam samochodu". Na to dyrektor daje uprzejmą uwagę, że: „Do stajenki betlejemskiej pasterze szli piechotą". Dziadek się zezłościł i powiedział, że nie szli po to, żeby kontrolować, czy staruchy sypiają w pidżamie, i odłożył słuchawkę.

Dyrektor zbierał różnych ludzi, węszył i szukał sabotażystów, że niby nic nie wychodzi i nie mogą się do miedzi dowiercić, bo ktoś celowo przeszkadza. Nocami snuł się po polach. Od różnych ludzi brał jakieś dziwne oświadczenia na piśmie. Nad przedsiębiorstwem bowiem wisiało widmo likwidacji: nie wykonywało planów, nie wierciło metrów. Przy tych niespotykanych dotąd w Polsce głębokościach mieli ogromne trudności. W Warszawie mówiono: „Rozwiązać – z tą kadrą i tym sprzętem nie da się robić!". Ale miejscowy dyrektor uważał, że bardziej winni są ludzie niż sprzęt. „Wasz dyrektor powiedział, że raczej jemu warkocz wyrośnie na ręce, niż wy dowiercicie się do miedzi!" – powiedział wiceminister Czachórski, do którego lubińscy wiertacze z Franiem Malińskim udali się w delegacji. „Co wy na to?". Dopiero jak zaczęli opowiadać – że kolumny kombinują ze zwykłych rur, że żerdzi nie ma, przewodu, płuczki, koronek, a aparaty do głębokich wierceń się nie nadają – wiceminister zmiękł.

Ponieważ sprawa miedzi jest pilna – był już rok 1958 – a trudno nowe przedsiębiorstwo powoływać, dostaniecie dodatkowo 2,5 miliona złotych.

Wrócili z triumfem i popatrywali na dyrektora zwycięsko. W marcu 1959 roku jeden otwór, w kwietniu drugi, dotarł do miedzi. Nawet w Święta Wielkanocne się wierciło – ludzie z rzeszowskiego miesiącami nie widzieli żon ani dzieci. Nawet pracownicy dyrekcji w te święta przyszli im pomagać, i to tak dziarsko, że omal Malińskiemu wieży nie zwalili. Za to inny kierownik, Strzałkowski, wymyślił usprawnienie: żeby wieżę z otworu na otwór przewozić w całości. Wszystko poszłoby dobrze, gdyby Polkowice nie były ciasną mieścinką i nieskładną. Wieża zaklinowała się na zakręcie i zatamowała na cały dzień ruch na trasie Zielona Góra – Wrocław... Ale były pomysły dobre, trafne. Zaczęli przekraczać plany. Po dwóch pierwszych otworach poszły „18", „16", „26", „35"... Wyciągano rdzeń i oczy robiły się dumne i radosne. Chalkozyn, bornit, chalkopiryt... Najpiękniej okruszcowany był chalkozyn.

Nim posypała się okruszcowana ruda miedziana z odwiertów, dyrektor z Legnicy zaczął mieć pretensje do przedstawiciela inwestora, czyli do Marchewskiego. „Inwestor tak rządzi, że kto wie, czy do mego gabinetu nie wstawi wkrótce biurka!" – zaperzał się. Potem miał pretensje, że Mirek za dużo jeździ służbowymi samochodami legnickiego przedsiębiorstwa, ale w momencie, gdy dowiedział się, że Mirek kupił Syrenkę na raty, argument

mu odpadł. Animozja wynikła po prostu z tego, że Mirka wszyscy lubili, poważali i najchętniej ze wszystkimi sprawami gnali do niego, na facjatkę, w sławnym budynku Raszki. Na facjatce od czasu do czasu coś „dychnęli", jak w ich języku nazywało się wychylenie kielicha – ale nie aż w formacie 6 × 9, który oznaczał wychylenie większej liczby kielichów. Więc dyrektor z Legnicy postanowił uderzyć w to ogniwo: kazał pisać „oświadczenia" na Mirka. Poglądy swoje definiował bardzo często: „Kobiecie trzeba zrobić dziecko, żeby do domu przywiązać. Butów nie kupić, żeby się jej chodzić nie chciało. A na pracownika trzeba mieć argumenty, żeby nie podskakiwał". Więc zbierał te „argumenty", przez innych nazywane donosami, na piśmie. Był ktoś u Mirka – wezwał. „Był pan u Marchewskiego, mnie się nawet zdaje, że pan wczoraj pił z Marchewskim. Niech pan napisze oświadczenie, że Marchewski kazał sobie wódkę postawić!". Ale odpowiedź była jeszcze fikuśniejsza: „Pan może żądać ode mnie pracy, ale nie pisania oświadczeń".

Wreszcie pewien ważny towarzysz wezwał obu: Marchewskiego oraz rzeczonego dyrektora i powiedział: „Albo się pogodzicie, to znaczy albo się pan z Marchewskim pogodzi, albo obaj odejdziecie". Więc dyrektor się pogodził, ale wkrótce odszedł z Legnicy i tak.

Jego prześladowania wobec Kosiny doprowadziły jednak wcześniej do tragicznego finału.

VI

Kosina mieszkał z Malińskim w willi u Nojmanów w Lubinie, dokąd od „Matysiaków" wracali w skarpetkach, aby pani Nojmanowej nie obudzić, bo była to kobieta bardzo sroga. Rankiem nie lubił wstawać wcześnie, a gdy mu Maliński, nawykły do wydawania rozkazów, kilkakrotnie budzik nakręcał, utopił dzwoniący przedmiot w słoiku z miodem. Maliński miał obejście przywódcy – jak na byłego oficera i partyzanta przystało – przy czym miał skłonność do zadumy. Pogrążony w zadumie nie słyszał, co się do niego mówi, i mały Kosina wówczas lubił go targać za rękaw, a Maliński tego nie znosił. Wyszli raz od „Matysiaków", gdzie popili rodzinnie w formacie 6 × 9, i Kosina trach Malińskiego za rękaw od koszuli – tak, że mu rękaw urwał. A Maliński łap małego i przez mostek do rzeczki Zimnicy wrzucił. Potem wyciągnął i zaniósł do domu. Rankiem Kosina powiada: „Mam korzonki nerwowe przeziębione i łupie mnie w krzyżu". W Malińskim sumienie się odezwało i powiada: „W rzeczce kołki były i się uderzyłeś". Kosina nic nie pamiętał ze zdarzeń ubiegłego wieczora, a jak mu pan Franio opowiedział, to wściekł się i, stwierdziwszy: „Ty jesteś bandyta", zamilkł na dłuższy czas. Potem, rzecz prosta, się przeprosili.

Mniej więcej w tym czasie niedoszły prawnik Kosina został samodzielnym kierownikiem odwiertu: „Śmieją się ze mnie, że jestem uczony – ale ja wam pokażę jeszcze". Naznosił

literatury fachowej całe sterty i wieczorami, zamiast chodzić do „Matysiaków", czytał. Jako pierwszy zaczął stosować obciążniki, czyli ciężarki, które wpływały na to, że odwiert się nie krzywił. Potrafił siedzieć przy odwiercie tydzień dniami i nocami. Dawniej Franio Maliński powiadał: „Dr Kildare, ten jeden jest dobry na tylu lekarzy, a u nas nawet tego jednego dobrego nie ma". Teraz nic nie mówił, tylko popatrywał na Kosinę zagrzebanego w książkach.

Mirek na dłuższy czas stracił z oczu Kosinę. Jeździli po terenie, adaptowali stodoły na składy rdzeni, zakładali centralną płuczkownię, żeby płuczkę rozwozić beczkowozami, zamiast przy każdym odwiercie robić na miejscu. Gdy w nocy wynikała jakaś awaria, był szoferem: siadał na wóz ciężarowy stojący na podwórku, ładował „lewy" przewód i gnał na zagrożony odwiert. Został też inspektorem nadzoru budowlanego, nie mając pojęcia o budownictwie. Ktoś przecież musiał nadzorować budowę pierwszych bloków mieszkalnych w Lubinie. Dyrekcja kopalni przeniosła się do baraku na skrzyżowaniu ulic Skłodowskiej-Curie i Kościuszki, a Tobolski wreszcie zaczął rezydować na miejscu.

Kosina latem wygotował sobie piękny domek campingowy i postanowił w nim na stałe zamieszkać przy odwiercie. Uważał bowiem, że pod jego nieobecność personel mu osiągnięcia niweczy. „Ja odwierciłem, wyinstrumentowałem, a takie syny zagwoździły!" – powiadał i Mirek to powiedzonko dokładnie zapamiętał. Albo też mawiał:

„Ja wam pokażę, jak ma wyglądać otwór!". Przed kolorowym domkiem klomby urządził, kwiatki posadził, mchy i paprocie. Gdy przyjechali kontrolerzy z Urzędu Górniczego, byli zachwyceni. Ale tuż po kontroli Kosina spostrzegł, że jakiś świntuch pośrodku klombu napaskudził.

Aliści ów dyrektor z Legnicy, którego zwali „jedynowładcą" albo gorzej, nakrył kiedyś Kosinę na nieobecności w pracy, gdy wyszedł właśnie Kosina po kilku dniach pracy – zarośnięty – po jakiś prowiant. Zaczęło się śledztwo, dochodzenia z tytułu dyscypliny pracy, przesłuchania. Postanowiono – to znaczy jedynowładca legnicki postanowił – Kosinę zwolnić. Mały Tadek zniknął. Dopiero po kilku dniach, gdy weszli w las, zobaczyli go. Wisiał.

Najstarsze chłopy, brzuchate i cyniczne, przyklękły i płakały. W gruncie rzeczy wszyscy kumple od „Matysiaków" kochali go jak własne dziecko. „Żeby tego skur... dyrektora pokarało!" – wygrażali. Dyrektor właśnie po tym wypadku się przeniósł.

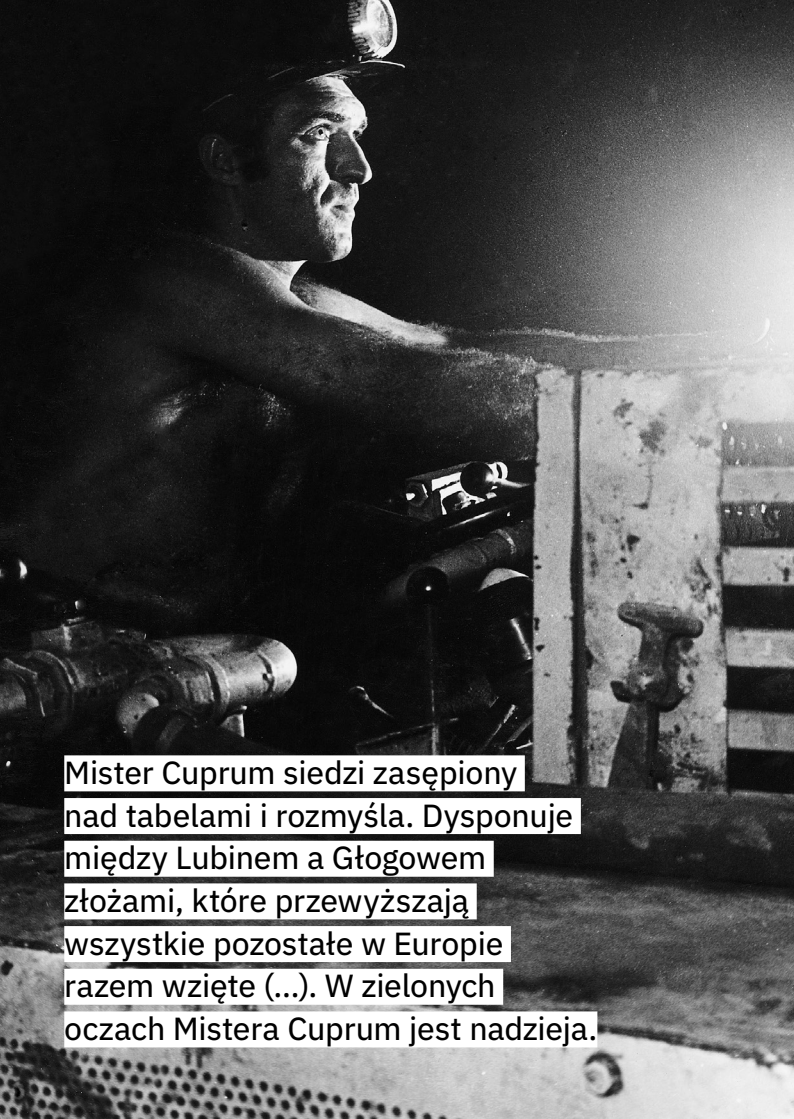
To była pierwsza śmierć na polskiej miedzi.

VII

Życie szło naprzód. Ruszył więc w teren „wóz Drzymały" uruchomiony przez nowego wiceprezesa GS w Lubinie, Wiktora Macyszyna, który na pytanie o swój życiorys odpowiada: „A, to trzeba by książkę napisać!" i – co

gorsza – ma rację. Urodził się gdzieś pod Buczaczem, we wsi Petlikowce Stare, gdzie okupację przeżył pod grozą ukraińskich band. Musieli uciekać z domu i chronić się w Rzeszowskiem. Wreszcie wpadł w łapance i zabrali go na roboty do Niemiec. Uciekł z transportu, ukrywał się, spotkał się z Armią Radziecką, został ranny. Nawzajem z bratem mieli się za nieżyjących. Znowu rannego przewieźli do szpitala w Tarnopolu w rodzinne strony. Matka zabrała go do domu – po drodze napadła na nich banderowska banda, mimo że była już władza radziecka. Drugi napad bandy – matka umarła skatowana przez bandytów. W czasie pogrzebu strzelano jeszcze w kierunku cmentarza. W urzędzie repatriacyjnym załatwili formalności i pojechali do Polski. W Ząbkowicach Śląskich po wielu perypetiach osiadł na stałe, uczył się i pracował jako inspektor Przysposobienia Rolniczego. Ożenił się, zdał maturę, założył rodzinę, został wiceprezesem PZGS. Pierwszy raz zrobili go pełnomocnikiem zaprowiantowania budowy w Turoszowie. Więc gdy z Lubinem zaczęły się kłopoty, władze odnalazły Macyszyna: „Pójdziesz, chłopie, na miedź".

Macyszyn wygotował piękny drewniany pawilon, który ochrzczono „Domem Towarowym" i otwarto z wielką pompą na Barbórkę 1959 roku. Przyjęcie było na ratuszu, wokół którego rosły już nowe bloki. „Postawił się Macyszyn!" – powiadali o nim. Ale przed nim już dwóch wiceprezesów siedziało w dziurze, więc Macyszyn na dalsze prezesowanie się nie nastawiał, tylko zawarł



Mister Cuprum siedzi zasępiony nad tabelami i rozmyśla. Dysponuje między Lubinem a Głogowem złożami, które przewyższają wszystkie pozostałe w Europie razem wzięte (...). W zielonych oczach Mistera Cuprum jest nadzieja.

przymierze z tymi od miedzi. W Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń, które się wówczas organizowało, było zaledwie siedmiu pracowników, gdy ówczesny dyrektor Głowicki zaangażował go na etat kierownika administracyjno-gospodarczego. Przypadły mu w udziale wszystkie prace – od organizacji hoteli robotniczych w pawilonach dawnego szpitala dla umysłowo chorych w Lubinie po zaopatrzenie i organizację transportu. Był rok 1960.

W 1961 roku dokonał swego czynu heroicznego. Zaczęto właśnie drążyć szyb L-III, na którym nocą wydarzyła się awaria. Macyszyn, jako prawa ręka dyrektora, miał stale do dyspozycji samochód i czuwał zawsze „na telefonie". Więc nocą dzwoni dyrektor Głowicki: „Prezesie (zawsze go tak tytułował), musi być za parę godzin trzy tony szkła wodnego" – powiedział. Myśleli wówczas, że wypływ wody do szybu podczas tej pierwszej awarii uda się tym szkłem zatamować. „Skąd?". Dyrektor obdzwonił wszystkich znajomych – nikt nie miał. Macyszyn wsiada w samochód i jedzie do Legnicy: „Jeżeli to ma decydować o losie szybu, wyrwę szkło spod ziemi". W Centrali Technicznej dowiaduje się od portiera, że szkło wodne jest – w beczkach. Trzeba ustalić, gdzie kto mieszka. Więc na milicję. Ale oficer dyżurny nie chce z nim rozmawiać. Komendant jest w kinie, więc Macyszyn do kina i wzywa przez megafon komendanta. Używszy argumentów nierzeczowych, tylko imienia wiceministra Czachórskiego, wskórał aż tyle, że

komendant wysłał pogotowie milicyjne po magazynierów do domów. W dwie i pół godziny przy szybie było szkło wodne. Zużyli tego coś pół tony tylko – nie pomogło. Macyszyn gotował herbatę, pytał, czy chcą koniaku. A byli wszyscy nad tym szybem – dyrektor i wiceminister Czachórski – ale powiedzieli, że nie. Więc dyskretnie dolał koniaku do herbaty. „Wódki, prezesie, nie wolno pić w pracy!" – pogroził mu dyrektor. „To nie wódka, tylko koniak" – odparł przytomnie Macyszyn.

Potem po godzinach pracy uczył się w technikum górniczym, które chyba rok temu skończył. Jest technikiem normowania w Przedsiębiorstwie Budowy Kopalń, robi chronometraże i inne badania. Jeżeli na poszczególne operacje wyznacza tyle czasu, co na przywiezienie szkła wodnego z Legnicy sobie wyznaczył, to drżyjcie narody!

VIII

Ile już czasu minęło, odkąd Mirek opuścił pokoik na facjatce u miłośnika Egipcjanek, który przeniósł się na lubiński cmentarz zaraz po wyprowadzeniu się geologa? Opustoszała więc baza u Raszki. Byłem tam, by obejrzeć egzotyczne Egipcjanki. Przyjęły mnie nienaganną polszczyzną. Mówił dobrze po polsku i Raszka vel Raschke, a także jego kumpel Marek, autochton, który był przed wojną pielęgniarzem w szpitalu wariatów.

Marek wyjechał jednak do starszych dzieci w NRF, gdy umarł Raszka. Córka Marka wyszła za mąż za niejakiego Kostkę, który przyjechał zza Buga, i już sama mówi śpiewnym lwowskim akcentem!

Mirek Marchewski przeprowadził się więc do nowego bloku przy ulicy Głębokiej, tuż obok Rynku. W podwórku garaż mu przydzielili dla sfatygowanej Syreny. Był to już rok 1963 albo nawet 1964. Ale gdy rodzina państwa Marchewskich się powiększyła – decyzja o tym zapadła w kawiarni w Wołowie, po spacerze z narzeczoną (ślub w Karpaczu wraz z weselem, w FWP wynajęto na ten cel całą willę) – trzeba było się starać o nieco większe lokum niż pana Mirkowa super, co prawda, ale tylko garsoniera. Więc przenieśli się do punktowca w Rynku, tuż koło gotyckiej fary. Lubin jest teraz dwudziestotysięcznym miastem, w 1980 roku ma liczyć trzy razy tyle ludności. Ale tempo przyrostu jest szybsze, niż to zaplanowano, i już teraz wiadomo, że te 60 tysięcy będzie o pięć lat wcześniej.

Pod Lubinem stoją już wieże kopalni miedzi, która za parę miesięcy przystąpi do eksploatacji. No tak, to już koniec „dzikiego kotowania"! Chociaż Mirek ma jeszcze w szafie pancernej – teraz już innej – siatkę nowych wierceń. Złoże jest wielkie, bogate i rozległe – nie śniło się nikomu, że takie będzie. I te pierwiastki towarzyszące – kobalt, nikiel, baryt i dużo srebra. Mirek rozmawiał z odkrywcą miedzi, doktorem Wyżykowskim.

„Wspomnicie moje słowa – powiedział Wyżykowski – ale za jakieś 10 lat tutaj będą podawać na srebrnych półmiskach i w srebrnych naczyniach!". Mirek śmiał się pełen nadziei.

Więc będzie jeździć jeszcze swoją nienową już – bo używaną kupił – Skodą Octavią koloru bananowego po dalszych, zaodrzańskich polach, gdzie miedź zalega jeszcze głębiej i trudniej się będzie do niej dostać – ale warto. Sprzęt z każdym rokiem nowocześniejszy, metody doskonalsze. No, praktykę kilku lat „dzikiego kotowania" mamy za sobą. Te badania geologiczne, które prowadzimy teraz, po 10 latach, możemy już spokojnie nazwać „oswojonym kotowaniem".

Marchewski, od lat radny Powiatowej Rady Narodowej, ciągle się irytuje na projekty. Złości się, że Polkowice rozbudowują – co uważa za nonsens. Lepiej zbudować górnikom małe domki z ogródkami, gdzie mogliby hodować pomidory i gołębie. Trzeba górnikowi ułatwić kontakt z przyrodą, a nie pakować do bloków!

Wszyscy patrzą na Mirka i powiadają, że takie są zatwierdzone plany rozbudowy zagłębia, a Mirek – że plany, jeżeli są nieżyciowe, trzeba zmienić. Odwagi cywilnej nigdy nie zatracił i, co trzeba, w oczy wyrąbie. Nie zawsze na tym dobrze wychodzi, bo nie są to czasy szczególnie korzystne dla ludzi z cywilną odwagą. Ale charakter ma i to chyba ważne. Mają do niego zaufanie. Najlepszy dowód, że wybrali go sekretarzem Komitetu Zakładowego Partii przy kombinacie.

Patrzy, jak przyjmują do kombinatu nowych inżynierów, jak ich kokietują, obiecują cuda i dają wysokie gaże, aby skaperować. Przypomina sobie wówczas pokoik na facjatce u Raszki i myśli: „Dlaczego mnie nie chcą kaperować?".

No tak, skończyło się „dzikie kotowanie".

08

SIEDMIU WSPANIAŁYCH

Miasteczko, w którym kilka lat temu gęsi skubały trawę na rynku, jest oświetlone tak rzęsiście, że znajdziesz szpilkę na asfaltowym bruku. Nad ziemią oszklone pawilony i nowoczesne punktowce. Pod ziemią ruda miedzi, kilkaset metrów głęboko. Drogę do niej zagradza piekląca się gdzieś w głębi woda.

Idę na ukos przez błyszczący rynek do kawiarni Ratuszowa – nie aby podziwiać naprawdę piękną architekturę, choć o tej porze nadzwyczaj przewiewną, ale by spotkać się z pierwszym ze swojej siódemki. Nie wiem jeszcze, jak zacznie się owa opowieść, ale wiem, że jej początek ma konkretną datę: 11 czerwca 1962 roku. Wtedy rozpoczęto głębienie szybu oznaczonego wstępnie kryptonimem L-2, czyli szybu skipowego kopalni „Lubin".

A więc proszę, rzecz zaczyna się jak w prawdziwym westernie: od saloonu. Barman jest jak zwykle chytrooki, dziewczyny przy stolikach wyczekujące. Tutaj nic się nie będzie działo, cała akcja moich siedmiu wspaniałych zamknie się w opowieści. I ta akcja będzie się toczyć przeważnie na głębokości kilkuset metrów pod ziemią. A zatem będzie to pierwszy „podziemny" western.

Ci, co przyjechali tutaj, nie byli poszukiwaczami złota. Nie byli ludźmi „znikąd", jak wymaga tego reguła westernu. Nie wszyscy przyjeżdżali, aby wyjechać, ale

jak w westernie: jedni po to, żeby zarobić grosz, drudzy – aby solidnie pracować. I ten mój dziwny western nie będzie polegał na walce szlachetnej jednostki z przewrotną bandą rabującą uczciwych farmerów, ale na walce ludzi z przewrotnym demonem. Więc może będzie to raczej coś w stylu Hitchcocka, jakaś historia kryminalna, może à la Belphegor? Skądże znowu.

Idąc do Ratuszowej, minąłem wielką szklaną gondolę kiosku z kwiatami. Wisiały tam wielkie wieńce. Przypomniało mi się 14 pogrzebów – śmierć zawsze pochłaniała śmiałych, którzy chcieli wydrzeć ziemi jakąś tajemnicę. Koszt tej sprawy – wielkiej sprawy. Cena miedzi na rynkach świata wzrasta, cena węgla spada. Wartość zasobów polskiej miedzi przewyższa wartość całego węglowego zagłębia. O tym mówi się coraz powszechniej.

Książę lubiński Ludwik, persona nienajważniejsza wśród Piastów śląskich, czułby się lepiej pośród kuzynów i braci. Tymczasem siedzi sobie na fasadzie zamku brzeskiego, co prawda, z wypielęgnowaną brodą, na ogół dobrze odżywiony i w pulchniutkiej jak jego piastowska buzia mitrze książęcej, ale przyciśnięty do kąta przez jakiegoś Henryka. No bo czymże wówczas był Lubin i jakiś „dux lubensis" w porównaniu z księciem legnickim czy brzeskim? A teraz?

Ba, nie tylko rzecz w tym, ile warte są zasoby miedzi, którym towarzyszą cenne pierwiastki jak nikiel czy srebro, ale przede wszystkim – czy uda się nam je wydobyć.

I dlatego sprawa wydaje mi się dla polskiego przemysłu arcyważna, a rok 1966 w tej całej historii polskiej miedzi najważniejszy.

*

Ale zaczynajmy akcję. Saloon lubiński, pary na parkiecie, dziewczyny z importu, bo miejscowych deficyt. W kącie wieje od wielkiej szyby. Szczupły inżynier. Pierwszy z siedmiu. Magister inżynier Jan Ulrich:

„Czasem w życiu człowiek chce bardzo dużo, ale życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Czasem z przyczyn przez samego siebie niezawinionych całkiem inaczej kształtuje się los. Chociaż, jak powiadają, nie ma winy bez przyczyny. Muszę panu odpowiedzieć na pytanie, panie redaktorze. Nie wierzę w pecha.

Studia skończyłem na krakowskiej AGH w 1957 roku i od razu poszedłem na «Lubichów», jedną z rozbudowujących się podówczas kopalń miedzi starego zagłębia, koło Bolesławca. Ale to był rok 1957 – rok odkrycia wielkiej miedzi. Właściwie przesiedziałem tam do 1959 roku. Syn mi się w Bolesławcu urodził. Kilka miesięcy przesiedziałem w Warszawie przy projektowaniu nowych kopalń. W roku 1960 byłem już w Lubinie i... zaczęło się. Teraz to sprawy proste, wiadomo – im dalszy szyb, tym lepiej szedł. Wykorzystywało się doświadczenia z poprzednich. Ale ja tutaj musiałem stanąć na trawniku i wszystko zaczynać od zdejmowania humusu, a przede mną jeszcze tych kilkaset metrów w dół.

Ów pierwszy szyb to był L-3 – szyb pilotowy, który miał nam rozpoznać warunki geologiczne w praktycznym drążeniu górotworu. I właściwie muszę powiedzieć, że poszedł mi bardzo szczęśliwie. No oczywista, były niespodzianki. Na głębokości 170 metrów powiadomiono mnie, że szyb przytapia. Z dołu, ze spągu, trysnął wulkan wody. Jeszcze wtedy nie miałem kompleksu telefonu. Bo później – mogła dzwonić nawet sąsiadka – dzwonek telefonu wzbudzał we mnie przykre uczucia. Wydawało mi się, że znowu na szybie dzieje się coś niedobrego. Ale to było jeszcze na L-3, który dla uczczenia pierwszego dyrektora, Bolesława Sztukowskiego, nosi dzisiaj miano «Bolesław».

Więc kiedy zadzwonili o tym wulkanie wody na 170 metrze, myślałem, że stało się coś wielkiego. Ale to jeszcze nie było to, co czekało nas później. Po prostu wskutek intensywnego mrożenia płaszcza ochronnego (wielka lodówka wokół szybu, aby uchronić strefę drążenia od wpływów wody) zaczęły się niezwykle od dołu rozszerzać mokre warstwy, coś jak puchnięcie w kształcie gruszek, które mają się zetknąć tuż pod dnem szybu. Wysadzają wszystko do góry. Potem, gdy telefonowano do mnie z następnego już szybu – bo później drążyłem szyby wschodnie na kopalni «Polkowice» – że dno szybu wyniosło ludzi i sprzęt o jeden metr w górę (sprzęt waży coś 180 ton, bagatela), to wiedziałem już, że to mrożeniowe grusze. Ale wtedy, na L-3, przychodziły na myśl od razu wszystkie metody zapobiegania wodzie. Korek

betonowy na dno, cementacja wyprzedzająca... Cwaniaków nie było – kto wiedział, jak robić? Wielka miedź czekała, trzeba było się spieszyć. Nikt nie wiedział, że przyjdzie jeszcze wielka woda!

Na głębokości 247 metrów przy odkrytym odcinku (nie stosowaliśmy jeszcze wtedy pierścieni tubingowych ani betonowania ścian szybu) z górotworu zamrożonego do minus 7 stopni zaczęła swobodnie wypływać woda. Właściwie były to wypływy przerywane. Zjechałem w kuble na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje. Gdzieś w głębi górotworu rozlegały się co 30 sekund jakieś przerażające trzaski. Człowiek boi się w tych momentach o ludzi, ale co tu gadać – wiezie na dół swój własny strach. A tu patrzą wszyscy na ocios, na ścianę szybu, za którą gada nieznany demon, i myślą: «Tam ciśnie, może się wybrzuszy, może pęknie, może za chwilę nas zmiażdży?». Wszyscy tak myślą, ale nikt nie powie słowa. Coś niedobrego działo się z płaszczem mrożeniowym. Ale wolałem zawsze być na dole, bo widziałem na własne oczy, co się dzieje, i mogłem od razu wydawać dyspozycje. Wtedy wypływ ustał sam po pewnym czasie. Jakaś utajona woda dostała się w okolicę rur mrożeniowych.

W rezultacie szybem «Bolesław» doszedłem do miedzi pierwszy. Był rok 1963. Dostałem Złoty Krzyż Zasługi. No i na nową placówkę – już na kopalnię «Polkowice».

Ale skoro umówił się pan z Kromołowskim, to na razie przerwiemy naszą rozmowę".

*

Jadę na kopalnię. Biuro kierownictwa szybów „Lubin Główny" mieści się prowizorycznie w łaźni. Rury, zasuwy i niklowane kurki pokaźnych rozmiarów stanowią jakby symbol, że ludzie tu siedzący mają wiele wspólnego z wodą. Niewysoki, ale silny mężczyzna ze szramami na twarzy odkłada laseczkę sztygara:

„Tak, redaktorze. Właściwie dostałem się tutaj za sprawą Ulricha. W roku 1956 ukończyłem wydział górniczy na krakowskiej AGH. Specjalizacja: rudy i sole. Pognało mnie na węgiel. Urwałem się z kopalni «Jerzy» – szukałem rzeczy ciekawszych niż rudy żelaza. Poszedłem do Przedsiębiorstwa Budowy Szybów. To była kopalnia «Szczygłowice». Zbudowałem 3 szyby od trawnika do pokładu. Kariera: od sztygara oddziałowego do kierownika głębienia szybu. Trwało to od 1957 do 1960 roku. Przyjechałem wreszcie do Lubina, ale na parę dni – odwiedzić kolegę, Jasia Ulricha. Od tego czasu zaczęły się pertraktacje. Przedsiębiorstwo nie chciało się najpierw zgodzić, wreszcie ustąpili.

Trzy miesiące wypowiedzenia odrobiłem i w roku 1961 byłem już w Lubinie. Dyrekcja jeszcze wtedy mieściła się w baraku na Kościuszki. Budowano osiedle awaryjne. Poszedłem na szyby główne kopalni «Lubin» jako zawiadowca. L-1 miał coś 40 metrów, zaczynał głębić inżynier Lengas. Dwójkę sam zaczynałem. Była odwiercona płyta, robiono otwory mrożeniowe. Mrożenie uruchomiło się

jesienią 1962 roku. Są, proszę pana, wariaci, którzy sami szukają sobie roboty nielekkiej. Jak w tym powiedzeniu: tak to jest, że niektórych ludzi lubi robota, a niektórych pieniądze. Ja należę do tych pierwszych. Na jedynce głębienie szło szybko, dobrze szło. W tym okresie były możliwości dostania mieszkania na osiedlu awaryjnym. Dostałem więc «zaliczkowo» 2 pokoje z kuchnią. Jako kawaler.

Ale w kwietniu 1962 roku – żegnaj semper wolny stan! Ślubu udzielono w lubińskim ratuszu, wesele w mieszkaniu. Nie było jeszcze wewnątrz mebli, zresztą przeszkadzałyby. Tylko jakaś szafa i stół, wypożyczone z przedsiębiorstwa. Było ze 20 osób: Ulrich, Lengas, Czarciński...

Było potem trochę spokoju, urządziłem się w mieszkaniu w Lubinie. Przygotowywałem Jawę. Mieliśmy z żoną jechać na urlop na Mazury. Był lipiec 1962 roku. Na jedynce dojechaliśmy do 313 metrów. Nad ranem, była może 3–4 godzina, dzwoni Markowski: «Przyjeżdżaj, kryzys. Szyb się topi». Przysłali mikrobus, pognałem na kopalnię. Sztygar był przytomny, na czas wycofał ludzi z dołu, obeszło się bez nieszczęśliwego wypadku. Ciśnienie wdzierającej się do szybu kurzawki: około 30 atmosfer. Okazało się, że pękły rury płaszcza mrożeniowego, z rur wylewała się solanka i rozmrażała górotwór. Trzeba było regenerować otwory mrożeniowe...

Ale najwięcej kłopotów było na L-2, na skipowym. Tędy miało iść w przyszłości na powierzchnię całe

wydobycie kopalni «Lubin». Cóż z tego, że szyb pilotowy dojdzie do złoża, że zaczną tam już budować dworce podziemne i chodniki? Bez szybu skipowego kopalnia nie ruszy. A potem to już było tak, że wyprzedziły nas «Polkowice». Mieli więcej doświadczeń, bo uczyli się na naszych klęskach, mieli wreszcie lżejsze warunki geologiczne. Nie było potopu biblijnego. Stosowali podwójny płaszcz mrożeniowy. I automatyczne czujniki mieli pozakładane na różnych punktach szybu, które informowały o temperaturze i wilgotności. Ale nie o to chodzi.

Na L-2 były wypływy wody na głębokości 100 metrów i 170 metrów. Może trochę ukołysał nas fakt, że L-3, czyli «Bolesław», przeszedł stosunkowo gracko. Nie spodziewaliśmy się, żeby górotwór chciał nam wypłatać jakiegoś nowego figla. Dlaczego tu miałoby być pod względem geologicznym inaczej niż na L-17!

Poniżej 400 metrów – kiedy wyszło się ze strefy chronionej przez płaszcz mrożeniowy, gdzie nie powinno już być wody – spotykało się same niespodzianki. Raz wytrysnęła woda przez szczelinę pikotażową, między segmentami pierścienia tubingowego. Szczelina miała 3 cm szerokości i długości około 30 cm. Wdarła się kurzawka ze straszną siłą do szybu, strumień wody przeciął jak nożem liny prowadnicze, których średnica wynosiła 31 mm.

19 czerwca 1964 roku szyb L-2 zatopiło na dobre i miała to być najdłużej trwająca awaria. W tym czasie jechałem samochodem z kolegą, miałem kraksę. Stąd te szramy na

twarzy. Leżałem miesiąc w szpitalu. Na szyby główne przyszedł jako zawiadowca Jasio Ulrich. Zostałem nadsztygarem objazdowym".

*

W tym miejscu powinienem właściwie wrócić do Ulricha, aby dokończyć jego opowieść. Ale tu miejsce, aby powiedzieć o trzecim „wspaniałym" – młodszym górniku Stanisławie Kowalu (nazwisko zmieniłem na specjalne życzenie delikwenta). Bystry chłopiec, osiadły w Lubinie z rodziną. Powiada:

„Tego dnia, tuż przed awarią, zjechał na dół pan sztygar Głowacki. A my paliliśmy papierosy, na dole zaś palić nie wolno. Sygnalista dał nam znać (bo byliśmy umówieni), że jedzie pan Głowacki. Więc papierosy pochowaliśmy. «Czemu nie idzie ta robota?» – krzyknął, aż echo poleciało do góry. «To są górnicy? To są fajtłapy!». A jeden z naszych odpowiedział: «Taki ze mnie górnik jak z pana sztygar. Pan powinien na strusie polować». I sztygar wtedy wyjechał na górę. Pracowaliśmy przy pikrowaniu. To znaczy tak nazywają, kiedy młotem pneumatycznym kuje się skałę na spągu. Wtedy gorący żwir się z tego robi i pryska na twarz i piecze. Zwróciłem się do przodowego, że noga mi w jednym miejscu wpada i że miękko. Z tego miejsca potem zaczęła woda płynąć. Po kilku minutach było już 30 cm wody na dnie szybu, po 10 minutach do 1 metra już dochodziło. Zalało szyb. Ale nie wtedy przeżyłem



Zasoby należące do Mistera Cuprum oglądane są przez wszystkich pożądliwym okiem. Do niedawna nie było ich na mapie gospodarczej świata. Więcej wiedziano o polskim złocie niż o polskiej miedzi.



największy strach, chociaż zanim wyjechaliśmy na pomost, było w szybie już ze 20 metrów wody.

Jeszcze wtedy szło głębienie szybu. Zakładaliśmy obudowę tymczasową, gdy u góry rozległ się przerażający łoskot. Po chwili poleciała na nas z góry brudna woda, zachlapała nam twarze. Przytuliliśmy się do ociosów i ponieważ nie było drabiny, wszyscy zaczęli się drapać po żebrach obudowy w górę. Jedni ściągali drugich, żeby zrobić sobie miejsce do ucieczki. Myśli przeróżne, a przede wszystkim jedna: złamało szyb u góry, odcięło nas już na zawsze, nigdy już z tej czeluści nie wydobędziemy się. Przypomniałem sobie żonę, dzieci, co oni zrobią. To są sekundy, kiedy serce człowiekowi podchodzi do gardła. Ktoś pierwszy odetchnął i powiedział: «Na pewno coś z rurociągami nie w porządku». Sprawdzili, rzeczywiście pękły tylko rurociągi.

I jak 1 maja szliśmy przez rynek – trybuna była pod ratuszem – to ci z Polkowic wołali: «Niech żyją ci, co szyby zalewają!», a dzieci krzyczały: «Niech żyją!» i machały chorągiewkami, i biły brawo, a nas o mało szlag nie trafił. Bo o tych z Polkowic gazety pisały, oni premie brali – a my nic. Jakby nas nie było.

Aż wreszcie przyszła radość szybiku".

*

Tak to pięknie powiedział młodszy górnik Staszek Kowal, który pasjami czyta książki i powiada, że sam to wszystko, co na szybie przeżył, szczegółowo opisze, bo pamięć ma

świetną i notatki zrobione w pamiętniku. Lecz historia z szybikiem to dalsza sprawa. Trzeba wrócić do Ulricha, o którym powiadają, że jest pechowy. A jak przylgnie do człowieka jakaś etykietka – nie odkleisz. Spokojny, rzeczowy Ulrich siedzący w kawiarni Ratuszowa jest przecież tym samym Ulrichem, który głębił przeklęte zawodnione szyby główne kopalni „Lubin". Robi znakomite wrażenie, budzi sympatię i zyskuje zaufanie. A jednak...

Oto dalszy ciąg opowieści Ulricha:

„Posłali mnie na szyby główne z Polkowic. Na czas usuwania awarii. Kromołowski żałować nie miał czego. Jakichś specjalnych smaków tam nie było. Założyliśmy korek podwodny, żeby zdławić wypływ wody, i prowadziliśmy cementację wyprzedzającą. Rok impasu miał imię 1965. Na czterech szybach staliśmy z korkami nad tą wodą, w sumie na owe cztery szyby ujechaliśmy 130 metrów bieżących za cały rok. W Polkowicach ujechali ponad 2 tysiące metrów bieżących.

Prowadziłem na L-2 akcję odtapiania. Odtopiliśmy. Okazało się, że jeszcze mamy wypływ wody spod nieszczelnego korka. Przyjechali z węgla koledzy. Pokazywaliśmy, jak był zatopiony szyb – lustro ustabilizowało się na głębokości 90 metrów od powierzchni ziemi. Wypływ 4,5 kubika wody na minutę. Potem, gdy doszliśmy do korka, przepuszczało jeszcze około 2 kubików wody na minutę. Trzeba było nakładać drugi, szczelniejszy korek. Potem prowadzić cementację wyprzedzającą.

Wypadki? Nie będę mówił o nieszczęśliwych wypadkach, redaktorze. Wszędzie zdarzają się. Rachunek prawdopodobieństwa. Było ich kilka, istotnie. Ludzie ginęli wskutek własnej nieuwagi, z różnych przyczyn. Ale opowiem panu o własnym: jechałem swoją Octavią z żoną i synem z Wrocławia. Pod Środą Śląską na zakręcie mnie wzięło i postawiło na dachu. Poślizg. W tym miejscu było już kilkanaście wypadków i wygrałbym nawet proces z Zarządem Dróg Publicznych. Złamałem obojczyk. Potem szpital. Nie miałem siły. Wielki ciężar trzeba jakoś rozłożyć. Największy rozdzielić na kilku ludzi...".

*

Zdziwiło mnie podobieństwo losów Kromołowskiego i Ulricha. Na szyby główne kopalni „Lubin" przyszedł nowy zawiadowca. A raczej tylko go mianowano. Był na miejscu: dotychczasowy kierownik szybu L-2, mgr inż. Andrzej Ulbrych, także absolwent krakowskiej AGH, posiada dyplom z roku 1958. Już za Ulricha przejechali ostatecznie tę cholerną strefę zawodnioną – w marcu 1966 roku. Wahania i pytania „Co będzie z miedzią?" stały się nieaktualne. Wiadomo, będzie miedź. Olbrzymi trud tych ludzi i surowe niejednokrotnie sądy o ich pracy dziwiły mnie. Nigdy jeszcze w Polsce nikt nie prowadził tak trudnych robót górniczych. Skąd mieli się nauczyć? Jeżeli ostatecznie przeszli przez ten wściekle pieniący się wodą górotwór, to ich rzecz, ich sukcesy, nie klęski.

Szyb L-2 pochłonął 2,5 tysiąca ton cementu. Wciąż mówiło się: „Słabe wyniki cementacji". Telefonowano z Warszawy: „Trzeba będzie stosować odcinkowe mrożenie szybu". To oznaczało cofnięcie się o rok, zaprzepaszczenie dotychczasowych wysiłków, bo przecież na dobrą sprawę można było zadecydować o mrożeniu poniżej 400 metrów wcześniej, ale to było kwestią pieniędzy i straty czasu. Nie chcieli się poddać tej ostateczności. Kierownik ruchu kopalni „Lubin", inżynier Wawnikiewicz, odpowiedział wówczas „strzałem na strzał". „Mam rewelacyjną metodę – powiedział. – Spróbujemy zagrożony odcinek przejść zwężonym przekrojem". No i tak powstała koncepcja szybiku: zamiast 7 metrów średnicy szybu – głębić średnicą 3,5 metra. Zaczęli 28 marca 1966 roku z poziomu 450 metrów kruszyć betonowy korek. Emocja, napięcie, poruszenie w mieście, rozmowy w autobusie: „Przejdą czy nie przejdą?".

Wawnikiewicz powiada dzisiaj, że to był chwyt psychologiczny z owym węższym przekrojem – żeby odwagi wszystkim starczyło. System pomp zainstalowanych przez głównego mechanika, inżyniera Czarcińskiego, gwarantował uporanie się z przepływem wody do dwóch kubików na minutę. W czasie przechodzenia zagrożonej strefy były wypływy maksymalne do 1400 litrów. Zabezpieczenie okazało się wystarczające.

„Górnik nigdy nie wie, co kryje się w ziemi. Nie ma do tego żadnych aparatów. Nie wie, jak zareaguje górotwór, bo go nie zna. Dlatego zawsze ma wielki szacunek dla nieznanych sił

przyrody" – powiada Wawnikiewicz, też absolwent krakowskiej AGH, autor znakomitego pomysłu.

„Przyczyną było niedokładne rozpoznanie geologiczne w rejonie szybów głównych i zachodnich kopalni «Lubin»" – powiada dzisiaj dyrektor Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń, Włodzimierz Grodzicki, który tu przyszedł z budowy Rybnickiego Okręgu Węglowego. Zawsze bowiem Rzeczpospolita wysyłała Grodzickich na najtrudniejsze odcinki, że wspomnę tu twierdzę Kudak z XVII wieku...

*

Grodzicki ratował miedź i uratował. Ma 38 lat i skronie przyprószone siwizną. Ulrich ma 35 lat i jest zupełnie siwy. Kromołowski siwiejący, wiek ten sam prawie. Ulbrych siwieje. Młodszy górnik Kowal ma siwe włosy, ale jak powiada: „Niedługo będę łysy, bo żona mi siwe włosy wyrywa". Dwaj ostatni z szeregu siedmiu wspaniałych – Wawnikiewicz i Czarciński – nie ulegli siwiźnie.

Ale cóż, w prawdziwym westernie pod tytułem „Siedmiu wspaniałych" Yul Brynner miał wielce oryginalną fryzurę...

09

LUBIN
DA SIĘ LUBIĆ

W hotelu Kosmos pali się świeczka i można dostać tylko polędwicę. Płomień świeczki chybocze, bowiem Kosmos, jak większość budowli supernowoczesnych, niedostosowany jest do naszego klimatu i wskutek tego dość przewiewny. Barmanka osłania co chwilę płomyczek ręką i, wydając polędwicę, narzeka, że ruchu nie ma.

Przeniosę się do Głogowa. Jedna restauracja z dancingiem. Rano już u kelnerek zamawiają stoliki. I nie za darmo.

W najmłodszym polskim Klondike, w metropolii zbudowanej dla potężnego Mistera Cuprum, są trzy knajpy dancingowe i multum kawiarń. Ktoś widocznie sądził, że miedziowi górnicy, podobnie jak niegdyś poszukiwacze złota, cały wolny czas przepędzać będą w saloonach, pić gorzałkę i tańczyć. I że do atmosfery prawdziwego westernu zabraknie tylko dwóch złotych Coltów.

Wysoki stołek przy barze w Kosmosie ktoś obdarł ze skóry – widocznie za to, że uprzednio obdarto ze skóry samego delikwenta. Wczoraj snuły się straszliwe indywidua po dancingu, mogły się dziać, wnioskując z fizjonomii, rzeczy najstraszliwsze. Wobec damy, która pobierała opłaty przy wejściu, najoryginalniejsze modelki Toulouse-Lautreca stają się lirycznymi sawantkami. Przejściem z restauracji do hotelu usiłowały wedrzeć się damy

określonego autoramentu. Dzięki skomplikowanemu systemowi luster z recepcji widać wchodzących. Wchodzący recepcjonistek nie widzą. Aliści recepcjonistki musiały toczyć walki z owym autoramentem – nie tyle cudzoziemskim, ile z Legnicy przybyłym.

Ranek, na dworze robi się szaro. Wokół hotelu Kosmos morze błota, bowiem otoczenie nie zostało jeszcze zagospodarowane. Ów widok przymarzniętych kolein w glinie i rudery dworca kolejowego, naprędce modernizowanej, podnosi walory komfortowego i tak przybytku noclegowo-rozrywkowego. W każdym niemal pokoju łazienka, telefon i ta sama reprodukcja Gauguina lub van Gogha.

Wychodzę z Kosmosu. Późny zimowy ranek rozświetla to miasto, które eksplodowało w ciągu ostatnich właściwie pięciu lat – czyli wszechwładny Pan Miedź zażądał sobie stolicy w Lubinie. Miał ostatecznie do tego prawo.

Gdy wyburzano narożną kamienicę na Rynku, od strony poczty – na miejscu jej stoi teraz piękny przeszklony blok, na dole sklep meblowy i księgarnia – trzeba było rozwalić obmurowany sejf. Z sejfu wyleciały na lubiński bruk dwie niepozorne książeczki. Wiatr rozwiewał ich kartki i słońce błyskało na ich złocistej powierzchni. Nie bardzo komu chciało się po nie schylić.

Ruch był już wtedy wielki, kręciły się samochody-wywrotki, wzdłuż ulic jeździły sobie bezceremonialnie wysokie na kilkadziesiąt metrów żurawie budowlane. Jeden się nawet wywrócił z operatorem Szewczykiem

i wszyscy byli zajęci tym dziwnym faktem, że Szewczyk zleciał z takiej wysokości, trzymając się pazurami swojej kabiny, i włos mu z głowy nie spadł.

Bo cóż to było za miasto – kilka domów wokół rynku, ulica Odrodzenia z rynku do dworca, z drugiej strony droga Wrocław–Głogów, z której rzadko jaki samochód dawniej wtaczał się na wyboisty bruk rynku w Lubinie, rzadko kiedy z szoferki gramolił się kierowca, żeby łyknąć piwa w gospodzie i posłuchać uderzeń ratuszowego zegara. Dopiero wtedy – gdy gospoda zmieniła się w pełną dumy restaurację Miedzianka, gdy Wiktor Macyszyn otwierał z hukiem szampańskich korków nowy dom towarowy w drewnianych budach dla nowego Klondike, gdy stary Gomulicki zaczął chorować, bo nikt już nie chciał słuchać jego bohaterskich opowieści spod Tobruku i Ankony ani o tym, jakie to są włoskie dziewczęta z Castelfidardo i San Severino, gdy u Nojmanów cały dom wynajęli ci od miedzi, gdy Rasała, który był pionierem, dostał zaszczytne stanowisko portiera w hotelu robotniczym – dopiero wtedy było wiadome, że Lubin zostanie miastem, o którym usłyszy cała Polska.

Aż wreszcie schylił się ktoś i powiedział głośno: „Wezmę, dam dzieciom do zabawy". Był to ktoś z murarzy. Po kilku tygodniach zgłosił się do niego jakiś bogato ubrany facet. „Przyjechałem aż z Łodzi. Słyszałem, że pan znalazł takie książeczki ze złotymi kartkami. Wypadły z sejfu, który został rozbity...". Wyłożył na stół grube tysiące

złotych – po 10 tysięcy za jedną. Drugą książeczkę gdzieś dzieciaki zagubiły. Murarz latał jak oszalały, aż wreszcie przyniósł. Nieznajomy wytłumaczył: „To jest złoto 18-karatowe w cienkich listkach, do napisów na nagrobki".

W gruncie rzeczy cały ten zamierający Lubin nigdy nie przypuszczał, że może kiedyś mieć wyzłocony nagrobek. Miejscowość była tak biedna i opuszczona, że trudno ją było nazywać miastem. Nikt nawet nie przypuszczał, że w zakamarkach starego sejfu kryją się dwie książeczki ze złotem w listkach. Ale też nikt nie przypuszczał, że Lubin leży na przeogromnych złożach miedzi. Ale gdy dr Wyżykowski, najbardziej uparty z upartych poszukiwaczy, doszedł do niej po latach rozgrzebywania i dziurawienia Dolnego Śląska, Lubin mógł sobie pozwolić na luksus wyrzucenia nawet dwóch książeczek złota na bruk. Nie były potrzebne, bo Lubin nie miał już ochoty stawiać sobie nawet wyzłoconego nagrobka.

Miasto rozpoczęło karierę, jaka nie ma chyba precedensu w Polsce ani w Europie ostatnich lat dziesięciu.

Lubin nie miał szczęścia przez całe wieki. Trudno wprawdzie uznać za dopust boży sam fakt narodzin miasta, które miało miejsce za Bolesława Wysokiego, wnuka Krzywoustego. Ten właśnie Bolesław w 1170 roku postanowił wznieść zamek warowny – jak podają kroniki – na gruntach wsi Małomiedze.

Jest to zapewne fakt równie doniosły jak ten, że w maju 1945 roku pojawili się tu panowie Czupiński, Rasała

i Biały w towarzystwie głównego pełnomocnika na okręg siódmy, czyli tymczasowego starosty lubińskiego, który ponoć się nazywał Garncarczyk. Zastali miłe opuszczone miasteczko, w świeżej wiosennej zieleni, po którym chodzili sobie samopas obłąkani z miejscowego szpitala psychiatrycznego. Ekipa pionierska, która przybyła ciężarówką pozbawioną hamulca i klaksonu, ale za to wyposażoną w wiktuały (2 metry soli, 2 metry cukru, kartofle) oraz walutę (czyli 100 litrów wódki, bo w tym czasie gorzałka była obowiązującym ekwiwalentem przy wszelkich wymianach, zwanych dotychczas umownie handlem), zakwaterowała się w niepozornym domu przy ulicy Odrodzenia i zaczęła przygotowywać Lubin do przyjęcia osadników ze wschodu... Rasała, który z kieleckiej wsi wyemigrował na Zachód, zaczął wreszcie pobierać pensję: 6 litrów wódki na miesiąc. Gdy dostał pierwszy raz gotówkę – świeżo wydrukowane złote – zwitek banknotów ulokował pod łóżkiem i zapomniał. Aż przyjechała żona i znalazła: „To ty tak grosz szanujesz?!"

W roku 1319 Lubin otrzymał od księcia Jana Ścinawskiego prawa miejskie. W kilka lat później osiedla się tutaj książę Ludwik I – nie bardzo z własnej woli, tylko przez krewnych i braci „wyrolowany" srodze przy podziale ojcowizny. Chcąc nie chcąc, doprowadza Lubin do tak zwanego rozkwitu: funduje kaplicę zamkową, szkołę parafialną, sprowadza uczonych mnichów. Pewien mnich, przepisując jakowyś łaciński kodeks, a będąc już

srodze utrudzony, dodał pod koniec kilka słów: „Myla Laszko, infunde mihi potum", czyli: „Miła Laszko (niektórzy odczytują: Maszko), nalej mi miodu"[14]. Są to jedne z pierwszych słów zapisanych po polsku, i to w czasach, kiedy monarchowie bywali analfabetami... A z zapisu mnicha w Lubinie wynika niedwuznacznie, iż dziewka musiała być wyjątkowo piękna, skoro trafiła na karty kodeksu, tudzież miód polski, też niepodły, skoro uczony mnich w swoim dziele polską mową się zdecydował jedno i drugie uczcić.

W 1945 roku przyjechał jeszcze Nojman z Krzemieńca, gdzie góra królowej Bony i Słowacki. Ale Nojman trafił na wieś i został pierwszym sołtysem w Jakubowie.

„Tę pierwszą wiosnę pamiętam i będę pamiętał. Koni nie było i krów też nie było. Do orki nam pożyczyli traktor, ale potem zabrali sobie do powiatu. No i zabronować nie było jak, a tu strach – wiatr zboże zasiane zwieje, wróble wydziobią, myszy zjedzą... I tak dzień mija, wszyscy myślą, co robić. I po południu, jak słońce zelżało, pojawiły się pierwsze brony – ciągnięte przez dzieci... Pod wieczór na

14 Janusz Roszko być może opiera tę opowieść na uniwersalnej formule średniowiecznych skrybów: „Explicit hoc totum, pro Christo da mihi potum" (koniec tego wszystkiego, w imię Chrystusa daj mi pić) lub na jej świeckiej wersji popularnej w Europie Zachodniej: „...et ty, mila divecka, infunde mihi potum". Ta ostatnia wersja w języku makaronowym pojawia się w dawnych czeskich manuskryptach.

wszystkich już polach jeździły brony ciągnięte przez dzieci i dorosłych. Co miałem robić, jak reagować jako sołtys? Sam się do brony zaprzągłem..." – opowiada Nojman.

No, kariera sołtysa i jego wspomnienia to byłby osobny rozdział. Bandy chodziły, rabowały. Podejrzane indywidua zajmowały się handlem – w dzień sprzedawano, nocą pod groźbą pistoletu odbierano. Różnie w tych ciężkich czasach bywało.

Pokazują sobie jeszcze dziś w odpisach sprawozdania sołtysa z miejscowości N. z roku 1945:

Chałup – 82
Chłopów – 12
Babów – 15
Dzieciów szkolnych naszych – 7
Francuzów – 1
Szwajcarów – 3
Miemieckich rodzin – 46
Miemczotek się urodziło – 2
Zamazano napisów – 1
Podpalono stodołę – 1
Razem – 170

„Inne żyjące stworzenia spiszę za dwa dni" – zapewniał sołtys.

Nielepiej sprawował się starosta, który żył dobrze z radzieckim komendantem. Pięknie mówił i naściągał

do gabinetu góry klamotów – antyki, fortepian, lampy z wymyślnymi kolorowymi abażurami, kryształy. Wyglądało to jak buduar kokoty. Ale wkrótce znikły klamoty ze starostą. Pożyczoną od komendanta radzieckiego ciężarówką Garncarczyk pojechał w niewiadomym kierunku i więcej już nie powrócił.

*

No cóż, egzystencja miasta nie opierała się na staroście. Uruchamiano fabrykę lutniczą – najpierw zaczęto od naprawy starych pianin i fortepianów w dawnych warsztatach pana Gadebuscha, gdzie w czasie wojny zbijano skrzynki do amunicji. Szukano ciągle fachowców, pisano do Warszawy i Poznania, a tymczasem przyszło zamówienie na meble do 3 gabinetów ministerialnych. Zrobili. W 1949 roku doczekali się dwóch lutników z Poznania. Wówczas zrobili 16 sztuk skrzypiec. Teraz robią 7 tysięcy gitar, które idą na eksport do wszystkich niemal krajów Europy, nawet do Azji i do USA. Lubin ma największą fabrykę lutniczą w Europie po Leningradzie!

Fabryka zagospodarowała ulicę Odrodzenia, w czynie społecznym przebudowała ruderę na kino Polonia i tyle. Niewiele to pomogło. Gdy Nojman awansował na burmistrza, a było to z początkiem lat pięćdziesiątych, przyjechała ekipa z Warszawy, aby rozbierać tutejsze bruki i do stolicy wywozić. „Nic już z tego Lubina nie będzie. Siły miastotwórczej nie macie..." – powiedzieli magicy.

Nojman nie chciał wierzyć w te siły miastotwórcze i pojechał z Rasałą do Warszawy się kłócić. Trafili aż do ministerstwa, gdzie ich wysłuchano. Bruk Lubina został przez burmistrza Nojmana uratowany.

Stolica polskiej miedzi nie chce mieć kocich bruków. Zalewa je asfaltem.

*

Lubin nie miał szczęścia do historii, ale miał szczęście do miedzi. W roku 1423 książęta Ruprecht i Ludwik przyznali miastu prawo bicia własnej monety. A więc bito tu miedziaki – ani chybi. Różne są później dzieje miasta: tu toczy się spór linii Piastów lubińskich o sukcesję legnicką, tutaj przyjaciel Lutra, Kaspar Schwenkfeld, głosi swoją naukę, po których to heretyckich sjestach kilkakrotnie nawracają zarazy, pochłaniając rekordowe ilości ofiar. Po zarazach przechodzą różne wojska, łupiąc i gwałcąc, przez sto lat z górą, po czym kroniki odnotowują, że miasto znowu ma 1985 mieszkańców (rok 1748). W 1813 roku był tu car Aleksander w towarzystwie generała Kutuzowa, w dwa lata później przejeżdżał znowu przez miasto w towarzystwie księcia Wołkońskiego i hrabiego Yorck von Wartenburg, owacyjnie witany i żegnany. Zupełnie niezależnie od owacji w 50 lat później Lubin doczekał się dworca kolei żelaznej i gazowni, natomiast w roku 1896 powstała fabryka pianin.

Nojman kierował do niedawna Zakładem Gospodarki Komunalnej i budował ów sławny dziś hotel Kosmos,



Mister Cuprum pełen jest optymizmu. Wyliczył ostatnio, że złoża, którymi dysponuje – w przeliczeniu na czystą miedź – stawiają Polskę na drugim lub trzecim miejscu w świecie.

w którym urocza recepcjonistka, absolwentka liceum hotelarskiego z Legnicy, córka jednego ze speców z fabryki lutniczej (ergo: miała kilka lat, gdy przybyła do Lubina), czyta Konwickiego „Sennik współczesny".

Czupiński był kilka lat chyba starostą lubińskim. Potem rzucił funkcję, skończył studia prawnicze zaocznie i pracuje w Legnicy jako notariusz. On jeszcze wówczas nie wiedział o miedzi, kiedy zaczął trudem własnym modelować swój dalszy los, swoją karierę. Rozmawiałem z nim – na razie nie myśli o wiązaniu swoich losów z miedzianymi losami, chociaż miał propozycję. Rasała, dziadek na emeryturze, siedzi sobie w hotelu robotniczym i rządzi. Znalazłem go dzięki inżynierowi Czachowskiemu, Nowosądeczaninowi, potomkowi sławnego powstańca Czachowskiego z 1863 roku, który był autentycznym krewnym Chopina (siostry Krzyżanowskie wyszły za mąż – jedna za ojca Fryderyka, druga za ojca Czachowskiego). A potomek powstańca prowadzi roboty górnicze przy wierceniu szybu kopalni „Polkowice" pod Lubinem. Pokolenia tej samej rodziny wychodzą zawsze na pierwszą linię. Koleje losu polskiego... Inżynier Czachowski ma jedną wielką słabość, która niestety nie jest narodową słabością: kocha poezję i czyta. I drugą, bardzo polską: zbiera znaczki, które w walizkach wozi ze sobą z budowy na budowę, gdzie go los rzuci. Przedtem budował kopalnie na Śląsku w ROW...

*

Ratuszowy zegar wydzwania godziny. Restauracja Ratuszowa należy do najpiękniejszych architektonicznie w kraju. Wokół rynku same nowoczesne bloki. Były co prawda dwie zabytkowe kamieniczki, którymi chwalił się stary Lubin na pocztówkach PTTK, ale w zapale odnowy zostały zburzone. Podobno nie opłacało się ich remontować. Zostawiono jedną większą. Mniejsze burzyć, większe zostawić – to też jakiś klucz przy klasyfikacji konserwatorskiej, tyle że – na szczęście – dość rzadko stosowany.

Ale co tu wiele mówić. To była kariera szalona, to była po prostu urbanistyczna eksplozja. We wszystkie strony od rynku powędrowały sztafety nowych bloków. Z początku przeskakiwało się przez wykopy, jeździło się samochodami jak w labiryncie – bo większość ulic była zamknięta z powodu budowy.

Dziś jeszcze trwa budowa, ale centrum jest już gotowe – wieczorem oświetlone tak, że szpilkę można znaleźć na bruku. Wieczorami po kawiarniach i restauracjach nie spotkasz ludzi w górniczych mundurach. To miasto zagospodarowuje się w sposób poważny, jego mieszkańcy byle jak nie wyrzucają grosza. Przewodniczący PPRN powiedział mi, że ciągle mają kłopoty z zaopatrzeniem w wyroby przemysłowe. Stały problem urządzania się nowych rodzin w Lubinie. Czego brakuje? Największe zapotrzebowanie na samochody, nie można nastarczyć talonów. Były na Barbórkę jako premie,

ale można je policzyć na palcach jednej ręki. A poza tym – dziwne może, bo w innych regionach Polski jest inaczej – brakuje telewizorów, pralek, lodówek. Oczywiście tych najlepszych, najatrakcyjniejszych, bo byle czego w tym Lubinie nie kupią. „A jeszcze w 1960 roku był zastój w handlu – powiada przewodniczący. Spokojny rolniczy powiat, 42 ludzi na 1 hektar, gleby najgorszej kategorii. Kto i co miał kupować? Cała ludność powiatu 33 tysiące mieszkańców. A teraz z rolnictwa w powiecie już prawie 1000 ludzi przeszło do pracy w miedzi".

Miasto żyje z miedzi i żyje miedzią. Gdy trwały kłopoty z głębieniem szybów przez warstwy zawodnione, gdy woda wdzierała się, nie pozwalała głębić dalej – nie mówiono o czym innym w autobusie, w kawiarni, w domu przy brydżu, w sklepie. Gdy udało się przejść niebezpieczny odcinek, wszędzie opowiadano sobie, że udało się, cieszono się i gratulowano sobie. Ostatecznie od kopalń miedzi zależy ich egzystencja. Te dwie kopalnie, które się budują: „Lubin" i „Polkowice", każda za skromną sumę sześciu miliardów złotych, mają mieszkańców tego nowego miasta żywić i ubierać.

Gdy zalewało szyby na kopalni „Lubin", martwiono się nie tylko o przyszłość, ale i o dzień dzisiejszy. Ci z „Lubina" bowiem nie dostawali premii, bo nie wykonywali planu głębienia, nie robili „metrów" – jak tu się mówi. Jak zwykle w takich ośrodkach życie zależne jest od tego, kto daje pieniądze, czyli od przemysłu.

Dyrektor Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń w Lubinie, Grodzicki, powiada, że zarobki górników kształtują się przeciętnie w granicach 3,5–4 tysiące złotych. A zdarzają się też zarobki 8–9 tysięcy złotych, a przy szybkościowym głębieniu szybu niektórzy dochodzą do 12 tysięcy. Ale najlepszymi samochodami w tym mieście nie jeżdżą górnicy ani inżynierowie górnicy, tylko lekarze. Co prawda, narzekają, że teraz wszyscy ubezpieczeni i dawniej z tą ludnością rolniczą było lepiej, ale jeżdżą jeszcze Fiatami 1300 i Volkswagenami 1500, które każą uznawać za resztki dawnej świetności... Zresztą jeden z nich jest tak świetnym operatorem w skali województwa, że nie ma mu co zazdrościć. Ten haruje tak jak górnicy przy szybach.

Grodzicki przeprowadził swoje szyby przez zawodnione warstwy górotworu, ale to nie znaczy, że skończyły się jego kłopoty. Lubin potrzebuje wciąż nowych ludzi. Powiadają, że gdyby przez 3 lata wszystkich absolwentów wydziałów górniczych z Krakowa i Gliwic skierować do Lubina, to i tak potrzeby na kadrę inżynieryjno-techniczną jeszcze nie zostałyby zaspokojone. Ba, a tu trzeba im dać jeszcze mieszkania. Tymczasem Lubińsko-Legnickie Przedsiębiorstwo Budowlane obejmuje nazwą dwa, a w istocie coś siedem powiatów. Obiecuje wykonać w tej pięciolatce 11 tysięcy izb mieszkalnych, a potrzeba, skromnie licząc, 18 tysięcy. Zatrudnienie na miedzi we wszystkich przedsiębiorstwach wynosi w tej chwili 8,5 tysiąca ludzi – w roku 1970 wzrośnie do 22 tysięcy. Tak więc trwają

narady – na tak zwanych różnych szczeblach – w sprawie złagodzenia deficytu mieszkaniowego w Lubinie.

Niemniej jednak trzeba zdać sobie sprawę ze zjawiska, któremu na imię: wyrównanie. Na wyrównanie czekają z przejęciem kibice przegrywających drużyn, na wyrównanie dnia z nocą się nie czeka, bo wtedy wcześnie jest ciemno, na wyrównanie szans z groźnym przeciwnikiem ciągle w głębi ducha się liczy, o czym przekonują nas enuncjacje sportowych menedżerów.

Tymczasem doczekaliśmy się wyrównania na skalę krajową – ludności miast i wsi. Punkt wyrównujący uzyskał Lubin. Urodził się tutaj Zbyszek Ugielski, syn jednego z tych, którzy przyszli na wielką miedź. Nowy wielki ośrodek przemysłowy, jakim jest zagłębie miedziowe, wprowadził równowagę między ludnością miejską i wiejską. W przyszłości pewnie przeważy szalę na korzyść tej pierwszej.

W innej dziedzinie Lubin dopiero dąży do wyrównania: w konkurencji z przemysłem węglowym. Ale to już ma – jak powiadał Kubuś Fatalista – w górze zapisane.

10

HENRYK II SIENKIEWICZ

Sens sprawy wplątany jest w przestrzeń między pełnym wdzięku gestem księżniczki Karoliny, ostatniej z rodu Piastów, a podniebnym warkotem silnika samolotu Gawron pilotowanego przez liczącego lat trzydzieści pięć inżyniera górnika. Ten warkot słychać w legnickiej kaplicy Piastów i trzęsą się szyby w oknach, ale lekkość, gracja i swoboda alabastrowej księżniczki nie doznaje żadnego szwanku. Zaklęta w pięknej pozie przez rzeźbiarza – pod koniec wieku XVII – wsłuchuje się w czas współczesny, bowiem rzeźbiarz prócz uśmiechu wypisał jej na twarzy ciekawość. Przypuszczam, że tamta księżniczka, też Piastówna z Legnicy, którą opiekował się Korzbok-Zaydlicz – kuzynka pięknej Karoliny – była do niej podobna.

Bowiem aby wydobyć w pełni sens sprawy, muszę dodać jeszcze, że pod Legnicą stoi zamek otoczony fosą, ozdobiony herbami, ale od brzęczenia Gawrona przelatującego górą nie drgnie w nim ani jedna szyba, bo ich po prostu nie ma. Wiatr tylko wyniesie kawałki oderwanych tapet ze ścian reprezentacyjnej komnaty, w której lubił przebywać pan von Zedlitz, opiekun księżniczki Anny Marii, córki Piasta Henryka XI legnickiego. Von Zedlitz zbudował zamek w Eichholz w roku 1602 – przy czym nie mogę wyjaśnić, czy był to zakamieniały

Niemczura, czy też zgermanizowany na poły Polak, jak można by po pewnych symptomach przypuszczać.

Tak samo trudno ustalić, czy biograf księcia Henryka XI, Hans von Schweinichen, nie był po prostu polskim Janem Świnką!

Henryk to była postać naprawdę godna biografii. Objął rządy, mając lat 20. Sprzymierzył się z francuskim księciem Kondeuszem i werbował dla niego oddziały wojskowe. Zabiegał o polską koronę. W Lublinie w roku 1569 podpisuje unię polsko-litewską – jeżeli jego postaci zabrakło na obrazie Matejki, to poważne niedopatrzenie. Zygmuntowi Augustowi przywiózł wówczas wspaniałe prezenty, a wśród nich dwa żywe lwy. Po ucieczce Henryka Walezego postawił swoją kandydaturę na elekcji, ale zyskał tylko 3 głosy... Cesarz odsunął Henryka od tronu, a księstwo oddał młodszemu Fryderykowi, który w dodatku odmówił bratu wszelkich pieniężnych zasiłków. Henryk więc siłą zaczął najeżdżać swoje dawne miasta i zabierać dochody książęce. Tak najechał Chojnów, później zajął zamek Grodziec i sprzedawał nagromadzone zapasy zboża, sprzedawał drzewo z lasów i ryby ze stawów.

W roku 1580 znów Henryk XI jest na legnickim tronie, ale skargi na to, że książę utrzymuje kontakty z Polską, stale idą do cesarza. Zostaje uwięziony. Podczas zarazy upija strażników i ucieka z więzienia na dwór swego przyjaciela, marszałka koronnego Opalińskiego. Henryk XI znajduje się w poselstwie polskim, które jedzie do Szwecji

powiadomić Zygmunta o jego wyborze na króla Polski. Chodzą plotki, że Iwan Groźny chce w Henryku widzieć swego zięcia... Książę umiera nagle w Krakowie 3 marca 1588 roku – w wieku zaledwie 49 lat. Długo mówi się w mieście, że otruli go habsburscy agenci...

Córka Henryka XI, Anna Maria, miała już lat ponad 20 – na opiekuna wyznaczony był jeden z książęcych przyjaciół, Korzbok-Zaydlicz. „Heimatbuch der beiden Liegnitzer Kreise" nie wspomina o żadnym Korzboku-Zaydliczu, ale o von Zedlitzu, który się opiekował jakąś tam księżniczką... Jest jednak jeszcze argument na to, że rodzina Zedlitz miała coś z Polską wspólnego. Konfederację dysydentów, którą zawiązano 20 marca 1767 roku pod laską Goltza, podpisało aż dziewięciu przedstawicieli szlachty pruskiej o nazwisku Zaydlicz, niektórzy z przydatkiem „Korzbok". Koło ich podpisów widnieją nazwiska Twardowskich, Rozbickich, Unrugów, Bronikowskich i... tuż przed Zygmuntem Korzbokiem-Zaydliczem podpisali się dwaj panowie Gutkowscy – Jan i Fryderyk – co dla późniejszej historii mieć może pewne znaczenie.

Zamek w miejscowości Eichholz, co się tłumaczy na polski „Dąbrowa", znajduje się dziś w miejscowości o nazwie Warmątowice – co mogą podobno wytłumaczyć najmniejsze rybki polskiego językoznawstwa, które się repolonizacją nazw na Ziemiach Zachodnich kiedyś zajmowały. Otóż zamek przechodził różne koleje. Swój dzisiejszy wygląd zawdzięcza państwu von Seherr-Thoss,

którzy go tak w 1748 roku wystroili. W tym czasie nie ma tu już Zaydliczów vel Zedlitzów. Najważniejszym faktem z dotychczas opisanych jest nabycie Warmątowic wraz z sąsiednim Kojszkowem od księżny Fanny Biron von Kurland 1 lipca 1812 roku przez Ludwika Serafina Olszewskiego. Polskie nazwisko nowego dziedzica nie budzi wątpliwości – aczkolwiek musi budzić zastanowienie, jak doszedł do takiej fortuny.

Jego ojciec – pochodzący najprawdopodobniej z drobnej szlachty mazowieckiej, herbu Ślepowron – zaciągnął się do służby pruskiej, gdzie cesarz Fryderyk chętnie widział utalentowanych do wojaczki polskich oficerów. Dosłużył się stopnia rotmistrza i po zakończeniu wojny siedmioletniej osiadł jako urzędnik – inspektor celno-akcyzowy – w Jaworze. Było to już po roku 1763, kiedy to ostatecznie cały Śląsk dostał się pod władanie Hohenzollernów. Rotmistrz Olszewski – dwojga imion: Ludwik Wilhelm, urodzony w roku 1728, ożeniony z Marią Borkowską (szlachta z Mazowsza, herbu Junosza, która wyemigrowała na zachód, między innymi posiadała majątek Liniec w powiecie Żary) – żył prawie 100 lat. Jako były oficer pruski stanął pewną stopą na zdobytej przez Prusy od Austriaków ziemi. Cała ironia, że to Polak staje na prapolskiej ziemi, poddany zabiegom germanizacji. Wszyscy trzej synowie rotmistrza i inspektora akcyzy z Jawora włożyli pruski mundur, dostali szlify oficerskie i Niemki za żony, raczej niebudzące wątpliwości, mające nazwiska:

Teufel von Zeilenberg, Barze, von Schweinitz. Ta ostatnia to baronówna, z którą ożenił się najstarszy syn, porucznik Ludwik Serafin. W roku 1807 rodzi się pierwszy syn baronówny. Przetacza się przez Europę napoleońska burza. Nie wiem, czy Ludwik Serafin, porucznik pruski, był dzielny i czy otrzymał ordery i medale za waleczność. Nie wiem, czy na rok przed narodzeniem swego pierwszego syna stawał w bojach pod Jeną i Auerstedt, gdzie pruskie wojska poniosły klęskę w starciu z francuskim bogiem wojny. A może zaimponował mu i olśnił go geniusz Napoleona – może wstąpił do Wielkiej Armii, na czele której mały kapral uderzył na Rosję?

Wprawdzie uderzenie nastąpiło jeszcze w czerwcu, ale Ludwik Serafin może ruszał później i przed odjazdem stał się nagle ziemianinem: właścicielem zamku i 400 hektarów ziemi z okładem? Średni to majątek ziemski, ale – mimo iż w czasach wojennych – przecież nie za darmo kupiony. Zastanawiałem się, czy aby nasz porucznik nie pognał za Napoleonem – bowiem pan Müller-Loebnitz, autor relacji „Die Schlacht an der Katzbach", zauważa tylko starego ojca, który z Jawora, nie zważając na piekło bitwy, przedziera się do Warmątowic, do synowej. Wiele ryzykuje – dlaczego? Omalże tej wyprawy nie przypłacił życiem. Osiemdziesięciopięcioletniego starca zatrzymali kawalerzyści rosyjscy. Na szczęście został od razu rozpoznany przez pruskich oficerów i następnego dnia był już w Warmątowicach. Autor relacji tytułuje go „pułkownikiem

i właścicielem majątku w Warmątowicach". Zastał dwór rozgrabiony i zniszczony, na pokojach rezydował sztab z Blücherem na czele, późniejszym autorem zwycięstwa pod Waterloo. Gdyby syn był wiernym poddanym Prus, wojska koalicji nie zniszczyłyby jego dworu. Starzec podaje się więc sam za właściciela i staje przed Blücherem, żądając odszkodowania za zniszczenie, którego „wódz sprzymierzonych armii nie mógł natychmiast zapłacić". Udało mu się jednak resztkę dobytku uratować.

Wojska francuskie pod wodzą Macdonalda biorą w skórę nad rzeką Kaczawą. Właściciele folwarku niedaleko od zamku w Warmątowicach stawiają pamiątkowy obelisk, na którym dziś można jeszcze odczytać słowa „Schlacht an der Katzbach". W wypełnionej wodą fosie wokół pałacu można łowić liny i karasie, jeżeli haczyk uprzednio nie zaplącze się na dobre w wodorostach. Ale liny nie nadają się do jedzenia – tuczarnia świń nie tylko daje o sobie znać w powietrzu, ale zatruwa wodę w fosie. Na drzwiach pałacu tabliczka, że obiekt zabytkowy i pod opieką Ministerstwa Kultury – ale tabliczki niczego nie zabezpieczą. Stróż, który pilnuje zamku z ramienia PGR, Stanisław Wijas, przybysz z Kieleckiego, powiada z przekąsem, że jak budynek był potrzebny na biuro, to dach łatali, ale teraz to już nie łatają. Więc ściany się wkrótce – rozmyte w spojeniach przez wilgoć – zaczną sypać. Pokoje zrujnowane, jeden piec ocalał na 30 izb. Kustosz legnickiego muzeum, magister Tadeusz Gumiński, były referendarz

Urzędu Wojewódzkiego w Łucku, entuzjasta historii i zabytków w Legnicy, a także twórca legnickiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, biada – jak Jonasz wyciągnięty z brzucha wieloryba – że nawet obchodzony przez 2 lata „rok sienkiewiczowski" nie pomógł Warmątowicom... „Bo niech pan sobie wyobrazi, że w 1813 roku przechodzili tamtędy polscy szwoleżerowie, ci spod Somosierry...". W nienajprzyjemniejszych okolicznościach, mając na karku zwycięskiego Blüchera, ale przechodzili.

Blücher najpierw przyczynia się do wygranej pod Lipskiem – co tak fatalnie odbiło się na karierze Józefa Poniatowskiego, który pospieszył oddać Bogu honor Polaków – potem walczył dzielnie w ostatniej fazie bitwy pod Waterloo. Małego kaprala wywieziono na św. Helenę, przyszły lata tańcującego wiedeńskiego kongresu... Ludwik Serafin się odnajduje, jest deputowanym z powiatu legnickiego, zajmuje więc pośród tutejszego ziemiaństwa pozycję niepoślednią. Już po tańcującym kongresie w roku 1819 przychodzi na świat w Warmątowicach drugi syn, który otrzymuje korowód następujących imion: Artur Gwidon Oskar Serafin. Ponieważ zmarł starszy brat – on staje się dziedzicem. Oskar, który dosłużył się jak ojciec tylko stopnia porucznika w wojsku pruskim, ożeniony jest dwukrotnie – najpierw z Bianką Raymond, później z Jadwigą Uttenhof. Ten Oskar Olszewski, syn baronówny von Schweinitz, prawdopodobnie zatracił resztki rodowej polskiej tradycji i zgermanizował się doszczętnie.



Jest to po prostu dżentelmen,
który zna swoją wartość.
I wszyscy znają jego wartość:
około 700 dolarów za tonę
czystego kruszcu.



Jego syn, Alfred Olszewski, też porucznik armii pruskiej, obejmuje majątek po śmierci ojca w roku 1900. Osiem lat wcześniej ożenił się z baronówną Gabrielą von Zedlitz und Neukirch! Stare herby nad bramą – herby podpisane przez familię Korzbok-Zaydliczów w epoce kwitnącego baroku – nabrały nowego sensu. Oto zamek w Warmątowicach zbudowany przez Zedlitzów (polska tradycja tej familii zaginęła, sądzę, wcześniej) będzie związany z Olszewskimi również związkami krwi! Proces germanizacyjny Olszewskich, zda się, był już dokonany absolutnie i nieodwracalnie.

I wówczas na arenę małych dziejów późniejszego miedzianego kraju wychodzi Henryk Sienkiewicz. Zacny pan Alfred wraz z żoną baronówną Zedlitz (Zaydlicz) jednako nie mówią już ani słowa po polsku! Więc tylko niemieckie książki zapełniają bibliotekę dworu w Warmątowicach i francuskie zapewne, jak to po dworach bywało, ale zaiste z całą pewnością powiedzieć się nie da, bo w Warmątowicach tylko puste – nawet bez tapet – ściany zostały. Pomyłka władz pruskich, które zdecydowały się tłumaczyć utwory Henryka Sienkiewicza, w odniesieniu do Alfreda Olszewskiego i jemu podobnych zgermanizowanych Polaków okazała się fatalna: lektura Sienkiewicza dla tych ludzi była jak topór na krzyżackie gardła. W roku 1888 ukazało się w Berlinie „Ogniem i mieczem", w 1889 w Petersburgu (w przekładzie na niemiecki) – „Bartek zwycięzca", w 1895 – „Pan Wołodyjowski",

a w 1900 – „Quo Vadis". Do roku 1908 około 127 pozycji. Sienkiewicz był w tym czasie jednym z najpoczytniejszych autorów w Niemczech i Austrii. Czyta Alfred Olszewski te książki, gdzie Polska w każdym słowie zaklęta, ale gdy trzeba, z każdego słowa gromem strzeli. Krew polska w każdym bohaterze wzbudza najwyższe uczucia. I widzi Olszewski, że podstęp, zdrada, skrytobójcze morderstwo, ów cały arsenał krzyżackich środków – ba, arsenał pruskiego charakteru – nie jest mu obcy. Że serce jego uderza jednym rytmem z tymi, którzy na kartach sienkiewiczowskich książek gnają swoich wrogów w otwartej, szlachetnej walce – z Polakami. Nie pomogła krew baronówny von Schweinitz ani familii von Uttenhof – prawdziwa germańska krew. Nie pomogła uroda i nazwisko żony Gabrieli, baronówny von Zedlitz...

Córka, urodzona w roku 1893, otrzymuje słowiańskie imię Draga, a syn urodzony w roku 1895 – Bolesław. Matka, patrząca na polskość nienawistnie – o czym później się przekonamy – wołała zawsze Dragę: „Dagmar". Fakt, że w żeńskiej linii zachowała się zakamieniała germańskość, bowiem świadomość polskości, polskiego szlachectwa, związków Korzbok-Zaydliczów z Rzeczpospolitą, była już żadna.

Konrad Bartoszewski, z którego pracy, ogłoszonej w „Szkicach Legnickich", korzystałem, zauważa mimochodem, choć do naukowca to nie należy: „Możemy się jedynie domyślać tego, co się działo w jego duszy, kiedy

odczytując «Krzyżaków», «Bartka zwycięzcę», czy «Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela», przypominał sobie pruską służbę wojskową i administracyjną swego pradziada, dziada i ojca". Jednakże – poza gwałtownym przełomem i powrotem do polskości – Alfred Olszewski niedomaga na zdrowiu. Choroba płuc, najprawdopodobniej gruźlica. Już od roku 1904 prawie nieustannie przebywa w Szwajcarii – najpierw w Cointrin, potem w Saas-Fee, od roku 1908 w Genewie.

Nasuwa mi się przypuszczenie, że gdzieś musieli się spotkać – pisarz i jego oszołomiony czytelnik – na szwajcarskim bruku. Sienkiewicz bawi w Szwajcarii w Montreux w październiku 1907. Nie wiem, czy panu Alfredowi chciało się tam jechać z wysoko, niemal pod Matterhornem, położonego Saas-Fee, ale przypuszczam, że nastąpiło to w roku 1909, gdy Sienkiewicz w połowie marca zjeżdża do St. Raphael na Riwierze Francuskiej. Pan Alfred mieszkał wówczas w Genewie przy Avenue de Champel 43. 15 marca von Olszewski pisze swój sławny testament, a w niecały miesiąc później umiera w Nervi pod Genuą. Pan Gumiński napisał z Legnicy do Nervi – okazało się, że to teraz dzielnica wielkiego miasta, bo przyszła odpowiedź wyczerpująca. Alfred von Olszewski zamieszkiwał w Nervi przy ulicy Garibaldiego 8 (obecnie Aldo Casotti) i pochowany został na cmentarzu Monumentale in Via Donato Somma, gdzie „znajduje się wiele grobów cudzoziemców, szczególnie Polaków, zmarłych na gruźlicę".

Władze włoskie, wnioskując z nazwiska, nie miały wątpliwości, że Olszewski jest Polakiem.

Według testamentu – to przecież rzecz święta – grano na pogrzebie Mazurka Dąbrowskiego. Chór śpiewał – łamiąc sobie włoskie, nawykłe do bel canta głosy ową melodią skoczną – i wszyscy zapewne popatrywali na siebie zdziwieni, tym bardziej że pani von Olszewska, z domu von Zedlitz und Neukirch, nie mogła ukryć wściekłości. Słowa „z ziemi włoskiej do Polski" przebrzmiały, ale nikt nie pomyślał o tym, aby zwłoki Olszewskiego przewieźć do rodzinnego majątku i złożyć w kaplicy grobowej Olszewskich w Kościelcu. Wściekłość Gabrieli Olszewskiej miała jeszcze inne powody. Powody te skłoniły ją do tego, że nie zamieściła nawet w miejscowej prasie nekrologu. Jak głosiła legenda miejscowa, która w Warmątowicach się dochowała do naszych czasów, ogłoszenie o śmierci pana Alfreda w legnickiej gazecie („Liegnitzer Tageblatt" z 11 kwietnia 1909 roku) opłaciła służba dworska. Widziałem nawet ten numer i podpis: „In der Familie Langjahrige Dienstboten". Za to odezwały się gazety polskie, bowiem testament Alfreda Olszewskiego, spisany w Genewie, był zaiste niecodzienny. „Kurier Warszawski" i „Głos Warszawski" pospieszyły z informacjami i artykułami – chociaż trochę spóźnione, bo widocznie dopiero powiadomione przez Sienkiewicza – na jesieni roku 1909.

Testament Olszewskiego czyni ogólnym spadkobiercą syna Bolesława pod następującymi kondycjami:

„1. Niech do 30 roku życia złoży egzamin z języka polskiego i historii polskiej. Polski profesor gimnazjalny lub uniwersytetu winien zbadać, czy znajomość polszczyzny wystarczałaby dla złożenia egzaminu dojrzałości w gimnazjum polskim.

2. Niechaj wychowany będzie tak, aby czcił narodowość polską, swoje nazwisko polskie i pochodzenie polskie.

3. Niechaj związek hakatystów i wolnomularzy uważa za swoich wrogów.

4. Niechaj nigdy nie wstępuje do służby państwowej w Prusach i niechaj nigdy nie zaślubi osoby, która do biurokracji pruskiej należy".

Jeżeli syn nie spełni woli ojca, otrzyma jedynie 60 tysięcy marek, a spadkobierczynią będzie Draga, o ile wykona te same zalecenia. Gdyby oboje nie wykonali zaleceń, majątek zatrzymuje dożywotnio matka, a po jej śmierci... I tutaj następuje clou całej sprawy.

Majątek Olszewskich dziedziczy Henryk Sienkiewicz!

Rodzina uznała, iż tata przed śmiercią zupełnie zwariował. Usiłowano testament obalić – warunki omawiano jako nonsensowne. Ale gdy usiłowania zmierzające w kierunku unieważnienia testamentu nie dały wyniku, pani Gabriela uderza w pokorę. „Trzeba z tym Sienkiewiczem paktować, to groźna bestia". Przez adwokata warszawskiego, Tadeusza Kraushara, zapewnia Sienkiewicza, że dołoży wszelkich starań, aby wypełnić wolę zmarłego męża.

Sienkiewicz zrzekł się jednak spadku, zabezpieczając sumę 30 tysięcy marek, które miały zostać wydatkowane na cele oświatowe dla Polaków zagrożonych germanizacją. Oczywiście zabezpieczone zostały na czas zagwarantowany testamentem i – gdyby dzieci spełniły wolę pana Alfreda – zostałyby oddane. Aliści w roku 1932 – po dewaluacji – zostało z tych pieniędzy coś 3715 złotych na koncie Banku Gospodarstwa Krajowego w Krakowie. Adwokat Kraushar otrzymał od pełnomocnika Olszewskich następujące oświadczenie:

„Chociaż dzieci von Olszewskiego wysoko ceniły polskie pochodzenie ich ojca, jednakże warunki dołączone do aktu depozytowego nie mogły być spełnione i sukcesorowie von Olszewskiego nie mają żadnych pretensji do spadku".

W tym czasie Bolesław już nie żył, a córka Draga-Dagmar była żoną Henryka von Zedlitz und Neukirch, swego bliskiego kuzyna, oraz matką pięciorga dzieci – dwóch córek i trzech synów, którzy później przybrali hitlerowskie mundury, by ruszyć w brutalnym pochodzie przeciwko Polsce.

Bolesław umarł w 1930 roku, chorowity, ale wytrwały – chciał wykonać testament ojca. Matka, starsza siostra i osoby z ich otoczenia uważały, że byłoby to dla nich wszystkich – łącznie z zięciem – wielką kompromitacją. Chorowity Bolesław podróżował po Szwajcarii szlakiem ojca, a matka i siostra rozpuszczały pogłoski, że oddano go

do domu obłąkanych... Bolesław podobno mówił po polsku i to było ową straszną kompromitacją. Na szczęście zmarł – na pogrzebie siostra i matka nie uroniły ani łzy. Wspominała o tym dziś nieżyjąca Emilia Kozakowa, niegdyś służąca w pałacu. Wspominała, że matka Gabriela mówiła o synu z przekąsem „natura Olszewskiego".

Zwróciłem tutaj uwagę na jeszcze jeden dziwny zbieg okoliczności. Kozakowa wraz z ojcem zawróciła z drogi ucieczki, w którą wybrała się, towarzysząc baronowej Dradze von Zedlitz. Draga miała w 1945 roku niewiele ponad 50 lat i była pełna energii. Wydała dyspozycje: wszystko ładować na przyczepy. Nawet Polakom na przymusowych robotach kazała się z nimi zabierać. Wyznaczyła kierunek: Hanower, do córki. Pod Dreznem Polacy zawrócili z tej drogi, wśród nich Kozakowa wraz z ojcem. Podkreślała: mój ojciec nazywał się Gutkowski. Zachowali polskość, nie wszedłszy w kręgi pruskiego ziemiaństwa i arystokracji, gdzie procesy germanizacyjne przebiegały szybciej. Ale zwróciłem uwagę, że ten Gutkowski pod zamkiem Korzbok-Zaydliczów przetrwał. Przecież podpisało dwóch Gutkowskich – tuż koło Zaydliczów – akt konfederacji toruńskiej w 1767 roku! Widocznie później zubożeli, stracili znaczenie w cieniu zamku, którego panowie zniemczeli, i zeszli w szeregi służby...

Tak więc świadectwo polskiego pochodzenia ścigało Zaydliczów do ostatniego pokolenia. Synowie Dragi von Olszewskiej-Zaydlicz: Kuno, Jan Krzysztof (jednak

podatni tu byli na wpływy literatury!) i Konrad Zygmunt, poszli na front, jeden podobno zginął. I ślad po Olszewskich, po Zaydliczach znikł. Straszy gdzieś jeszcze ponura legenda o tym, jakoby matka i siostra zgładziły Bolesława potajemnie, aby zmyć w niemieckiej rodzinie polską hańbę...

Stoi tedy smutny, pusty zamek nad porosłą rzęsą fosą i wiatr tylko opowiada szumne historie, przechadzając się po pokojach. I myślałem, że sprawa warta jest, aby ów zamek odremontować, urządzić, wywiesić na ścianach genealogie Zaydliczów i Olszewskich, a prochy Alfreda Olszewskiego sprowadzić z cmentarza w Nervi do kraju. Monument Sienkiewiczowi w parku warmątowickim się należy – poecie, którego jedno słowo zniweczyło kilkusetletnie zabiegi germanizatorów. Czy warmątowickim? Nazwa ta nie znajduje żadnego wytłumaczenia. Jeżeli językoznawcy nie chcieli prostego tłumaczenia „Eichholz" na „Dąbrowa", niech nazwą miejscowość „Olszową" na cześć Olszewskich!

Majątek leży na ziemiach, gdzie rozpostarł się teraz miedziany kraj. Kilka zaledwie kilometrów od Warmątowic dymi huta miedzi, obecnie rozbudowywana na potrzeby nowego zagłębia. Kilkadziesiąt kilometrów od zamku stoją szyby kopalń miedzi pod Lubinem i Polkowicami. Kopalnie wkrótce ruszą i trzeba im będzie nadać nazwy. A gdyby tak coś z Sienkiewicza? Gdyby tak szyby otrzymały nazwy: „Zbyszko", „Jagienka", a ten, z którym najwięcej było

kłopotów – „Zagłoba"? Kopalnię nazwałbym „Karolina" – dla upamiętnienia ostatniej Piastówny, księżniczki Karoliny, której nadzieje się spełniły po 300 latach.

Zwróćcie jeszcze uwagę na wysoki warkot samolotu Gawron, służbowego samolotu kombinatu miedzi – tam w górze. Przy sterach siedzi magister inżynier Henryk Sienkiewicz, z zawodu inżynier górnik i sztygar objazdowy kopalni „Lubin", a oprócz tego wyśmienity pilot i triumfator wielu powietrznych rajdów, kilkakrotny samolotowy mistrz Polski. Wreszcie radny MRN w Lubinie... Oto Henryk II Sienkiewicz, pointa tego reportażu. Nie jest krewnym pisarza Henryka Sienkiewicza. Ma 35 lat i urodził się w Lublinie, a wykształcił w Bielsku-Białej.

Oto jego dziedzictwo. Pointa, której nie bierzcie dosłownie – bowiem symbolizuje on tutaj tylko polskich inżynierów i górników, którzy tę ziemię biorą w posiadanie.

11

ICH MIEDZIANY KRAJ

Z krainy Nikifora, która wtedy nie była łagodna, z wzgórz zalesionych gęstymi kreskami, jak na obrazach mistrza-niemowy, z łemkowskich obrzeży Sądecczyzny – osiedli na ziemi płaskiej i mokrej. Wygnały ich stamtąd bieszczadzkie łuny.

Nacjonalistyczne szaleństwo UPA wciągnęło spokojnych Łemków spod Łabowej i Berestu w orbitę swoich działań. Musieli stamtąd odejść, zostawiając swoich zasmuconych świątków, przechylone na bok od starości kopuły cerkiewek i cmentarze z greckimi krzyżami. Kraj piękny i biedny, gdzie w chatkach przyczepionych do zboczy tłoczyli się potomkowie dawnych pasterzy wołoskich i napływowej ludności ruskiej, których nazwano Łemkami. Opuszczali go z żalem i gniewem – tak jak opuszcza się rodzinny kraj, tak jak się wyjeżdża w nieznane.

Pociąg wyładowany wystruganymi z drewna skrzyniami i kuferkami jechał długo przez płaski kraj. Ludzie wpatrywali się w pejzaż, którego jedynymi dominantami były wysokie drzewa i wieże wielkich kościołów. Na stacji w Chocianowie, za Lubinem, pozostał w wagonie staroświecki kufer z okuciami – bez właściciela. Wewnątrz karabin maszynowy i granaty. Oni byli zastraszeni i oczekiwali na los. A los okazał się łaskawy: czekała na nich ziemia i domy murowane, lepsze, w porównaniu z ich górskimi chatami wspaniałe.

Jedna z chat pośrodku wsi Trzebnice była na wpół rozwalona, ale blisko szkoły, i to zaważyło na decyzji Antoniego, a żona Anastazja mu przytaknęła – nie mówiąc o dzieciach. Czterech synów też by to zaaprobowało, ale Jasiek jeszcze był rocznym berbeciem, a najstarszego Alka nie bardzo to interesowało – powszechniak miał już poza sobą i chciał iść do Grybowa do liceum, bo dobrze się uczył. Ale gdy przyszło im opuścić Florynkę, trzeba było wszystko inaczej i od nowa. I tylko zdjęcie swojej wsi, które już trochę pożółkło, schowali w czeluściach poniemieckiego kredensu jak relikwię.

Dom murowany, zniszczony i ziemia przez lata już nierodząca czekały na ich ręce. Siedem hektarów z łąką. Łąka podmokła, ziemia piach – wszystko wsiąka. Pod kartofle trzeba było trzy razy nawozić, zanim im ziemia coś dała. Kręcili się po gospodarzach za zarobkiem. Śmiali się z Alka: „Twój ojciec za miarkę zboża musi pracować cały dzień". Koni nie było – w polu krowami robili.

Artysta Nikifor ze swoją skrzyneczką gdzieś uciekł z transportu i wrócił do swojej Krynicy, w swój górski pejzaż. Im została ziemia inna – tu wrastali. Trzech synów w Trzebnicach przybyło Antoniemu i Anastazji: razem mieli siedmiu. W Lubinie pop był, w gotyckim kościele prawosławną mszę odprawiał. Jeszcze we Florynce nieznana dłoń wlewała im nafty do studni: oni na prawosławie nie chcieli. Z dziada pradziada grekokatolikami byli. Więc i tutaj do tego prawosławnego nie poszli. Polski

ksiądz, łacinnik, trzech synów im ochrzcił i imiona na chrzcie takie otrzymali: Władysław, Sławomir, Eugeniusz.

A ziemia dawała niewiele. Nie znali jej, nie umieli na niej gospodarzyć. Sąsiad miał 13 hektarów i prawie chleba zabrakło. A siedział tu dłużej od nich. Z początku nie bardzo chciano im pomagać.

Przez lata zje się razem kilkadziesiąt beczek soli, jeżeli jeszcze rodzina prawie z dziesiątki się składa. Więc nabierano do nich przekonania – że uczynni, pomocni, spokojni ludzie. Do żadnej tam odrębności się nie poczuwali, a i nazwisko polskie tym bardziej wtopiło ich w nowy żywioł. No bo co to za Ukraińcy, co nazywają się Krawczyk? I to jeszcze przez „y"?

Synowie ciągnęli w kraj za pracą. Tu, na miejscu, roboty nie było – najwyżej przy melioracji łąk. A im zawód się marzył i zarobek. W 1953 roku Alek poszedł do wojska, do marynarki go dali, i wcale się do wioski pod Lubin nie spieszył wracać. Marzyły mu się Polskie Linie Oceaniczne, ale nie wyszło. Kurs dźwigowych skończył i przez trzy lata na dźwigu w porcie Gdynia przepracował. Brat Andrzej, któremu po nocach morze się śniło, zwiał z Trzebnic i w Gdyni u Alka wylądował. Smarkacz miał niecałe 18 lat. Na pomocnika ślusarza go przyjęli przy remoncie dźwigów. Dwa lata razem pracowali, aż młodszego do wojska wzięli. Michał i Jasiek wspólnie chodzili do szkoły. Michał noty przynosił wspaniałe i było pewne, że pójdzie do liceum.

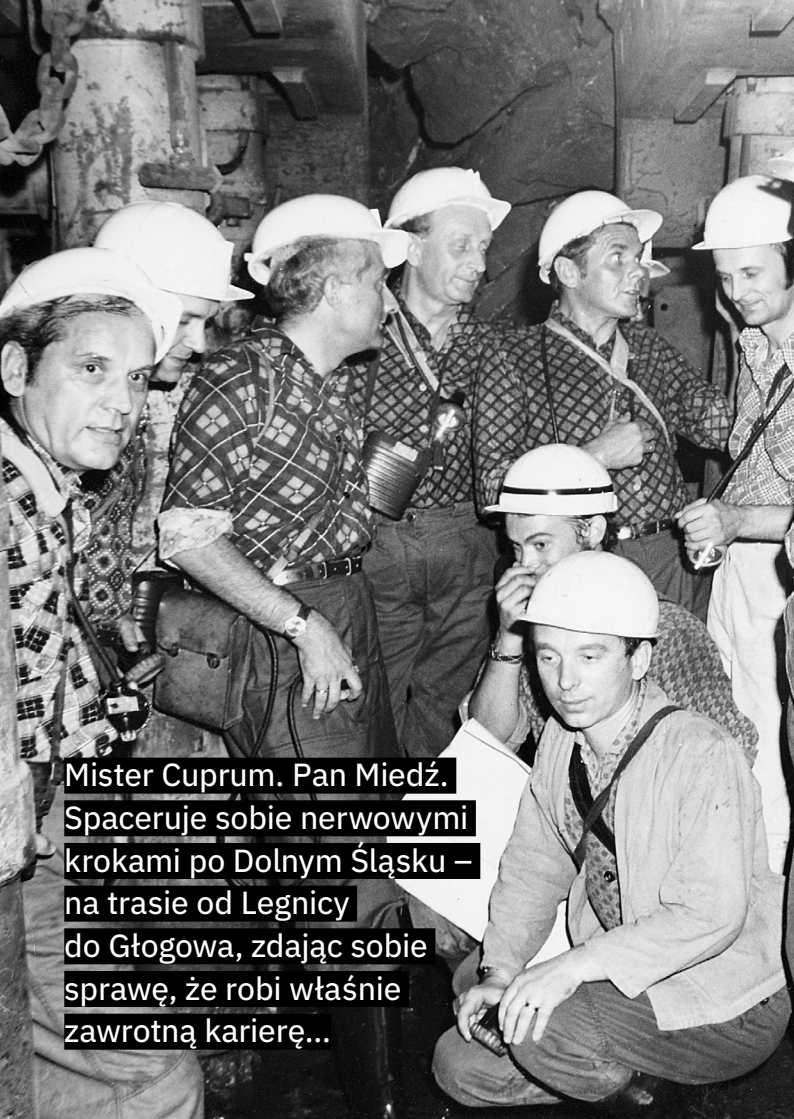
Alek gnał wszystkich do nauki, tym bardziej że wrócił wreszcie pod rodzinną strzechę, a raczej pod dach w Trzebnicach. W 1961 roku przyjechał z Gdyni na urlop i pyta: „Gdzie ojciec?". A tu kartofle niezasadzone, bałagan w gospodarce. Tata oko sobie wybił i w szpitalu leży. Myślał jeszcze, że wróci do Gdyni, ale w lipcu się zwolnił na amen. Ostatecznie ruch się zaczął, bo pod tą płoną ziemią pokłady miedziane odkryli i pracy wszędzie było w bród. Więc zaczął w REM jako ślusarz, a w 1962 roku już przeszedł do Lubińskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego. Wiadomo, dźwigi przyszły.

Andrzej wyszedł z wojska w 1960 roku z papierami szoferskimi i marzyło mu się pozostanie na Wybrzeżu, ale też przyjechał do domu i wsiąkł. Najpierw w miejscowym GS dostał posadę zaopatrzeniowca. „Kupimy ci Nysę, będziesz jeździł" – obiecywał prezes. Ale nie kupili, więc Jędrek się zirytował i za bratem poszedł do REM. Co miedź, to miedź. Lubin już pękał w szwach, wysokie dźwigi sterczały po osiedlach mieszkaniowych, starszy brat na jednym z nich. Jędrek wreszcie do Przedsiębiorstwa Budowy Kopalń dostał się za kierowcę – Warszawę mu dali. Michał zdał maturę i wyjechał do Krakowa na studia – na Akademię Górniczo-Hutniczą. Praktykę odbywał w zakładach górniczych „Konrad", na starej miedzi. Stypendium z dyrekcji miedziowych kopalń w Lubinie mu dali i przyjdzie lada dzień jako pan inżynier, bo piąty rok studiów teraz kończy.

Alek swoim dźwigiem objechał wszystkie chyba budowy w Lubinie – nie całkiem gładko, bo raz mu się dźwig wywrócił, choć zdążył zbudować w 14 miesięcy 6 punktowców i jeden szeregowiec... Dźwig, jaki mu dali, był mało statyczny – półtora metra za wąskie osie. Kabina na wysokości 18 metrów, w niej Alek. Ciężar zawieszony na wysokości 20 metrów, kostki gazobetonu – 2 tony. Nagle trach, odgłos pęknięcia i dźwig zaczyna się walić – w centrum miasta, na ulicy Szerokiej, tłum wrzeszczy i ucieka. Alek wczepił się mocno w balustradę ganku, prąd wyłączył. Najpierw kolos oparł się dziobem o ziemię, potem przewalił się na bok. Włos Alkowi z głowy nie spadł.

Przełożony powiedział: „Ja partyjny jestem, ale daj pan 500 złotych na mszę!". Potem przez trzy lata nie dali mu premii, bo zawsze się wlokło: „Tyś dźwig wywrócił"! A to łożysko pękło na dole, bo dźwig był przeładowany coś o 100 kg. Ponieważ nie miał uprawnień na dźwig budowlany, tylko na portowy, to jeszcze i z tego zarzut mu zrobili. Ale zdobył uprawnienia, zdał egzamin i dalej można go widzieć w kabinie dźwigu. Całą pierzeję rynku ostatnio postawił – tę ostatnią, co była niezabudowana.

Janek, ostatni z tej czwórki, która przyjechała tu z Florynki, skończył zasadniczą szkołę gastronomiczną. Zawsze chłopiec przy jedzeniu grymasił i uważali, że jest „francuski piesek". Najpierw pracował w Lubinie, ale pewnego dnia nie zjawił się w pracy. Najstarszy brat, Alek, z ręką



Mister Cuprum. Pan Miedź. Spaceruje sobie nerwowymi krokami po Dolnym Śląsku – na trasie od Legnicy do Głogowa, zdając sobie sprawę, że robi właśnie zawrotną karierę...



karzącą się wybrał na poszukiwania brata, którego skaperowali do Wrocławia. Odnalazł go w barze Tempo – sprał i chciał zabrać do domu, ale mały się oparł. Ładnie mały – pod dwudziestkę mu szło. Z Wrocławia go wysłali na kurs do Czechosłowacji. Pisał, że mieszka w hotelu Moskwa w Karlovych Varach i znakomicie mu idzie. Mają go wysłać jeszcze do Austrii, żeby opanował kuchnię włoską i francuską. A poza tym uzupełnia wykształcenie ogólne: mianowicie chodzi na kurs tańca. Ma zostać szefem kuchni w największym barze we Wrocławiu.

„Więc po co będzie wracał do Lubina? Do Ratuszowej? Jest tu taki jeden kelner, u którego – co byś nie zjadł – zawsze rachunek wyniesie 27,50!" – śmieje się Alek. A trójka braci, którzy już w Trzebnicach na świat przyszli? Władek w Technikum Spożywczym w Legnicy, Sławek w ogólniaku w Lubinie, Genio kończy podstawową szkołę. Alek gna wszystkich do nauki, aż miło. „Żeby mnie tak kto gnał, to też bym skończył liceum albo i wyżej!".

Zastałem ich w upalny letni dzień, jak przeprowadzali remont swego rodzinnego domu. Matka Anastazja, żwawo jeszcze z pędzlem w ręku biegając, bieliła ściany wewnątrz. „A kto zostanie na gospodarce?" – zaczęła biadać. Sześciu dryblasów spojrzało na najmłodszego – Gienka. „On niech zostaje" – powiedział Alek. „Co ja tu będę robił? Klub Ruchu nawet zlikwidowali!" – oburza się Gienek. „U ciebie konie lepiej chodzą jak u ojca. I ciągnie cię do koni!" – namawiają bracia. „Ojciec gospodarkę da, ale bracia będą

chcieli, żeby ich spłacić. Funta kłaków to niewarte" – decyduje Gienek. I rozważa po chwili, że gospodarka, czyli te 7 hektarów, to za mało, żeby maszyny kupić, a wszystkiego ręcznie robić nie ma sensu.

Krzątają się po obejściu, fotografię Florynki pokazują: „Tu był nasz dom, nie wie pan, jak tam teraz?". I wreszcie kolorowane zdjęcie Antoniego i Anastazji wieszają na ścianie, bo już po remoncie prawie. Synowie się wściekają: „Taka szmira, nigdy bym tego nie odebrał!".

Protoplaści wielkiego rodu Krawczyków w jarmarcznych kolorach przeszłości królują na ścianie domu w Trzebnicach pod Lubinem – rodzice siedmiu dryblasów, których prawdziwym domem stał się ten miedziany kraj.

*

Opisując losy łemkowskiej rodziny na Ziemiach Zachodnich, zmieniłem nazwisko, naturalnie, aby rzecz nie stała się dla kogokolwiek drażliwa.

12

METAFIZYKA RUIN

Chcę bronić tego miasta przed wami, ludźmi chłodnego serca i małej duszy. Miasta, „ponieważ zbiór pustek tak zowiem" – jak to określił biskup Ignacy Krasicki, nie mając wcale na myśli Głogowa, co wy już empirycznie sprawdziliście. Przejechaliście autem przez miasto i nie wiedzieliście, czy to się dopiero zaczyna ten gród przesławny, na którym cesarz sobie zęby połamał, czy też już ów gród minęliście... Ale cesarz zęby sobie połamał w 1109 roku, jak detalicznie opisał to Gall Anonim. Grodzianie na niemieckie karki lali gorącą wodę, rzucali kamienie i koła najeżone żelazem, a zuchwalszych Niemczurów, co pięli się na mury po drabinach, nabijali na haki i wyrzucali w powietrze... Cesarz odstąpił.

I oto chcę bronić tego miasta przed wami w osiem i pół wieku później, przed wami i tym niemieckim dziennikarzem z Monachium, który poszedł pod kolegiatę Krzywoustego, obok której rośnie stary orzech. Drzewo pewien dziadek ogrodził drutem kolczastym, żeby mu dzieci orzechów nie strącały. Drogą koło orzecha nadciągali Cyganie. Więc ten Niemczura z wolnoeuropejskiej propagandy za amerykańskiego papierosa kupił Cyganów, którzy stanęli przed kolczastym drutem do zdjęcia, a w drugim planie było wejście do kościoła. Brudni Cyganie w łachach jakichś, a pod zdjęciem podpis, że władza ludowa Polakom wstępu do kościoła broni. Zdjęcie-dokument: drutem

kolczastym zagrodzone. A swoją drogą, facet od tej wolnoeuropejskiej propagandy był głupi: należało przede wszystkim sfotografować „młyny historii". Młyny pracujące koło ruin starego ratusza.

Więc zgodziłem się ostatecznie i będę bronił Głogowa, miasta, które po dziesiątki razy padało i podnosiło się. Oto w niedzielny poranek patrzę przez okna pokoju 311 w hotelu Odra, który kiedyś był wspaniałą ruiną ze ślimakiem klatki schodowej wybiegającym spomiędzy nadłamanych murów (bo dachu nie stało), a teraz jest najbardziej imponującym gmachem miasta. Pięć pięter, restauracja na dole i snack-bar. Widok z narożnego pokoju na tumską wyspę z ruinami kolegiaty Krzywoustego – można by usłyszeć jeszcze wrzawę szturmujących wojów cesarza Henryka. Naukowcy powiadają, że fale głosowe utrzymują się latami w powietrzu i można będzie te głosy kiedyś odtwarzać. Na razie mamy do dyspozycji tylko radio.

Hotel Odra ze swoimi pięcioma piętrami trzęsie się od Szopena puszczonego na cały regulator. Koło ruin kolegiaty zalega mgła, jakieś drzewa pożółkłe stoją nad leniwą Odrą i pejzaż się snuje nizinny, polski, jesienny. Ale nie dadzą Szopenowi panować nad tą ziemią: ktoś pędzi po schodach z dołu – windy bowiem nie naprawiono, tylko wewnątrz szybiku na każdym piętrze skład na pościel urządzono, wejście do windy zamykane na kłódkę – pędzi, tupiąc, do drzwi się dobija, cholery lecą z piętra, radio cichnie.

II

Przechodzę do następnego okna i już bez muzyki patrzę na kikuty ruin w miejscu dawnego centrum miasta. Zatarty kształt ulic, na ceglanym pyle zmieszanym z ziemią wyrosły chwasty i głogi. Szopen jest teraz melancholijny i cichutki. Patrzę na ruiny ratusza, w piwnicach którego piękne jeszcze do dziś zachowane sale, wsparte na gotyckich kolumnach, pamiętają czasy sławnej głogowskiej wojny piwnej. A obok ratusza ruina teatru – niegdyś neoklasycznego, w unikalnym stylu, gdzie kiedyś koncertował Liszt... Więc milcz, Fryderyku.

Tym bardziej że słychać szum „młynów historii". Pracują ostatni rok: gruz przemielają na mączkę ceglaną. Wysypywać będą alejki w parku i korty tenisowe – pyłem z murów, które pamiętają czas wspaniały tego miasta: Salomeę, siostrę Przemysła wielkopolskiego tu panującą, i Zygmunta Jagiellończyka młodego, który tu na zamku siedział, zanim został polskim starym królem. I czego te mury nie pamiętały! Historyczny pył kosztuje teraz 88 złotych za tonę. Kupujcie historię Głogowa w proszku!

Magister Kaczkowski – młody archeolog, co to jak przez mgłę pamięta rodzinny Stanisławów, gdzie zdążył tuż przed wojną na świat przybyć – pokazując mi ruiny Głogowa, gotycką wieżę farnego Kościoła św. Mikołaja, powiada: „Czy zastanawiał się pan kiedyś, jak powinien wyglądać pomnik wojny? Moim zdaniem pomnik wojny

powinien być właśnie taki!". Szliśmy ścieżkami wydeptanymi pośród chwastów, po czerwonych ceglanych ścieżkach. I myślałem, że chyba nonsensowne jest budowanie pomników wojennych z umarłych czołgów i zamilkłych dział, a nie z efektów ich działalności.

Powiadacie, iż ruiny Głogowa odegrały już swoją rolę. Wielką, filmową. Imitowały ruiny Warszawy w filmie „Piątka z ulicy Barskiej". Bo ruin w Warszawie już wówczas nie było. Głogów w dodatku cegłę wagonami słał na odbudowę swojej stolicy, aby tym mocniej związać się z macierzą. Dyrektor MPGK, Chominiec, który urzęduje w hotelu Odra (drugie piętro), może zaświadczyć, bo on był pełnomocnikiem do wywozu tej cegły. Plany bywały nieliche: 17–18 milionów sztuk rocznie. „Co z naszym śródmieściem?" – pytali Głogowianie. „Nawieziecie humusu na gruzy i będziecie siać żyto!" – odpowiadali im złośliwi.

III

A mimo wszystko bronić będę Głogowa, który rozkwitał na tych gruzach najpiękniej, jak mógł, nie tylko głogami – Głogowa, którego właściwie nie było już na mapie Europy. Bo jeszcze z początkiem wojny, gdy Niemcy wołali „Sieg an allen Fronten!", piekarz Władysław Jakubczak, a za nim kominiarz Chudy i kilku innych Polaków przyjechali Głogów zdobywać dla Polski, choć wcale o tym wówczas nie wiedzieli.

Wywiezionych na przymusowe roboty prowadzono do fotografa w podwórku dzisiejszego hotelu Odra, który wówczas nazywał się Hindenburg. Opowiadał mi o tym Jakubczak w przedsionku piekarni PSS, a ja patrzyłem na jego skronie uważnie: „Siwizna czy mąka?". I jednak była siwizna.

Jakubczaka schwytali na rynku w wielkopolskim miasteczku Środa, dokąd przyjechał z wioski na rowerze brata – w dzień egzekucji. Jakubczak nie wierzył, że Niemcy rozstrzeliwują w Środzie Polaków. Przekonał się na własnej skórze, że nie tylko rozstrzeliwują, ale wywożą. Fakt, że wywieziono go do Głogowa, jest nader logiczny: na terenach wschodnich Niemiec brakowało rąk do pracy, bowiem od lat obserwowano tu zjawisko tak zwanego Ostfluchtu, czyli odpływu ze wschodu na zachód. Jakubczaka skierowano najpierw do pracy na wsi, u bambra nazwiskiem Büwald, a później – gdy w mieście trzeba było rzemieślników – znalazł się w Głogowie u piekarza Gettnera, po licznych przejściach.

Wtedy właśnie spotkał się z kominiarzem Chudym, który teraz jest w Głogowie prywaciarzem i dostojnikiem cechu, tudzież kominiarskim mistrzem, a wówczas został złapany i oddany do pracy u kominiarza Weise, dostojnika miejscowego SA. Jakubczak pracował przed wojną w Poznaniu na Bernardyńskiej, gdzie się dyplomu czeladnika dorobił, a Chudy – na Wildzie, przy Słowackiego.

Poznali dziewczęta polskie z lagru przymusowej pracy. Codziennie szwabskie ofermy z Volkssturmu prowadziły

je do pracy przy wyładunku wagonów. Dziewczyny były niedożywione i biedne. Spotykali się z nimi ukradkiem i – co tu gadać – wówczas Jakubczak poznał swoją dzisiejszą żonę. Miłość zaczęła się bardzo prozaicznie: Jakubczak kradł mąkę swojemu piekarzowi, Chudy w worku na sadzę szmuglował mąkę do innego piekarza i wymieniał na pieczywo, po czym pieczywo w tymże worku na sadzę przynosił na teren żeńskiego obozu. Zawsze szeptał ukochanej Jakubczaka, że to od Władka.

Pewnego dnia, gdy słychać już było kanonadę zza Odry, przyleciał do Jakubczaka Chudy i wrzasnął z daleka: „Władek, trzy ruskie czołgi wjechały na Rynek!". Jakubczak mieszał ciasto w dzieży, pryncypał Gettner stał obok. Ani się obejrzał, gdy Władek wywalił na niego ciasto z dzieży i okleił szczelnie Szwabowi gębę. „Rany boskie, były te czołgi, ale się wycofały! Jeszcze Niemcy w Głogowie!" – wrzasnął po raz drugi Chudy i, zanim Szwab się opamiętał, zwiali z piekarni na miasto.

IV

Właśnie zaczynały się te dwa piekielne miesiące, w czasie których Festung Glogau miała stawić czoła armii radzieckiej i wojsku polskiemu. Nie wiem, czy chytry cesarz Fryc II, który 200 lat temu budował twierdzę głogowską, zastanawiał się nad tym, czy gród ten – dla jego

poprzedników niezdobyty – kiedyś dostanie się w polskie ręce. A weszli tu Polacy razem z Francuzami pod Napoleonem już w kilkadziesiąt lat później. Im mocniejsze buduje się twierdze, tym bardziej prowokują one zdobywców. Taka jest logika historii. Zdobywcy jednak nie chcieli zrobić imponującego popisu swoich sił pod twierdzą Głogów. Wiele dróg prowadzi ze wschodu do Berlina, ale jedna z nich prowadzi przez Głogów. Postanowili Niemcy bronić tej twierdzy do ostatka.

Żeński lager ewakuowano do lochów koło tak zwanego Rosengarten. Pani Jakubczakowa, która pracuje teraz jako kasjerka w restauracji Odra, wspomina tamte chwile z przerażeniem: „Od tamtych czasów mam reumatyzm". Cała grupa Polaków, wśród nich Jakubczakowa i Chudy, przeżyli podwójną grozę. Byli w czasie oblężenia więzieni przez gestapo pod zarzutem posiadania broni. Tym razem niemiecka skrupulatność ich uratowała: broni nie znaleziono, puszczono ich do domu. Chudy wówczas już stał nawet pod ścianą naprzeciwko plutonu egzekucyjnego. Nie pamięta, ile to trwało – dwie godziny czy dwie minuty. Wybuchały obok radzieckie pociski. Kazali iść z powrotem do celi. Gestapowiec Laube, kuternoga, spytał: „Chcecie kolację?". W mieście nie było już co jeść. Draby rozciągnęły go na ławce i wbili 25 razów bykowcem po nogach.

I tak lepszy go los spotkał niż generała Scheina[15]. Generał uważał, że dalsza obrona jest bezcelowa. Rozstrzelano go przykładnie przed mostem, wyciągnąwszy z domu, i pochowano na skwerku przed pomnikiem.

Pociski i bomby coraz gęściej leciały na twierdzę Głogów – bo jeżeli buduje się twierdzę, to po to, aby kiedyś legła w gruzach. Ponieważ w obrębie twierdzy było całe miasto, wraz z zabytkowym śródmieściem, te dwa miesiące były miesiącami śmierci miasta. Gdy kominiarz Chudy przy głównej poczcie pierwszego ruskiego żołnierza zobaczył, był 2 kwietnia 1945 roku.

Zajął się Rosjaninem, który pytał, czy nie ma na sąsiedniej ulicy germańskiej zasadzki – bo na ulicach były barykady i sterty gruzów podchodzące pod okna wysokich parterów. I nie myślał wtedy – ani Chudy, ani Jakubczak – że oto właśnie nastąpiła śmierć miasta. A właśnie tak było.

Pierwsza polska statystyka sporządzona w wyzwolonym Głogowie wykazała, że na liczbę 2600 domów zaledwie 18 nadawało się do remontu. Głogów został zniszczony w 95 procentach, a śródmieście – w 100. Dopalały się jeszcze ostatnie domy, znienacka wybuchały miny i niewypały. Upiór miasta trwał jeszcze pośród dymów

15 Prawdopodobnie chodziło tu o pułkownika Schöna, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach podczas obrony Głogowa. Według niektórych doniesień fanatycznie oddane Hitlerowi dowództwo skazało go na śmierć za chęć poddania miasta.

nad Odrą, gdy przybyli tu przedstawiciele władzy polskiej: pełnomocnik rządu Marzec, a za nim – Chominiec.

Jakubczak i Chudy wyjechali do swoich rodzin w Poznańskie, nie przypuszczając zapewne, że tutaj wrócą. Ale tak się stało: Jakubczak wziął ślub ze swoją narzeczoną w Kościanie 8 września.

„Ta piekarnia Gettnera to by nam się nadała, nie?" – powiedział do żony.

I ruszyli rzemiennym dyszlem do Głogowa, gdzie siedział już kominiarz Chudy. „Co ty tu robisz?" – spytał Jakubczak. „Straż pożarną zakładam!" – odpowiedział dumnie Chudy, co było tym komiczniejsze, że miasto już się spaliło.

O ile możemy jeszcze zrozumieć tych szaleńców, którzy wrócili tu do wspomnień swojej trudnej, upiornej młodości i w odwecie za krzywdy poniesione od Niemców, o tyle przedsięwzięcie Marca i Chomińca, którzy chcieli coś na tych ruinach zrobić, wydaje się niczym nieumotywowane. A już przyjazd grupy z Jarocina to zupełne wariactwo nad wariactwami.

V

Głogowa bowiem nie było – był tylko punkt na mapie. Nie było miejsca tak zniszczonego chyba w całej Europie jak to nadodrzańskie wzgórze, które dzięki Frycowi II i tłumnej armii sterroryzowanej przez SS broniło się przed Polską do



Jest to zaledwie pierwsze
ćwierćwiecze tego stulecia,
które odbiorniki radiowe
sprowadzi do wymiarów pudełka
zapałek i nie większe nadajniki
wysyłać będzie na daleką
Wenus, aby przekazywały
meldunki o warunkach na
powierzchni tej planety.
A do tego wszystkiego
konieczna jest miedź.



ostatka. Historia jest czasem chimeryczna i przewrotna jak zła żona – przyznaje rację po wielu latach. Tak więc oddała Polsce Głogów. W czasie, kiedy waliły się kamienice i spadały stropy gotyckich kościołów, szrapnel trafił w stalle kolegiaty na Ostrowie Tumskim. Gdy pył opadł, z zasłoniętej przez trzy wieki wnęki wyjrzała na świat wysoka postać posągu księżnej Salomei – dostojnej, gotyckiej, polichromowanej. Salomei, żony Konrada głogowskiego, co to się pisał jako Piast „haeres coronae regni Poloniae", a siostry Przemysła wielkopolskiego, którego syn pod koniec wieku XIII królem Polski został! Ta sama to była Salomea, która większość kościołów tego miasta hojnością swoją ufundowała. Budując stalle, austriaccy już władcy miasta polską księżniczkę w niszy zamurowali, aż polski być może pocisk znów na świat ją wydobył. Spojrzała księżna Salomea na ruiny swego Głogowa, znowu polskiego, i to drugie jej spojrzenie było pogodne i pełne optymizmu, bowiem na posągu jest uśmiechnięta. Zabrali ją do muzeum w Poznaniu, aby nie patrzyła na te gruzy i aby trwała – bo nie wiadomo, jaki los by ją w Głogowie spotkał.

A los czekał wszystkich niedobry i trudny.

W Jarocinie zainteresował się urzędnik skarbowy Hoinka dalekim Głogowem i z dokładnością cechującą Poznaniaków zaczął montować ekipę osiedleńczą. Pani Piotrowska, żona Nikodema, pracowała wtedy w urzędzie stanu cywilnego. Mąż jeszcze nie wrócił z Oranienburga, gdy zgodziła się na ten Głogów. Miał z nimi jechać jeszcze

Królak – z wyglądu chudy literat, i Wyrzykowski – nauczyciel z Gołuchowa, a pochodzący gdzieś z Lubelskiego. W przeddzień wyjazdu wrócił Nikodem Piotrowski. „Do Głogowa? Bez dyskusji, jedziemy" – powiedział do żony. I cała scena przypomniała mu się ze szczegółami od nowa: pijany gestapowiec Zapke wrzeszczy „Du polnisches Schwein!", a kelner Nikodem nie pokazuje się. Zapke piekli się i woła, a Nikodem podaje komu innemu. Wtedy Zapke rzuca się w kierunku wieszaka i ciągnie ku sobie pas z pistoletem. W kelnera Piotrowskiego wstąpiła odwaga – jakby książę Poniatowski nie Bogu, tylko jemu powierzył honor Polaków. Rzuca się na byka Zapke, wyrywa mu pistolet, ciska w kąt i wychodzi. Właściciel knajpy na wszelki wypadek daje mu trzy dni wolnego. Nikodem wraca wieczorem do domu, kładzie się spać w ubraniu, aby w każdej chwili uciec. Mijają trzy dni, wraca do roboty i dopiero z pewnym opóźnieniem – pod pozorem szkolenia kelnerów dla Berlina – wywożą go do Oranienburga. Wtedy już wiedział Nikodem, że gestapowiec Zapke pochodził z Głogowa.

Przyjeżdżają do Głogowa w maju 1945 roku – pociąg dochodził tylko do Wschowy, stamtąd rosyjskim autem. Stanęli przy dzisiejszej ulicy Jedności Robotniczej, między dwoma szkołami. Wszystko w ruinie. Piotrowska spytała: „A gdzie to miasto?". „A to właśnie tu!" – poinformował z entuzjazmem Hoinka, który był ponoć wcześniej na rekonesansie. Nikodem rozgląda się bacznie, szuka Zapkego. „On tu przyjdzie, to ryże bydlę, narabował

w Polsce i przyjdzie to teraz wygrzebać z ogrodu albo ze skrytki w murze". Ale zanim zdołał ustalić, gdzie mieszkał gestapowiec Zapke, Hoinka wprzągł go w rydwan zajęć codziennych. Kazał mu prowadzić kuchnię dla jarocińskiej grupy.

Wieczorem rozległa się potężna kanonada i Jarociniakom wydało się, że to nowe oblężenie Głogowa się zaczyna, ale okazało się, że to druga polska grupa – dla dodania sobie otuchy – robi kanonadę. Najpierw jeden wychodzi na balkon i rąbie serię, a potem po kolei odzywają się wszyscy, czy kogo nie brakuje. To była grupa Marca i Chomińca.

Tak więc musiało dojść do spotkania na najwyższym szczeblu: Marzec i Hoinka. Marzec i Chominiec, wyznaczeni prawnie przez władze z Wrocławia, uważali grupę Hoinki za „samozwańczą", mimo że Hoinka jakieś papiery na stół wyciągał i strasznie się sierdził, że jest tu jedyną „władzą państwową". Marzec, spokojny i pryncypialny, powiedział wtedy: „Ja wam nie chcę krzywdy robić, ale trzeba by was zamknąć. Albo zostajecie i uznajecie naszą władzę, albo jazda stąd!". Więc Hoinka zażądał czasu na naradę, wycofał się z Królakiem i kilkoma jeszcze i po chwili powiedzieli, że godzą się zostać i pracować. Wtedy Marzec wspaniałomyślnie powiedział: „To pan, panie Hoinka, będzie burmistrzem Głogowa". Rozeszli się pogodzeni, pełni entuzjazmu, ale Hoinka wyniósł z tego zadrę w sercu i piekło rozpętanych ambicji. „Ja im pokażę teraz! Ja z tych gruzów zrobię miasto!".

VI

I to była przyczyna, dla której coś w tej tragicznej kupie gruzów zaczęło się dziać. Bo Marzec i Chominiec starostwo ulokowali w Sławie Śląskiej, o parę kilometrów dalej, i niewiele o Głogów się troszczyli, choć niektórzy tu jakieś sobie domki wykombinowali i przez Odrę przeprawiali się łódką do Sławy. Był Niemiec przewoźnik, który krzyczał: „Glogowa, wyszadać!", i wszyscy się z tego okrzyku okropnie śmiali, ale był w tym sens. Staropolska nazwa tego miejsca brzmiała prawidłowo: Głogowa Wielka.

Wyrzykowski był bez grosza i Hoinka kazał mu zastępować Niemca w roli Charona. Wtedy zdobywał zapas papierosów na dłuższy czas, bo tylko taką walutą płacono wówczas za przewóz. Później Hoinka dał mu kartkę do nowo przybyłego krawca. Wówczas uszyto mu kurtkę z zielonej story, bardzo elegancką.

Hoinka dwoił się i troił. Wyszukał w starych papierach, że Głogów był przed wojną miastem trzydziestopięciotysięcznym i stwierdził, że z tego powodu należy mu się tytuł prezydenta miasta, a nie burmistrza. Tak więc kazał nazywać się panem prezydentem, a chudego literata Królaka zrobił wiceprezydentem. Jako prezydent nie uznawał nad sobą władzy starostwa, tylko województwo. W ten sposób Głogów przez pierwszy rok pozbawiony był kartek żywnościowych, ponieważ Hoinka od starostwa nic nie brał,

a województwo nie zorientowało się, że Głogów jest już miastem wydzielonym.

Ambicje Hoinki były zakrojone na wielką skalę. A tu nie było co jeść i prezydent udawał się do radzieckiego komendanta, majora Zubkowa, wpraszał się na kolację. „Jeść co nie mam!". No więc Zubkow pięknie prosił do stołu, „swinną" tuszonkę wyciągał i butelczynę, a Hoinka płakał, że dla swoich dzieci jedzenia nie ma. „A skolko u was rebionków?" – pytał troskliwie Zubków. „A 300, bo ja jestem ojcem miasta". Zubkow się złapał za głowę i kwit na 300 kilogramów cukru i tonę mąki pisze. A byli już po kielichu, więc Hoinka powiada: „Ty bogaty, dopisz po jednym zerze, więcej nie chcę". I Zubkow dopisał.

Więc były 3 tony cukru i 10 ton mąki. Hoinka się chwalił, że jest także znakomitym zaopatrzeniowcem, w przeciwieństwie do Wyrzykowskiego, który był intendentem i sukcesów nie miał. Wyrzykowskiego na wieś, do Żarkowa, wsadził na żniwa i Niemców mu dał do pomocy. Wróciło po oblężeniu do miasta sporo mieszkańców. Hoinka dawał im zajęcie przy uporządkowaniu ulic, ale wówczas dopiero, gdy miał czym płacić, mianowicie gdy miał chleb. A piekarnię w Nosocicach uruchamiali mu Jakubczak i jego szwagier Wierzbicki. W Nosocicach – bo ani jednej jako tako nadającej się do uruchomienia w samym Głogowie nie było!

Piotrowski – gdy znaleźli blok przy ulicy Królewskiej, która teraz nazywa się Jedności Robotniczej, gdzie

ulokowali mieszkania i biura magistrackie pospołu – kucharzył dzielnie dla całej grupy. To pobiegł w podmiejskie ogródki po warzywa, to w gruzy za konserwami – choć pietra miał, bo mina na minie w Głogowie siedziała – to znowu od ruskich krowę za bimber wyhandlował. Za krową przyszła jałówka, jałówkę zabili na mięso. I zawsze to „jedno danie" wszyscy sobie chwalili. A Piotrowski chodził uzbrojony jak komandos – automat, pistolet, ręczne granaty. Piotrowska spała z naganem pod poduszką. Cienie Niemców z workami snuły się po gruzach, snuli się szabrownicy i podejrzane typy.

VII

Piotrowski już wiedział, gdzie mieszkał gestapowiec Zapke. Często zachodził tam wieczorem. To były warsztaty, gdzie teraz rezyduje szkoła zawodowa i gdzie spotkałem chudego literata Królaka. Choć powiadają, że ten Królak dzisiejszy to już inny Królak – nie tamten, co to bryczką jako wiceprezydent jeździł za interesami, z piękną laską bambusową paradował i z włoskim karabinkiem pilnował posągu księżny Salomei i orłów na bramie (choć orłów to niesłusznie, bo później okazały się orłami pruskimi i zburzono je razem z bramą forteczną). Był to człowiek rozkochany w historii i za jego to zapewne sprawą ulica na przedmieściu dość odległym, gdzie zajął mieszkanie, otrzymała nazwę Długosza.

To on, Królak, stawał się Długoszem powojennego Głogowa. Wydawał biuletyn na powielaczu pod tytułem „Kronika Głogowa", gdzie wyczytałem takie słowa: „Wszystko nas odstraszało, nic nie bawiło". Było to w numerze z czerwca 1946 roku, czyli w rok po przybyciu na głogowskie gruzy. Dopiero teraz, z perspektywy lat dwudziestu kilku, zobaczyli, że było zupełnie inaczej. Wydał im się ten okres romantyczny, a oni sami sobie – ludźmi pełnymi zapału.

Królak miał ciągoty do pisania od dawna. Kiedyś ponoć był sanitariuszem pogotowia ratunkowego i napisał nawet fachowy artykuł o ortopedii. Jest teraz sekretarzem warsztatów szkolnych i – jak sam o sobie powiada – „alfą i omegą" w sprawach Głogowa. Choć konkurencję stanowi fachowiec wysokiej klasy, młody Kaczkowski – oficjalnie i z urzędu sprawujący patronat nad historią, zamkiem i archeologią, tudzież muzeum. Więc Królak ze swoją pionierską epopeją czuje się trochę pokrzywdzony, bo przecież dużo zrobił: po strychach i piwnicach starych ksiąg szukał, ocalałe muzealia zabezpieczał, wszystkie ślady polskiej historii w gruz się na starym mieście rozsypujące opisywał, jeśli się już uratować nie dały. I on tych wszystkich przybyszów gawędą o polskości Głogowa raczył, o Piastach i Jagiellonach, o tym, że Zygmunt Stary za swojej młodości bił tutaj monetę z Orłem i Pogonią... I że ponoć Głogów to prastare ptolemeuszowe Lugidunum (jak twierdzili dawniejsi historycy), a później w IX

wieku – czołowy gród plemienia Dziadoszan... No, dziś Królak korespondencję rozległą z zagranicą prowadzi – po archiwach i muzeach Italii i Niderlandów się wywiaduje o losach głogowskich księżniczek, co poszły znad Odry w świat, wreszcie prowadzi śledztwo w sprawie obrazu Cranacha, co to się kiedyś znajdował w Głogowie, a ponoć do zbiorów Emmy Göring trafił... „Uczę geografii, historii i języków. Prywatnie" – powiada Królak. A złośliwi, którzy o nadmiar erudycji Królaka nie posądzają, bo nie ma uniwersyteckich patentów, opowiadają o tym, że rozsyła on zawiadomienia, tłumaczy w 22 językach oraz pisze na zamówienia prace magisterskie i doktorskie.

Wychodzimy razem z Królakiem nocą z warsztatów i przypomina mi się opowieść Piotrowskiego, że właśnie taką jesienną porą w 1946 roku powiadomiono go: „Jest Zapke". Zawiadomił życzliwy Niemiec, który do gestapowca też miał pretensje i chciał załatwić – jak i Piotrowski – swój rozrachunek. Ale dwóch milicjantów i Piotrowski z pepeszą oblecieli całą okolicę bezskutecznie. Zapke znikł. Kto wie, czy nie schował się w tajemniczej kamienicy przy poczcie, gdzie Niemcy wchodzili i nie wychodzili? Więc wyprowadziwszy staruszki z parteru, od razu ten dom wysadzili dynamitem.

Piotrowski nie zrezygnował wówczas z Głogowa, bo już był tutaj zaangażowany po uszy: remontował dom na rogu Jedności Robotniczej i Słowiańskiej na restaurację i hotel, szyld już gotował z napisem „Polonia". A piekarz

Jakubczak z dawnej piekarni Gettnera bombę półtonową wyciągał – niewypał. I nic się nie stało, bo jak to piekarnia jemu, Jakubczakowi, była u góry zapisana, to i bomba przy usuwaniu nie wybuchła. Nie byłoby przecież wówczas przyszłego właściciela interesu.

Przyszły na świat niedługo po sobie dwie pierwsze powojenne Głogowianki: mała Piotrowska i mała Jakubczakówna. Prawdziwe narodziny życia na ruinach. Dziś obie nazywają się już inaczej i panowie Piotrowski i Jakubczak zostali dziadkami. Historia znowu dała naprzód ogromnego susa i, patrząc na swoje córki, które z kolei są już mamami, starsi panowie gotowi są przyjąć pogodną postawę Colasa Breugnona i popijać tylko łagodne wino, sycąc się szczęściem swoich dzieci. Nie są to jednak konwencjonalni dziadkowie, tylko ludzie pełni energii. Ale zanim powrócę do ich dalszych losów na ruinach, które powoli ożywały, muszę jeszcze przypomnieć niezmordowanego Eugeniusza Hoinkę z Jarocina.

VIII

Wyrzykowski – wiceprezes dzisiejszej głogowskiej PSS – wspomina, jak to szli kiedyś z Hoinką, by skontrolować postęp robót w elektrowni, ale po drodze wstąpili do dzisiejszego domu kultury. Spojrzeli na salę – na posadzce było pełno wody. Dach przeciekał.

„Co pan patrzysz, zdzieraj pan story!" – wrzasnął Hoinka na Wyrzykowskiego. „A po co?" – zdumiał się dzisiejszy wiceprezes. „Piasek nosić!". Na następne analogiczne pytanie Hoinka wyjaśnił: „Piasek wyciągnie wilgoć, podłoga się nie wybrzuszy. A jutro przychodzimy kryć dach!". Taki to gospodarz był z tego Hoinki, ale go wreszcie pod karabinami uprowadzili do Nowej Soli za sentyment do rodzinnego Jarocina. Stwierdziwszy bowiem, że Jarocin potrzebuje gazowni, rozmontował tę głogowską, która jeszcze w niezłym była stanie, i odstąpił Jarocinowi. Zanim udowodnił, że nie sprzedał, że interesu na tym nie zrobił, że Głogów miał zgruchotaną sieć gazową i nie można było gazowni uruchomić – przesiedział swoje. Piotrowscy i Jakubczakowie byli świadkami na jego procesie, ale Hoinka już do Głogowa nie wrócił. Został – jak dawniej – urzędnikiem skarbowym.

Skończył się właśnie okres heroiczny, choć do stabilizacji było jeszcze daleko.

W gabinecie prezydenta miasta przybył jeszcze jeden portret – obok dwóch portretów: prezydenta Rzeczpospolitej i premiera. Wszyscy pytali: „A kto to?". A to właśnie był nowy prezydent miasta – Fryszczyn, który chodził w białych rękawiczkach i wymachiwał laseczką ze srebrną gałką. W 1948 roku reprezentował miasto na otwarciu cukierni Jakubczaka, bo piekarnię w 1945 roku na jesieni uruchomiono. Ruch był, bo nie tylko ciastka, ale i lody sprzedawano.

A tymczasem Piotrowski już wygotował swój hotel Polonia z restauracją na dole. Latem prowadził piękny ogródek z dancingiem – 52 stoliki. Pięknie również prosperował spółdzielczy handel PSS, który zaczął się od jednego worka mąki i jednego worka cukru – jeszcze z tych, które z przydziału od Zubkowa Głogów dostał. Hoinka dał je Wyrzykowskiemu. Wyrzykowski miał już rower na oponach ze szlauchów od wody i pojechał po dwunastu apostołów, żeby podpisali statut spółdzielni. 400 złotych trzeba było złożyć na zarejestrowanie statutu, więc Hoinka pożyczył. Z handlu tytoniem, po który Zięcik jeździł dwa razy w tygodniu do Leszna, spłacili Hoinkę, czyli magistrat, po miesiącu. Na koniec 1945 roku mieli już pół miliona obrotu. Wyrzykowski z doskoku ukończył studia – planowanie na KUL w Lublinie – i dali mu zaszczytny stołek wiceprezesa PSS w Głogowie. Ale niedługo na nim siedział.

Czas nadchodził dziwny i prezes gotował się do rewolucyjnego przejęcia inicjatywy prywatnej. Więc trzeba było na Jakubczaka i Piotrowskiego wynaleźć sposób. Na Wyrzykowskim też nie bardzo pewnie marynarka leżała, bo albo zebranie z ostrzeżeniem: „Na razie jesteście jeszcze wolni", albo telefon z UB: „W mięsie wczoraj były robaki. Mam dla ciebie przygotowaną najlepszą piwnicę" – dzwonił życzliwie ustosunkowany szef.

W końcu „zdjęto" Wyrzykowskiego ze stanowiska.

IX

Wszystkie władze powiatowe były już na miejscu, ściągnęły ze Sławy. Nowy starosta Dobrzański, obecnie miejscowy adwokat, przeprawił urzędy przez Odrę. Głogów jako centrum administracyjne zaczął się liczyć, no i przemysł się ruszył. Przyjeżdżający reporterzy dumnie pisywali wówczas o tym, jak to: „Huk młotów idzie od Odry. Stocznię odbudowują". A wyciągali i wysyłali na przetopienie do hut jakieś części niemieckich łodzi podwodnych, które tu w wojnę produkowano. Wyremontowano stare holowniki. Młotki, które narobiły tyle huku, trzymali w ręce ludzie spod Zaleszczyk i spod Wołkowyska albo Poznaniacy spod Jarocina. Ci ludzie nigdy nie mieli nic wspólnego z przemysłem. W 1949 roku stocznia na Odrze wypuściła pierwsze holowniki i barki polskiej konstrukcji, zaprojektowane przez Biuro Projektów we Wrocławiu.

Ale wkrótce i stocznia miała podzielić los hotelu Polonia Piotrowskiego, który zmienił charakter i w przedszkole dla dziatwy został przemieniony. Przesłuchania na milicji nie złamały Piotrowskiego, zły pies u drzwi nie wpuszczał wysłanników PSS, ale złamał Piotrowskiego papier: okazało się, że budynek był własnością zarządu miejskiego i służył jako przytułek dla starców. Wzywano Piotrowskiego do partii i sekretarz namawiał: „Zostaniecie kierownikiem w PSS!". A Piotrowski swoje, że nie. Przenieśli go do innego mieszkania, ale Piotrowski dalej



Czy Mister Cuprum zdecyduje się jej pomóc? Za siedzibę przecież obrał sobie mniejszy Lubin, aby być bliżej szybów kopalnianych i własnym okiem doglądać robót wydobywczych... Ale co tu mówić – bogactwa rodzą bogactwa.



pracował u siebie, w Polonii – przedszkole dla dzieci urządzał na odmianę. Potem wreszcie się zgodził – poszedł na kierownika restauracji, którą dawniej prowadził prywaciarz. Urządzał w odremontowanym hotelu restaurację Odra, gdzie dziś pracuje żona Jakubczaka i gdzie najwyborniejsze potrawy za drobne grosze można nabyć, choć sanepid ma zamiar z uwagi na złe warunki cały interes lada dzień zamknąć. I Wyrzykowski – dziś znów wiceprezes – martwi się, kiedy wreszcie nowy pawilon gastronomiczny stanie pod dachem.

Piotrowski teraz zatrudnia się w Powiatowym Przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym jako zaopatrzeniowiec, ale najpierw odszukałem jego żonę przez dyrektora Chomińca. Tego miałem w hotelu Odra na miejscu. Gdy tylko opowiedział o sukcesach miejscowego zakładu pogrzebowego, który właśnie otrzymał nowy autokarawan poruszający się z szybkością dla nieboszczyków bezpieczną, wspomniał, że tam pracuje pani Piotrowska, ale trudno ją zastać, bo razem z mężem chodzą do szkoły. Zapytałem: „Żona Nikodema?". „Oczywiście" – odpowiedział Chominiec.

I tak odnalazłem jednego z pierwszych Głogowian, który zapomniał o Zapkem, ale postanowił z żoną maturę zrobić nowym systemem. Co roku się kilka przedmiotów zdaje. Cztery razy w tygodniu całe popołudnie zajęte. Pierwsza Głogowianka, córka Emilia, jest technikiem fizykoterapii, mąż – technikiem metalurgiem – pracuje

w dawnej stoczni, która teraz przedziwnie nazywa się FAMABA. Pracuje tam także syn Królaka, młodzieniec z rozłożystą brodą, przy produkcji żurawi budowlanych samonośnych na podwoziu Stara A 660. Kiedyś brodę mu opaliło i Królak senior telefonował do dyrektora. Solidną awanturę urządził, jako że znają się od roku 1946. To wiele, zważywszy, że do roku 1958 wszyscy w Głogowie się znali po imieniu i nazwisku.

X

Dyrektor FAMABY – dawnej stoczni, co to się tyłem do Odry odwróciła – Seweryn Lorek, trafił do Głogowa właśnie wtedy, gdy przyszła na świat Emilka Piotrowska. A w 1953 roku powołano go na stanowisko dyrektora. Zorientował się, że Głogów nie wytrzyma konkurencji wielkich odrzańskich stoczni i jego zakład nie ma szans rozbudowy, zwłaszcza że na barki i holowniki zamówień nie było. Produkowało się konstrukcje hal fabrycznych i fragmenty konstrukcji stalowych dla zapory wodnej w Goczałkowicach. Lorek dogadał się z przemysłem ciężkim i zmienił profil produkcji – na dźwigi budowlane. Wiedział, że zamówień nie zbraknie. W 1957 roku wyprodukowano 30 pierwszych żurawi ŻW 30 tonometrów. A teraz już robią najbardziej skomplikowane – na podwoziach samochodowych i bez – jakie chcecie. W hotelu

Odra wciąż nocują załogi przyjeżdżające po odbiór samochodowych dźwigów od Lorka. Taki był tylko paradoks, że dźwigi szły w Polskę, a żaden nie zostawał w Głogowie. Nie było takiej budowy, do której trzeba by aż dźwigu!

Bardzo ważkim argumentem w mojej obronie Głogowa będzie sprawa Jakubczaka, który wspominając lata pięćdziesiąte, powiedział: „Jak goły wyszedłem z Głogowa w 1945 roku, tak goły po niecałych dziesięciu latach wracałem do Kościana!". Gdy bowiem prezes PSS po rewolucyjnemu znacjonalizował odbudowaną przez Jakubczaka piekarnię, jej właściciel wściekł się na miasto, spakował manatki i ruszył rzemiennym dyszlem do Kościana, do teściów.

Przez pierwsze dni w Kościanie pomstowali na niewdzięczny Głogów, co ich tak wykierował, ale po miesiącu zaczęli głogowskie ruiny wspominać lirycznie. Ruiny, bo ruiny, ale w tych ruinach była ich cała młodość i każdy kąt znany, umiłowany przecież. I chociaż nie było w tym Kościanie źle, to właśnie brakowało Głogowa.

„Dziwna jakaś siła tkwi w tych ruinach" – wściekał się Jakubczak, gdy czynił zabiegi, aby znów wrócić. Mieszkanie na Słowiańskiej mu dali, na mansardzie, co prawda, ale przestronne i słoneczne, posadę jak się patrzy – kierownika piekarni. Dla żony też był zarobek.

I tak, kto tylko ten trud dźwigania Głogowa brał na barki, ten go już nie rzucał. Nawet odtrącony – wracał. Taka była i jest metafizyka tych ruin. Ruin – bo niewiele

pomiędzy liniami ulic zostało i niewiele wzniesiono. A poza gazownią, którą dzielny skądinąd Hoinka przetransplantował i która stała się przyczyną jego klęski, wiele jeszcze z Głogowa wywieźli wędrowni szabrownicy.

Ba, w latach pięćdziesiątych poważnie tu dyskutowali, czy zamku nie rozebrać, bo bez dachu stała ta rezydencja, a nawet rozpędzone lokalne burzymurki chciały trotylem wysadzać. Ale bali się, żeby most stojący w pobliżu nie siadł przy okazji. Więc dali spokój. A gdy wreszcie przyszła dyskusja nad 20 milionami na remont, padło pytanie: „A ile bloków za to by było?". I o to pytanie nie będę winił nikogo. To było słuszne pytanie, bo bloków w Głogowie postawiono jak na lekarstwo. Odnowiono kilka ruder – w miejscu, gdzie szosa od Legnicy i Lubina przelatuje przez Głogów, aby nie było puste. Postawiono, a raczej odremontowano domy, w których Dom Towarowy i restaurację Kameralną pomieszczono. Ale niech nikogo nie uwiedzie komfort nazwy. Interes prowadzony przez PZGS podtruwa konsumentów seryjnie.

XI

I mimo wszystko bronił będę Głogowa i wszystkie słowa potępienia zbijał. Że nowi Głogowianie krzywym patrzyli okiem na zamek Jagiellonów, gdzie mieszkali i współrządzili Głogowem starostowie: Karnkowscy, Leszczyńscy, gdzie

bywali najwybitniejsi Głogowianie, jak astronom Jan z Głogowa, rektor Akademii Krakowskiej, czy poeta Andrzej Schoneus, podpora humanizmu jagiellońskiej uczelni – wybaczam. Tradycji Głogów ma dość, ale współczesność dała mu niewiele. Młody Kaczkowski furgonetką miejską wozi skarby muzealne do zamku – bo właśnie PKZ oddał pierwsze izby na parterze, choć remont całości nieskończony, bo wreszcie postanowiono nie tylko zakonserwować ruiny, ale odnowić całość – i zwalnia pomieszczenie w domu kultury, który jeszcze Hoinka z Wyrzykowskim ratowali. Idąc ścieżką pośród gruzów, uświadamiam sobie nagle, że tylko tymi ścieżkami na początku można było chodzić, bo wszystko było zaminowane. I przypominam sobie otwarcie stadionu w 1948 roku – gdy traktor z młodzieżą najechał na minę w zagłębieniu tak zwanej fosy, do której latami nikt nie schodził, więc porosła lasem, aż wreszcie niedawno uporządkowano ją i zasadzono róże. Był to sławny Rosengarten, gdzie zdrowie straciła pani Jakubczakowa.

„Pomnik wojny" – powiada, przechodząc koło gruzów, Kaczkowski. I jest to zdanie wypowiedziane na marginesie następnego sporu – o teren Starego Miasta. Budować nowe bloki na gruzach czy nie budować? Konserwować to, czego jeszcze nie zdołały przemielić na pył „młyny historii", czy zwalić doszczętnie sterczące jeszcze ściany ratusza, zrujnować piękne gotyckie piwnice i nie oszczędzić teatru Liszta? I cóż nam architektura proponuje w zamian – walizkowe bloki, wstrętne pudła bez wyrazu. Więc zabezpieczyć ruiny,

a wśród nich pomnik dzieciom głogowskim wystawić, który byłby głównym akcentem „pomnika wojny". Tym dzieciom, które przed swoimi wojskami przeciw Głogowianom prowadził cesarz Henryk w 1109 roku i które od pocisków własnych rodziców zginęły, aby gród przy Polsce utrzymać. I tym dzieciom, które w czasie okupacji maltretowali tu hitlerowcy – dzieciom, które przywożono z Zamojszczyzny i poddawano zabiegom germanizacyjnym.

Ale skąd ta dyskusja? Dlaczego nagle poszukuje się wielkich terenów budowlanych? Dyskutuje nad podpiwniczeniem i nad tym, ile kondygnacji piwnic miały stare mieszczańskie domy Głogowa? Oto największa wciąż jeszcze sensacja, przyćmiewająca wszystkie inne. Oni latami czekali w Głogowie na tę szansę, aby dziennikarzowi móc to opowiedzieć. Bo to stało się jeszcze przed laty. A przecież już później kasjer zastrzelił w banku głównego księgowego, a dyrektor szpitala, który przez 2 tygodnie był przybocznym lekarzem samej Giulietty Masiny, okazał się szarlatanem bez dyplomu, wreszcie zwalił się kawał gotyckiej ściany przy kolegiacie św. Mikołaja... Ale nie to jest ważne.

Najważniejsza jest miedź. Lubińsko-Głogowski Okręg Miedziowy. Huta miedzi pod Głogowem. I sam Głogów gwałtownie rosnący – w tempie, które wielu przeraża. Na rok 1970 – 23 tysiące ludności, na rok 1980 – 40 tysięcy, na rok 1985 – 45 tysięcy. Ba, teraz już nikt nie będzie się kłócił o tytuł prezydenta miasta, bo wszędzie tylko tytuł „przewodniczącego prezydium" obowiązuje. Ale będzie

to miasto wydzielone spod władzy powiatu – zgodnie z marzeniami Hoinki sprzed ćwierć wieku (tak, tak, już ćwierć wieku przeszło!).

W związku z miedzią dopiero pierwszy dźwig budowlany, wyprodukowany w fabryce u Lorka, pojawił się na głogowskiej budowie. Zryto ziemię wokół, coraz więcej stawało dźwigów i zaczęło się dźwigać miasto Piastów zgruzowane przez szaleńców Hitlera – i kląć.

XII

Przeszedłem przez nowe osiedla, zwiedziłem Plac Tysiąclecia przed dworcem kolejowym, wszystko lśniące nowością, delikatesy jak w stolicy czyściutkie i zaopatrzone, kawiarnię skażoną hipernowoczesnością aż ponad miarę – a szukałem po sklepach pieczywa i nie było. Słyszałem, jak ludzie wkoło klęli, i ja solidarnie klątem z nimi, bo chciałem kupić po prostu dwie bułki na drogę. Mogłem wrócić z pretensjami do piekarza Jakubczaka, że zasypia gruszki w popiele, ale zdecydowałem – do Wyrzykowskiego. Zawsze to władza.

I wszystko Wyrzykowski wywiódł mi misternie – że powierzchnię sklepów to Głogów ma w tej chwili w przeliczeniu na liczbę mieszkańców największą w województwie, ale z piekarniami i restauracjami krucho. Mówią mu w miejskiej radzie: „Budujcie!". Gdy mieli więcej lokali, to im nie dali za

pieniądze włożone w remont „odmieszkać", tylko przekazali innym. A równocześnie się mówi: „Nie inwestujcie, będziecie zanikać!". Skąd inwestować, jak limity na inwestycje w skali województwa PSS ma maleńkie, a środków pozalimitowych zdobyć nie można. A trzeba budować piekarnię – bo tymi starymi gratami, co to jeszcze kiedyś Jakubczak remontował, tylu ludzi chlebem się nie obdzieli. Cudu na pustyni nie będzie. Więc trzeba budować nową wielką piekarnię mechaniczną, pieniądze muszą się znaleźć! Powiada się, że Głogów liczy teraz coś 15 tysięcy – ale w związku z tą miedzią, ilu stale tu przebywa? I pan między nimi, nie wymawiając? Jeszcze z 5 tysięcy czasowych będzie!

Zgoda, nawet tablicę widziałem w nowym bloku, koło pawilonu meblowego – że dyrekcja Huty Miedzi w budowie, autentyczne gabinety autentycznych dyrektorów, sekretarki jeszcze nierozwydrzone, ale i to, i centralki telefoniczne przyjdą z czasem.

I kierownika budowy tej huty na polach pod Głogowem spotkałem, inżyniera Zahorskiego. Przyszedł z przedsiębiorstwa budującego Nową Hutę, bo teren pod Głogowem wydał mu się wielce egzotyczny. Na wszelki wypadek zamieszkał w Nowej Soli, bo tam się mieści dyrekcja przedsiębiorstwa budowlanego. Na razie Kaczkowski mu po wykopach chodzi i grzebie. Garnki znaleźli i rzecz przedziwną: piece hutnicze z V wieku naszej ery. A więc już dawniej była w tym miejscu huta! I szkielet nieboszczyka – z czaszką ułożoną pomiędzy piszczelami nóg.

Co to znaczy? Nie tyle o tej dawnej hucie, ile o dziwnym szkielecie w głogowskim światku się teraz mówi.

U dyrektora Chomińca w MPGK na biurku mapy linii autobusowych, które Głogów mają z hutą miedzianą w Żukowicach powiązać – więc radość wielka, bo dotąd miasto nie miało własnej komunikacji. Plany sieci gazowej się przygotowuje, bo gaz rurociągiem mają przeprowadzić z Ostrzeszowa, aby ową wywiezioną przez Hoinkę do Jarocina gazownię zastąpił. Nowe studnie wiercą, bo wody brakuje. I wozy do czyszczenia ulic dostali – polewaczki i zmywaczki. Krzyczą: „Eureka!", bo czegoś takiego Głogów jeszcze nie widział. A Chominiec, zwalisty chłop, po gabinecie krąży. Hotelem Odra, którego ruinę kiedyś zabezpieczył, przemyślnie się chwali i woła, że chociaż tych 110 łóżek nie zawsze znajduje reflektantów dziś, to planują nowy hotel na 300 miejsc. Miedź, miedź! Trzeba patrzeć wprzód! O córce, która jest lekarzem okulistą w Zielonej Górze, napomyka, bo też dziadkiem go już zrobiła, co równie ceni jak odznaczenia. Już 58 lat człowiekowi stuknęło, a tu tyle jeszcze roboty!

XIII

Piję kawę w lokalu Odra i myślę, że ten fakt zanotuje na bloczku kasjerskim nie kto inny, tylko pani Jakubczakowa. Ona też córką się chwali, którą mimo braku etatów – jako pierwszą Głogowiankę – do szpitala przyjęli po

ukończeniu szkoły położnych. A pomiędzy małą Piotrowską, co to się urodziła wcześniej, a Jakubczakówną mała kontrowersja wynikła, bo na uroczystości dwudziestolecia Głogowa Jakubczakówna czytała w imieniu młodzieży piękny tekst – zaczynający się od słów: „Jeszcze zgliszcza straszyły nielicznych mieszkańców Głogowa", a kończący się słowami: „Możecie na nas liczyć!". A przecież Piotrowska miała po temu większe prawo.

„O cóż chodzi – myślałem – o samo starszeństwo?". Chyba nie, raczej o swoisty indygenat pionierski – kto wcześniejszy, tym większy honor. Kto wcześniej przybył, urodził się, tym większy splendor, bo od niego zaczyna swój rodowód nowy, powojenny Głogów.

Spis treści

Wspomnienie o Dziadku **7**

Mister Cuprum **30**

Niepokonane **44**

Smutny uśmiech księżniczki Karoliny **64**

Lew, który walczy o klucze **78**

Kto pierwszy trafił? **86**

Polski inżynier **96**

Koniec „dzikiego kotowania” **110**

Siedmiu wspaniałych **138**

Lubin da się lubić **156**

Henryk II Sienkiewicz **174**

Ich miedziany kraj **194**

Metafizyka ruin **204**

”

Nie oglądamy się na innych. Nie dlatego,
że nie interesuje nas świat – wręcz przeciwnie,
znamy go bardzo dobrze.

Od dziesięcioleci działamy tam, gdzie liczą się
wiedza, doświadczenie i odwaga. Wydobywamy
i przetwarzamy surowce niezbędne dla
współczesnej gospodarki. Surowce, które
określają przyszłość całego świata.

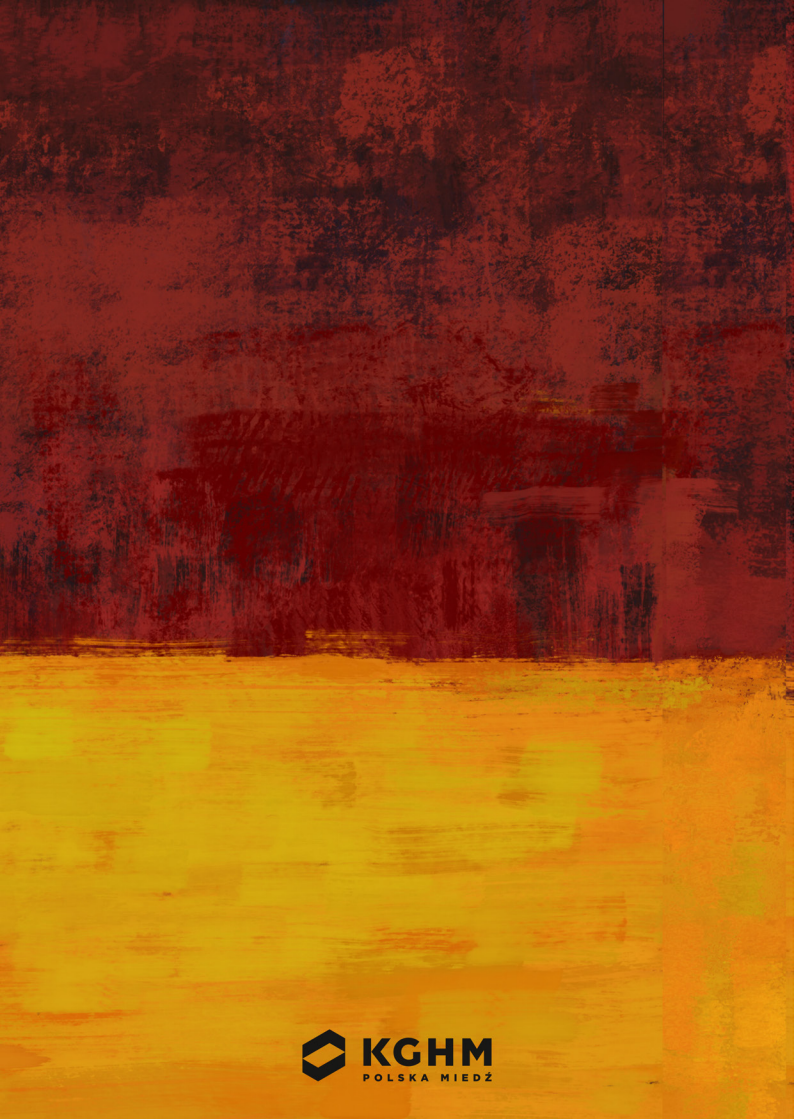
Nie czekamy aż inni wyznaczą kierunek –
to my chcemy pokazywać trendy. Sięgamy
po nowe złoża, rozwijamy technologie
i budujemy kompetencje najlepszych
specjalistów w branży. Wiemy co potrafimy
i jaki potencjał w nas drzemie.

Jesteśmy dumni z naszego pochodzenia. Siłą KGHM są ludzie i doświadczenie budowane przez pokolenia. Stworzyliśmy fundamenty firmy w Polsce, ale nasze ambicje sięgają znacznie dalej. Dziś umiejętności, etos pracy i know-how spod znaku KGHM stanowią silną konkurencję na wszystkich kontynentach.

W świecie wielkich koncernów i globalnych zależności jesteśmy jedną z tych polskich firm, która może powiedzieć o sobie – należymy do najlepszych. Nadajemy tempo. Stawiamy wyzwania. Mamy śmiałość i determinację.

KGHM. Globalna skala.
Polska duma. Światowe ambicje.

”


KGHM
POLSKA MIEDŹ